

# Stanie się czas

Poul Anderson



calibre 0.9.27



**Poul Anderson**

*Stanie się czas*

***THERE WILL BE TIME***

**Przełożył Tadeusz Markowski**

**Przedmowa**

**Spokojnie. Nikomu nie wmawiam, że ta historia jest prawdziwa. Po pierwsze dlatego, że taka maniera literacka odeszła w niebyt razem z Teodorem Rooseveltem. Po drugie, i tak byście w to nie uwierzyli. I po trzecie, wszystkie opowieści podpisane moim nazwiskiem powinny się obronić lub polec jako czysta rozrywka. Jestem pisarzem, a nie prorokiem. Po czwarte, jest to wyłącznie moje dzieło. Kiedy w stosie notatek, karteczek, fotografii i próbnym tekstów pojawiały się luki lub niejasności, zaczynałem snuć własne pomysły. Nazwiska, miejsca i wydarzenia dostosowywałem do swoich potrzeb, stosując własne techniki narracyjne.**

**Sam nie wierzę w ani jedno słowo, które napisałem. Możemy się oczywiście spotkać i przewertować stare gazety, annały, czasopisma i tak dalej. Byłby to wielki i kosztowny wysiłek, którego wynik – nawet gdyby był pozytywny, to i tak niewiele by udowodnił. Mamy co innego do roboty, a niektóre odkrycia mogą nam tylko zaszkodzić.**

**Ta opowieść ma na celu jedynie nakreślić postać doktora Roberta Andersona. Jemu to bowiem zawdzięczam tę książkę. Wiele zdań w niej zawartych pochodzi z jego ust. Moim celem było uchwycenie i zachowanie jego stylu i ducha – jako wyrazu pamięci.**

**Zawdzięczałem mu o wiele więcej. Na kolejnych stronach odnajdziecie pewne elementy z moich wcześniejszych książek. To on podsunął mi pomysły napisania ich i opowiedział o opisanych w nich osobach. Robił to w czasie naszych długich rozmów przy kominku i kieliszku sherry, przy muzyce Mozarta. Pozmieniałem wiele szczegółów, żeby te historie uczynić swoimi, a także dlatego, by lepiej się je czytało. Ale ich duch pozostał jego. Zawsze żartował, że jeżeli je kiedykolwiek sprzedam, powinienem zaprosić Karen na wykwintną kolację w San Francisco i wypić wiadro wódki za jego zdrowie.**

**Rozmawialiśmy również o mnóstwie innych spraw, które wciąż pamiętam, jakby to się działo wczoraj. Miał bardzo przewrotne poczucie humoru. Nawet fakt, że zostawił mnie z wielkim pudłem dokumentów, które sam zebrał, należy traktować jako swoisty, choć subtelny żart. Chociaż wiele z tych dokumentów jest wyjątkowo ponurych.**

**Zaraz, czy na pewno? Kilka razy miałem okazję obserwować doktora Roberta Andersona otoczonego przez swoich wnuków.**

**Widziałem jego radość z ich towarzystwa i niekiedy ból. W czasie naszej ostatniej rozmowy dyskutowaliśmy o przyszłości.**

**– O Boże! Ta młodzież! Ta biedna młodzież! Poul, twoje i moje pokolenia miały cholernie proste życie. Wystarczyło po prostu być białym**

i nieźle się trzymać. Teraz historia wraca w normalne koleiny i zaczyna się dżungla. – Opróżnił szklankę i dołał sobie o wiele więcej niż zwykle. – Przeżyją tylko najtwardsi farciarze. Reszta będzie musiała się zadowolić tym szczęściem, które im pozostanie. Takimi sprawami powinien się zajmować lekarz, prawda? – I zmienił temat.

Pod koniec swego życia Robert Anderson był wciąż wysoki i mocno zbudowany. Nieco przygarbiony, ale w niezłej kondycji fizycznej. Uważał, że zawdzięcza to jeździe na rowerze i pieszym wycieczkom. Twarz miał dość gładką, niebieskie oczy skrywał pod mocnymi okularami, a siwe włosy i białe stroje nosił podobnie zmiętoszone. Mówił powoli, podkreślając słowa machaniem fajki, którą palił regularnie dwa razy dziennie. Był grzeczny, ale niezależny jak jego kot.

– Na moim etapie życia – mawiał – to, co ongiś określano mianem dziwactw czy uporu, teraz określa się mianem uroczej ekscentryczności. Staram się korzystać z tego dogłębnie. – Wyszczrzył się w uśmiechu. – Na ciebie też przyjdzie kolej. Pamiętaj o tym.

Pozornie miał spokojne życie. Urodził się w Filadelfii w 1895 roku, jako daleki krewny mego ojca. Mimo że nasza rodzina pochodziła ze Skandynawii, to jedna jej gałąź żyła w Stanach od czasów wojny secesyjnej. Nie mieliśmy o sobie zielonego pojęcia aż do chwili, kiedy któryś z „amerykańskich Andersonów”, maniak genealogii, zamieszkał nieopodal naszego domu i nas odwiedził. Potem zaprosił nas do siebie, i tak to się zaczęło.

Jego ojciec był dziennikarzem, od 1910 roku wydawał gazetkę w

małym miasteczku na środkowym zachodzie (mającym prawie dziesięć tysięcy mieszkańców). Nazwałem je Senlac. Swój dom określał jako nominalnie anglikański, choć w zasadzie demokratyczny. Kiedy Ameryka przystąpiła do pierwszej wojny światowej, on właśnie kończył szkołę pielęgniarstwa i został wcielony do wojska. Nigdy jednak nie pojechał do Europy. Po demobilizacji skończył medycynę i zrobił specjalizację z interny. Mam wrażenie, że w wojsku nieco przytył. Wreszcie wrócił do Senlac, założył praktykę i poślubił dawną narzeczoną.

Uważam, że był pracoholikiem. Praca lekarzy rodzinnych w tamtych czasach nie była monotonna. Dopiero później postęp techniczny sprowadził ich do roli recepcjonistek. Jego małżeństwo było również szczęśliwe. Z czworga dzieci trzech chłopców dorosło i wciąż ma się dobrze.

W 1955 roku przeszedł na emeryturę i zaczął z żoną podróżować po świecie. Spotkałem go wkrótce potem. Żona odumarała go w 1958 roku, a on sprzedał ich dom i kupił małą chatkę w naszym sąsiedztwie. Mniej podróżował, bo jak twierdził, przestało to być takie zabawne. Nie stracił jednak chęci do życia.

Opowiedział mi o ludziach, których nazwałem (ja, nie on) Maurai.

Brzmiało to jak opowieść, którą sam wymyślił, ale nie potrafił opisać. Po jakichś dziesięciu latach naszej znajomości zaczął się nagle niepokoić o mnie bez żadnej wyraźnej przyczyny. Ja z kolei się martwiłem, że czas staje się dla niego nieubłagany. Potem mu przeszło i znowu był sobą. Z pewnością wiedział, co robi, kiedy zapisywał w testamencie klauzulę, że

wolno mi zrobić ze spadkiem po nim, co mi się żywnie podoba.

Pod koniec ubiegłego roku Robert Anderson zmarł nagle we śnie.

Brakuje nam go.

## Rozdział 1

Początki kształtują koniec, ale nie potrafię powiedzieć niczego

szczególnego na temat urodzin Jacka Haviga oprócz faktu, że przyjąłem

go na świat. Zimnym lutowym rankiem 1933 roku ktoś słyszał o kodzie

genetycznym

lub

o

pracach

Einsteina

czy

o

jakichkolwiek

konsekwencjach jego geniuszu dla rodzaju ludzkiego. Pamiętam jedynie,

że był to powolny i trudny poród. Młoda i szczuplutka Eleonora Havig

rodziła swe pierwsze dziecko. Wzdragalem się przed cesarskim cięciem i

mogło to stać się przyczyną jej późniejszych problemów z zajściem w

ciążę. Wreszcie jednak różowy, pomarszczony noworodek wypadł w moje

ręce. Dałem mu klapsa w pupsko, żeby zassał prawdziwego powietrza.

Jego wrzask potwierdził skuteczność tej terapii i reszta już potoczyła się

jak zwykle.

Porodówka znajdowała się na ostatnim, drugim piętrze naszego

szpitala, który wtedy stał jeszcze na skraju miasta. Zdejmując strój chirurgiczny, oglądałem piękny widok za oknem. Po prawej stronie widać było całe Senlac rozciągające się wzdłuż zamrożonej rzeki. Budynki z czerwonej cegły, otoczone szeregami domków ustawionych wzdłuż zadrzewionych ulic. Obok stacji kolejowej sterczały wieże elewatora zbożowego i zbiornika na wodę. Po lewej stronie rozciągały się pagórki pokryte śniegiem, przetykane gdzieśgdzie kępami bezlistnych drzew i ogrodzeniami nielicznych farm. Przedemną zaś rozciągał się ciemny obszar Lasu Morgana. Mój oddech zaparował zmrożoną szybę, której chłód wywołał u mnie gęsią skórę.

– Cóż – mruknąłem do siebie – witamy na Ziemi, Johnie Franklinie

Havigu. – Jego ojciec uparł się, żeby przygotować zestawy imion na każdą pleć. – Mam nadzieję, że ci się tu spodoba.

Aleś sobie wybrał moment, pomyślałem. Wokół szaleje światowa

recesja. W zeszłym roku Japończycy weszli do Mandżurii, w

Waszyngtonie zamieszki, porwano synka Lindbergha. W tym roku Hitler został kanclerzem Niemiec... Mamy nowego prezydenta i raczej na pewno zniosą prohibicję. Przynajmniej wiosna w naszej okolicy jest równie piękna jak jesień.

Wyszedłem do poczekalni. Thomas Havig poderwał się na równe

nogi. Nie należał do ludzi rozmownych, ale widać było pytanie czające się na jego ustach. Uścisnąłem mu rękę.

– Gratuluję, Tom – powiedziałem. – Jesteś ojcem zdrowego

chłopaka... – Musiałem go odprowadzić aż do holu.

\*

Ochota na żarty naszła mnie dopiero wiele miesięcy później.

Senlac jest centrum gospodarczym rejonu rolniczego. Jest tu nieco przemysłu lekkiego, i to właściwie wszystko. Z braku lepszej możliwości zostałem członkiem miejscowego Klubu Rotariańskiego, ale starałem się zbytnio nie udzielać. Nie zrozumcie mnie źle. To moi ludzie. Darzę ich sympatią i często podziwiam, bo stanowią sól tej ziemi. Po prostu lubię różne przyprawy.

W tej sytuacji Kate i ja mieliśmy małe grono bliskich przyjaciół.

Należał do nich jej ojciec, bankier, który zainwestował w moje studia.

Żartowałem sobie, że zrobił to tylko po to, żeby mieć pod ręką demokratę do kłótni politycznych. Była też pani prowadząca bibliotekę publiczną.

Kilku profesorów z Holberg College z żonami, chociaż kilkadziesiąt kilometrów dzielące nas od siebie w tamtych czasach stanowiło pewną przeszkodę. No i byli Havigowie.

Pochodzili z Nowej Anglii i wciąż za nią tęsknili. W latach trzydziestych jednak każdy brał taką pracę, jaką mógł złapać. Tom był nauczycielem fizyki i chemii w naszym liceum. Dodatkowo musiał trenować biegaczy. Był chudy, kanciasty, wstydlivy i nieufny. Udawało mu się jakoś trenować biegaczy jedynie dzięki szacunkowi uczniów. Na szczęście mieliśmy niezłą drużynę baseballową. Eleonora była ciemnowłosa i pełna życia. Uwielbiała grać w tenisa i udzielała się w kościelnej pomocy dla biednych.

– To jest fascynujące i myślę, że pożyteczne – powiedziała na



początku naszej znajomości. – Dzięki temu nie czujemy się z Tomem hipokrytami. Przecież wiesz, że zarząd szkoły nie zatrudniłby nikogo, kto nie działa w kościele. Byłem zaskoczony jej prawie histerycznym głosem, kiedy przez telefon błagała, żebym przyjechał. W tamtych czasach lekarz domowy miał nieco inaczej urządzone gabinet. Ja po prostu przerobiłem dwa frontowe pokoje naszego domu. Jeden służył za gabinet, drugi za ambulatorium, w którym mogłem nawet przeprowadzać proste operacje. Sam byłem recepcjonistką i sekretarką. Kate pomagała mi w robocie papierkowej. Dzisiaj wygląda to całkiem niepoważnie. Niekiedy się zdarzało, że pacjenci musieli czekać na wizytę. Wtedy Kate zabawiała ich rozmową. Po telefonie Eleonory sprawdziłem swój poranny grafik, ale nic nie miałem zaplanowane.

Wskoczyłem więc do samochodu i pojechałem. Pamiętam, że było potwornie gorąco, niebo bez skrawka chmurki, drzewa przy ulicy stały nieruchomo jak odlane z żelaza. W ich cieniu siedziały tylko psy i dzieciaki. Mimo to mroził mnie strach. Eleonora krzyczała coś o Johnie, a taka pogoda jest idealna dla wirusów polio. Kiedy wszedłem do jej zacienionego okiennicami domu, przytuliła się do mnie drżąca.

– Bob, czy ja zwariowałam? – szeptała raz po razie. – Powiedz, że nie jestem szalona!

– Spokojnie – mruknąłem. – Dzwoniłaś po Toma?

Tom dorabiał do swojej mizernej pensji, pracując latem w ciastkarni jako kontroler jakości.

– Nie... myślałam...

– Siadaj, Ellie. – Wyswobodziłem się z jej uścisku. – Wyglądasz na całkiem normalną. Może to przez ten upał. Uspokój się. Oddychaj głęboko i przestań zaciskać zęby. Pokręć trochę głową na boki. Lepiej? To teraz powiedz, co się stało.

– To Johnny!... Było ich dwóch. Potem znowu został jeden. –

Załkała. – Ale to ten drugi!

Błagała mnie spojrzeniem, żebym uwierzył w to, co mi opowiada.

– Kąpałam go, kiedy usłyszałam płacz dziecka. Myślałam, że to sąsiedzi albo coś takiego. Ale płacz dochodził z sypialni. Owinęłam Johna w ręcznik – przecież nie mogłam go zostawić w wodzie – i wzięłam na rękę. Poszłam zobaczyć, co się dzieje. W jego łóżeczku leżało nagie dziecko. Płakało i wierzgało nóżkami, bo się zmoczyło. Byłam taka zaskoczona, że... upuściłam Johna, kiedy pochylałam się nad łóżeczkiem. Powinien upaść na materac... Ale, Boże! On nie upadł. Zniknął. Złapałam go instynktownie, lecz w ręku został mi tylko ręcznik. John zniknął! Chyba straciłam przytomność. Kiedy ją odzyskałam... już nic nie było...

– A co z tym obcym dzieckiem? – spytałem. – Chyba... nie zniknął... myślę...

– Chodźmy zobaczyć. Poszliśmy do pokoju dzieciennego.

– No i wciąż tu mamy naszego Johna – powiedziałem, czując ogromną ulgę.

Dziecko leżało spokojnie i gaworzyło. Ellie złapała mnie za ramię.

– Wygląda tak samo, gaworzy tak samo, ale to nie może być on.

– Gdzie tam nie może. Musiałaś mieć halucynacje. W taki upał to nic

**dziwnego. Zresztą wciąż jesteś osłabiona.**

**Nigdy jeszcze nie spotkałem się z takim przypadkiem. A Eleonora była zawsze taka rozsądna... Moje słowa brzmiały jednak wystarczająco pewnie. Na tym właśnie polega połowa pracy lekarza domowego. Musi mieć głos wzbudzający zaufanie.**

**Uspokoila się, dopiero kiedy wyciągnęliśmy świadectwo urodzin i porównaliśmy odciski rączek i stóp. Zapisalem jej środek wzmacniający, wypilem filiżankę kawy i wróciłem do pracy.**

**Ponieważ nic podobnego się nie powtórzyło przez dłuższy czas, zapomniałem o wszystkim. Kolejny raz nastąpił tego samego roku, kiedy umarła nasza jedyna córka. Złapała zapalenie płuc zaraz po swoich drugich urodzinach.**

**\***

**Johnny Havig był marzycielem i samotnikiem. Im bardziej rozwijał swoje zdolności motoryczne i mowę, tym mniejszą wykazywał chęć do zabaw z rówieśnikami. Wydawał się najszczęśliwszy, gdy malował przy miniaturowym stoliku, lepił zwierzaki z gliny na podwórku czy puszczał stateczki, kiedy ktoś go zabierał nad rzekę. Eleonora się tym martwiła.**

**Tom nie bardzo.**

**– Byłem taki sam – mawiał zwykle. – To trochę dziwne dzieciństwo i niezbyt przyjemny okres dojrzewania, ale myślę, że to się zmieni, gdy już dorośnie.**

**– Musimy go bardziej pilnować – twierdziła Ellie. – Nawet nie masz pojęcia, jak często znika. Dla niego to tylko zabawa. Chowa się i trzeba go**

szukać. Lubi się ukryć w krzakach, w piwnicy czy w szafach i słuchać, jak go woła mama. Ale któregoś dnia wymknie się przez ogrodzenie i tyle go zobaczymy. – Pstryknęła palcami.

Stało się to, kiedy miał cztery lata. Wtedy już rozumiał, że znikanie znaczyło lanie w tylek, i przestał to robić. Przynajmniej przy rodzicach. Nikt nie wie, co robił w swoim pokoju. Jednak któregoś ranka w lecie nie było go w łóżku i nigdzie nie można go było znaleźć. Policjanci i sąsiedzi ruszyli na poszukiwania.

O północy zadzwonił dzwonek do drzwi. Eleonora już spała, bo podałem jej środek nasenny. Tom siedział sam i czuwał. Zgasił papierosa i podskoczył do drzwi wejściowych. Na progu stał mężczyzna ubrany w długi płaszcz i kapelusz z szerokim rondem, który zasłaniał jego twarz. To zresztą nieważne. Tom patrzył tylko na chłopca, którego ten mężczyzna trzymał za rękę.

– Dobry wieczór panu – odezwał się nieznajomy miłym głosem. –

Sądzę, że szuka pan tego młodzieńca.

Tom uklęknął i przytulił syna, mamrocząc jakieś podziękowania, ale mężczyzny już nie było.

– Dziwne – powiedział mi potem. – Zajmowałem się tylko Johnem może z minutę. Wiesz przecież, że na naszej ulicy jest dobre oświetlenie i w nocy wszystko widać jak w dzień. Nawet sprintem nikt nie mógłby tak zniknąć bez śladu. Zresztą biegnący człowiek obudziłby wszystkie psy w okolicy. A żaden nawet nie zaszczekał. I chodnik był pusty.

Chłopiec powtarzał tylko, że kręcił się po okolicy, że jest mu przykro

**i że więcej tego nie robi.**

**\***

**I nie zrobił. Udało mu się nawet zaprzyjaźnić z chłopakiem**

**Dunbarów. Pete z zapalem opiekował się swoim małym spokojnym**

**kolegą. Nie był głupi. Dzisiaj jest kierownikiem lokalnego sklepu A&R.**

**Ale w tym związku dominował John. Bawili się w jego zabawy, chodzili do**

**jego ulubionych kryjówek w lesie, odtwarzali historie ze świata jego**

**wyobraźni.**

**Eleonora znowu zjawiała się w moim gabinecie.**

**– Uważam, że John jest tak dobry w tych swoich marzeniach, że**

**teraz Pete'owi nasz świat wydaje się zbyt blady. I na tym polega kłopot.**

**On jest zbyt dobry w marzeniach.**

**Potem minęły kolejne dwa lata. Widywałem Johna od czasu do**

**czasu. Przepisywałem mu jakieś leki na grypę, ale nic dziwnego nie**

**zauważyłem. Dlatego zdziwiłem się, kiedy Eleonora znowu poprosiła o**

**spotkanie.**

**– Wiesz, jaki jest Tom... – Śmiała się przez telefon. – To typowy**

**jankes. Nigdy prywatnie cię nie poprosi o opinię zawodową.**

**Po głosie zrozumiałem, że czuje się osamotniona ze swoim**

**problemem. Usiadłem wygodniej w fotelu i splotłem palce dłoni.**

**– John opowiada ci historie, które nie mogą być prawdziwe, ale on**

**w nie wierzy? To normalne i mija z wiekiem.**

**– No właśnie, Bob. – Zmarszczyła brwi z troską. – Czy on nie jest na**

**to trochę za duży?**

– Może. Zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że przez te kilka ostatnich miesięcy szybko dorasta. Umysłowo i fizycznie. Ale wiem jedno: „średnia” i „normalność” nie są tożsame... John ma wymyślonych przyjaciół, prawda?

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Ma wymyślonego wujka.

– Naprawdę? – zdziwiłem się. – Co ci powiedział?

– Prawie nic. Dzieci prawie nic nie mówią swoim rodzicom.

Podслуchałam jego rozmowę z Pete'em. Opowiadał o wujku Jacku, który często przychodzi i zabiera go w fantastyczne podróże.

– Wujek Jack. I co to za podróże? Do wymyślonego przez niego królestwa, o którym kiedyś wspominałaś? Tam gdzie rządzi lew Leo?

– Nie. I to jest właśnie najdziwniejsze. O swoim świecie zwierząt opowiadał Tomowi i mnie. Doskonale wie, że to fikcja. Ale podróże z tym wujkiem są... inne. To, co podслуchałam, było takie... realistyczne. Na przykład wizyta w obozie indiańskim. Nie opowiadał o obrazkach z książek. Opowiadał o pracach, które wykonywali Indianie, o zapachach suszących się skór, o paleniu odchodami w ogniskach. Innym razem twierdził, że latał samolotem. Mogę jeszcze zrozumieć, że wymyślił sobie samolot większy niż dom, ale dlaczego twierdził, że nie miał śmigieł? Zawsze sądziłam, że chłopcy uwielbiają, kiedy samolot nurkuje lub jest bardzo głośny. A ten wymyślony przez Johna latał spokojnie i prawie bezgłośnie. Na pokładzie puszczano film. W technicolorze. John nawet jakoś nazwał ten samolot... Odrzutowiec? Tak, chyba odrzutowiec.

– Boisz się, że zaczyna wierzyć we własne wyobrażenia? – spytałem trochę bez sensu.

Pokiwała w milczeniu głową. Pochyliłem się i poklepałem ją po dłoni.

– Ellie, wyobraźnia dziecka to cudowne zjawisko. Twój syn jest nie tylko zdrowy, ale to może nawet geniusz. Cokolwiek będziesz robiła, staraj się w nim tego nie zabić.

Wciąż uważam, że dobrze jej poradziłem. Myliłem się co do całego problemu, ale rada była dobra. Dodałem jeszcze:

– A co tych odrzutowców, trzymam zakład, że Pete ma w domu sporo komiksów z Buckiem Rogersem.

\*

Mali chłopcy nie cierpią szkoły. John nie był wyjątkiem.

Niewątpliwie nudził się tam jak każdy chłopak, który umie myśleć i jest zmuszony do przebywania w zamknięciu. Miał jednak doskonałe oceny i autentycznie lubił przedmioty ścisłe i historię (Gwiazda przeleciała obok naszego Słońca, ciągnąc za sobą ogon gazowy, z którego powstały potem planety... Nasza cywilizacja dzieli się na egipską, grecką, rzymską, wieki średnie i czasy nowożytne, które liczymy od 1492 roku).

Również jego grono przyjaciół się powiększyło. Rodzice Johna żalowali, że nasz Billy był o cztery lata od niego starszy, a Jimmy o dwa i Stuart o trzy lata młodszy. W takim wieku te różnice były wielkie jak Wielki Kanion. John stronił od gier zespołowych i raczej trzymał się na uboczu. Eleonora musiała na przykład sama wszystko przygotowywać na jego

przyjęcia urodzinowe. Był jednak grzeczny i umiał opowiadać. Kiedy ktoś przejął inicjatywę i zmobilizował go do współpracy, okazywało się, że nawet był lubiany.

Kolejną sensację wywołał, kiedy skończył osiem lat. Kilku szkolnych twardzieli postanowiło się zabawić. Przyczaili się w krzakach na drodze do szkoły i okładali pięściami nieszczęsne ofiary, które wpadały w ich zasadzkę. Autobusy dowoziły jedynie dzieciaki z farm, a Senlac był wciąż jeszcze małym miasteczkiem z mnóstwem krzaków i odludnych miejsc.

Ofiary oczywiście nie miały prawa się poskarżyć nikomu.

Poskarżyli się sami twardziele po ich ataku na Johna Haviga. Z

placzem twierdzili, że wezwał całą armię na pomoc. Faktem jest, że ktoś im spuścił porządne lanie.

Te opowieści skończyły się dla nich dodatkową karą.

– Byki są zawsze tchórzliwe – stwierdzili ich ojcowie. – Patrzcie, co się stało, kiedy ten miły chłopak Havigów nie uciekł, tylko zaczął walczyć.

Przez jakiś czas John stał się obiektem podziwu, chociaż czerwienił się i jękał za każdym razem, kiedy pytano go o szczegóły. Od tamtej pory zaczęto nazywać go Jack.

Szybko zapomniano o całym wydarzeniu, bo akurat tego roku padła Francja.

\*

– Jakież wieści od tego mitycznego wujka? – spytałem Eleonory.

Podczas przyjęcia w domu Stocktonów wyszliśmy na werandę, bo miałem już dość rozmów o polityce.



– Co? – zdziwiła się. Oświetlone okna i szum rozmów za naszymi plecami nie przeszkadzały w podziwianiu pełni księżyca nad kapliczką w Holberg College. – Ach! – odetchnęła z ulgą, kojarząc, o co mi chodzi. – Mówisz o moim synu. Nie. Od dłuższego czasu nie wspomina o nim ani słowa. Miałaś rację. Minęło mu.

– Albo zaczął się lepiej kontrolować. – Gdybym trochę pomyślał, nie powiedziałbym tego głośno.

– Myślisz, że całkiem się zamknął w sobie? – spytała porażona moimi słowami. – Jest nieufny. Nie rozmawia z nami o niczym ważnym. Ani z nikim innym.

– Wrodził się w ojca – powiedziałem pośpiesznie. – Znalazłaś sobie dobrego męża, Ellie, i twoja synowa będzie – miała to samo szczęście. A teraz wracajmy do środka i napijmy się czegoś.

\*

Mam dokładnie zapisane, kiedy Jack Havig stracił kontrolę nad sobą na dłuższą chwilę.

Wtorek, czternasty kwietnia 1942 roku. Dzień wcześniej Tom oznajmił synowi z dumą, że idzie na wojnę. Wcześniej rozmawiał o tym tylko z żoną, bo nie był pewien, czy go zaakceptują. Dostał jednak wezwanie do wojska, a szkoła przyjęła jego rezygnację na koniec semestru.

Z całą pewnością mógł dostać zwolnienie ze służby wojskowej. Miał ponad trzydzieści lat i do tego był nauczycielem nauk ścisłych. Lepiej przysłużyłby się krajowi, zostając w szkole. Ogłoszono jednak oficjalną

krucjatę, dzikie gęsi odlatywały, a pociągi wiozące z mobilizowanych odjeżdżały z gwizdem ze stacji w Senlac. Nawet ja, mimo że byłem starszy od niego, rozważałem możliwość wstąpienia do armii, ale mi to wyperswadowano.

Telefon od Eleonory wyrwał mnie z łóżka tuż nad ranem.

– Bob, musisz przyjechać. Natychmiast! Proszę, proszę... John wpadł w histerię. Nawet gorzej... To może być coś z głową... Bob, przyjedź!

Pośpieszyłem tam oczywiście. Trzymałem chudego chłopaka w ramionach, starając się wyłowić jakiś sens z jego krzyków. W końcu musiałem mu dać zastrzyk na uspokojenie. Zanim to zrobiłem, Jack drżał, wymiotował, trzymał się ojca kurczowo. Potem próbował się okaleczyć i walił głową w ścianę.

– Tato, nie rób tego. Nie jedź tam. Zabiją cię. Wiem o tym, wiem!

Widziałem. Byłem tam... widziałem... stałem za oknem i widziałem, jak mama płakała. Tato, tato!

Musiałem mu podawać środki uspokajające do końca tygodnia.

Trwał w szoku przez większą część maja.

To nie była normalna reakcja. Inni chłopcy, których ojcowie poszli na wojnę, chwalili się tym albo przynajmniej udawali. Jack do nich nie należał.

W końcu pozbierał się i wrócił do szkoły. Korzystał z najmniejszej okazji, żeby być z ojcem. Wykorzystywał jego przepustki i kilka sposobów, o których nikt wcześniej nie pomyślał. Prawie codziennie pisał do ojca

listy.

Tom zginął we Włoszech szóstego sierpnia 1943 roku.

## Rozdział 2

Lekarz nie jest w stanie przetrzymać swoich nieuniknionych pomyłek, jeżeli nie może ich zrównoważyć wystarczającą liczbą sukcesów. Jacka

Haviga zaliczam do tych, którzy zapewнили mi odkupienie. Chociaż pomogłem mu bardziej jako człowiek niż jako lekarz.

Widziałem, że za tą twarzą bez wyrazu kryje się chłopak, który ma poważne problemy. W 1942 roku benzyna była racjonowana tylko we wschodnich Stanach, więc załatwiłem sobie zastępstwo i po zakończeniu szkoły zabrałem Billa i Jacka na wycieczkę.

W Grocie Minnesoty wynajęliśmy canoe i popłynęliśmy w płataninę jezior, bagien i wspaniałych lasów, które rozciągają się aż do Kanady.

Przez cały miesiąc byliśmy szczęśliwi. Ja, mój trzynastoletni syn i mój przybrany syn Jack, który miał, jak sądziłem, dziewięć lat.

To była kraina deszczów i komarów. Wiosłowanie pod wiatr jest ciężką pracą, podobnie jak przenoszenie łodzi lądem. Rozbijanie obozów wymagało więcej wysiłku niż dzisiaj, bo nie było wymyślnego wyposażenia ani opakowanej próżniowo żywności. Jack potrzebował takiego wyzwania. Takiego codziennego wysiłku. Podróż zaczęła go leczyć o wiele szybciej, niż mogłem się spodziewać.

Spokojne poranki. Złote promienie słońca świecące przez drzewa, srebrne odbicia w wodzie, śpiew ptaków, szum wiatru, zapach liści, wiewiórki jedzące z ręki, uciekający jelen, zbieranie jagód na polanie,

dopóki nie zjawił się niedźwiedź, któremu oczywiście ustąpiliśmy miejsca. Olbrzymi łódź przyglądający się spokojnie naszemu canoe. Zachody słońca widziane przez skrzydła nietoperzy, wieczory przy ognisku i niekończące się pytania Billa. Wszystko to pokazało Jackowi, że świat jest wielki, a nasze smutki są tylko jego małą częścią. Spanie w śpiworze i niezliczone gwiazdy na niebie również zrobiły swoje.

Po powrocie do domu popełniłem błąd.

– Mam nadzieję, że zapomniałeś już o tej swojej opowieści o ojcu – powiedziałem. – Nikt nie potrafi przepowiadać przyszłości.

Zbladł, odwrócił się na pięcie i uciekł. Potrzebowałem wielu tygodni, żeby odzyskać jego zaufanie.

Pozorne. Nie zwierzał mi się z niczego poza problemami, jakie mają zwyczajni chłopcy w jego wieku. Nie wspominałem już nigdy o jego obsesji. On również. Na ile pozwalał mi czas i okoliczności, starałem się zastępować mu ojca.

W czasie wojny nie mogliśmy wybierać się na takie dalekie wycieczki, mieliśmy jednak u siebie sporo miejsc do biwakowania. Las Morgana na pikniki, rzekę do łowienia ryb i pływania, jezioro Winnego z moją małą żaglówką. Zawsze mógł korzystać z mojego warsztatu w garażu, kiedy chciał zbudować domek dla ptaków czy zrobić nowy kij do szczotki dla matki. Mogliśmy wtedy pogadać.

Wierzę, że udało mu się pogodzić ze śmiercią ojca, gdy wreszcie to się stało. Wszyscy twierdzili, że jego przecucia to był zwykły zbieg okoliczności.

\*

Eleonora pracowała wtedy w bibliotece i miała dodatkowo kilka godzin tygodniowo w szpitalu. Po śmierci męża zamknęła się w sobie i nigdzie nie chodziła. Kate i ja staraliśmy się wyciągać ją z domu, ale niezbyt często nam się to udawało. Kiedy wreszcie zaczęła wychodzić ze swojej skorupki, to najczęściej z nowym towarzystwem. Starych znajomych ignorowała.

– Wiesz, Ellie – nie mogłem się kiedyś powstrzymać. – Cholernie się cieszę, że znowu zaczęłaś się udzielać. Chociaż, wybacz mi proszę, trochę mnie dziwi to twoje nowe towarzystwo.

– Owszem – odparła, czerwieniąc się i patrząc na bok.

–

To

świetni

ludzie.

Ale

nie

nazwałbym

ich

raczej

intelektualistami...

– Raczej nie... a zresztą... – Wyprostowała się na krześle. – Bob,

bądźmy szczerzy. Nie chcę stąd wyjeżdżać, choćby z powodu tego, co

robisz dla Jacka. Nie chcę też zostać pogrzebana żywcem, jak to się działo

przez pierwsze dwa lata. Tom mnie zdominował. Ja tak naprawdę nie mam umysłu akademickiego jak on. No i... ty, wszyscy, z którymi się spotykaliśmy... jesteście wszyscy żonaci.

Odpuściłem sobie dalsze dywagacje. Przemilczałem również, jak bardzo jej syn czuje się wyobcowany w tym towarzystwie głośno śmiejących się, praktycznych mężczyzn kręcących się wokół niej. I jak bardzo ich zaczyna nienawidzić.

\*

Miał dwanaście lat, kiedy dwa grzyby atomowe zmiotły z powierzchni ziemi dwa miasta i ludzkość straciła swoją niewinność. Jego niesamowity rozwój zaczął mniej odbiegać od normy, począwszy od 1942 roku, ale i tak był nad wiek rozwinięty. To tylko nasiliło jego osamotnienie. Pete Dunbar i inni kumple ze szkoły byli teraz zwykłymi kolegami. Grzecznie, ale stanowczo odmawiał wszelkich kontaktów pozaszkolnych. Odrabiał lekcje, i robił to dobrze, ale jego czas wolny należał tylko do niego i do nikogo więcej. Wiele czytał – głównie książki historyczne. Dużo chodził, malując lub rzeźbiąc narzędziami, które razem robiliśmy.

Nie znaczy to, że był chory. Zdarzają się chłopcy lubiący samotność, którzy kończą jako normalni dorośli. Jack lubił programy dla młodzieży, kochał komiksy i nawet próbował sam je rysować. Pokazywał mi kilka swoich prac. Jeden szczególnie mi utkwił w pamięci, bo był inspirowany którymś numerem „Outsider and Others”, który mu pożyczyłem. W ciemnym, gęstym lesie widać było dwie postacie. Jedna wskazująca na coś

**ręką przypominała niewątpliwie samego H.P. Lovecrafta. Towarzyszyła mu jakaś kobieta, która mówiła: „Oczywiście, że są blade i wyglądają jak grzyby, Howardzie. Bo to są grzyby”.**

**Odkąd zaczął się usamodzielniać, spotykaliśmy się coraz częściej.**

**Różnica wieku między nim a moim Billem zatarła się, więc zaczęli razem chodzić do lasu, nad jezioro czy popływać. W 1948 roku pojechali nawet ponownie do Minnesoty razem z Jimem i Stuartem.**

**– Tato, znasz jakąś dobrą książkę o filozofii? – zapytał mnie mój drugi syn wkrótce po ich powrocie.**

**– Słucham? – Aż odłożyłem gazetę ze zdziwienia. – Filozofia u trzynastolatka?**

**– A czemu nie? – spytała Kate znad swojej robótki na drutach. – W Atenach zaczynali nawet wcześniej.**

**– Mhm. Filozofia to wielki obszar – stwierdziłem. – Co cię konkretnie interesuje?**

**– Och – mruknął. – Wolna wola, czas i takie tam. Jack Havig i Bill ciągle o tym gadali na wycieczce.**

**Dowiedziałem się, że Bill robił za autorytet w liceum, ale kiedyś zaciął się na jednym problemie: czy historia wszechświata została napisana przed jego stworzeniem? Jeżeli tak było, to skąd wiemy, czy naprawdę podejmujemy jakieś niezależne decyzje? A jeżeli nie, to w jaki sposób możemy zmienić przyszłość... lub przeszłość? Licealiści nie potrafili tego przemyśleć tak głęboko jak Jack.**

**Kiedy go zapytałem, co chciałby dostać pod choinkę, odparł:**

**– Coś, co jestem w stanie zrozumieć na temat teorii względności.**

**W 1949 roku Eleonora wyszła ponownie za mąż. Jej małżeństwo było katastrofą.**

**\***

**Sven Birkelund chciał dobrze. Jego rodzice przywieźli go do**

**Ameryki z Norwegii, kiedy miał trzy lata. Teraz miał lat czterdzieści. Był**

**dobrze prosperującym farmerem z wielką posiadłością i pięknym domem**

**leżącym kilkanaście kilometrów od miasta. Był weteranem wojennym i**

**niedawno został wdowcem, który musiał wychować dwóch synów,**

**szesnastoletniego Svena Juniora i dziewięcioletniego Harolda. Był**

**potężnym, rudym i porywczym mężczyzną, który emanował samczą siłą –**

**jak wyjaśniła mi Kate, która go nie cierpiała. Nie był jakimś analfabetą.**

**Prenumerował „Reader's Digest”, „National Geographic” i „Country**

**Gentleman”. Od czasu do czasu czytał książki, lubił podróże i był kutym**

**na cztery nogi biznesmenem.**

**A Eleonora... miała gorący temperament i żyła w celibacie przez**

**sześć lat.**

**Nie da się ostrzec kogoś, kto się zakochał. Ani ja, ani Kate nawet**

**tego nie próbowaliśmy. Poszliśmy na ślub i na wesele, złożyliśmy**

**życzenia. Najbardziej martwiłem się o Jacka. Chłopak stał się**

**wychudzony, ruszał się i mówił jak robot.**

**W swoim nowym domu rzadko miał okazję spotkać się z nami.**

**Później nigdy nie wspominał o tamtych miesiącach. Ja również. Mogłem**

**sobie tylko wyobrażać, co się tam działo. Eleonora pochodziła z rodziny**



należącej do Kościoła episkopalnego, Jack był agnostykiem. Birkelund zaś był wierzącym dosłownie w Biblię luteraninem. Eleonora uwielbiała wyszukaną kuchnię, a Jack kochał jeść. Birkelund i jego synowie żywili się tylko mięsem i kartoflami. Tom zwykle wieczorem najpierw coś czytał, a potem rozmawiał z Ellie. Birkelund zajmował się rachunkami albo siedział przyklejony do radia, czy teraz już telewizora. Tom był liberałem. Birkelund był żarliwym i aktywnym członkiem Legionu Amerykańskiego, nigdy nie opuścił żadnego zebrania i był gorącym zwolennikiem senatora McCarthy'ego.

I tak dalej, i tak dalej. Nie twierdzę, że się rozczarowała w ciągu jednej nocy. Jestem przekonany, że Birkelund starał się jej przypodobać, ale powoli tracił do tego entuzjazm z braku sukcesów. Fakt, że szybko zaszła w ciążę, musiał stworzyć między nimi więź, która trwała przez jakiś czas. (Ellie poskarżyła mi się jednak, byłem przecież lekarzem domowym, że pod koniec ciąży jego nocne wizyty napawały ją wstrętem, ale on nie chciał o niczym słyszeć. Odbylem więc z nim męską rozmowę, po której obiecał się hamować).

Dla Jacka cała ta sytuacja była piekłem na ziemi. Jego przyrodni bracia wrodzili się w ojca i poczuli się dotknięci jego pojawieniem się w rodzinie. Junior, którego życie sprowadzało się do polowania i podrywania dziewczyn, przezywał go maminsynkiem, ponieważ nie lubił zabijać, oraz pedziem, ponieważ nigdy nie umówił się z dziewczyną. Harold natomiast wynajdywał wciąż nowe sposoby, żeby mu dokuczyć, tak jak potrafią to robić dzieciaki w jego wieku, kiedy chcą pogrążyć

**kogoś, kto nie może im nic zrobić.**

**Zamknął się jeszcze bardziej w sobie, ale przetrzymał to wszystko.**

**Nie mam pojęcia, jakim cudem.**

**Jesienią 1950 roku urodziła się Ingeborga. Birkelund nadał jej to imię dla uczczenia ciotki, bo jego matka miała na imię Olga. Wyraził swoje rozczarowanie faktem, że urodziła mu się dziewczynka, ale wydał wielkie przyjęcie. Wszyscy się zdrowo upili, a on co chwila powtarzał, że kiedy tylko doktor pozwoli, weźmie się do płodzenia syna.**

**Doktor wraz żoną dostali zaproszenie, ale mieli już ten termin zajęty. Niczego więc nie widziałem. Słyszałem natomiast, że Jack wyszedł z tego przyjęcia, czym doprowadził Birkelunda do wściekłości. Długo potem powiedział mi:**

**– Kiedy wszyscy goście już poszli albo leżeli pijani na podłodze, dopadł mnie w stodole i oznajmił, że teraz wybije mi z głowy wszystkie głupoty. Powiedziałem, że jeżeli spróbuje, to go zabiję. Naprawdę bym to zrobił. Chyba zrozumiał, bo wyszedł, klnąc pod nosem. Od tamtej pory prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Robilem, co do mnie należało, w polu czy w domu, a po posiłku wracałem do swojego pokoju.**

**Czy gdzie tam znikał.**

**To zawieszenie broni utrzymywało się do grudnia. Nie jest ważne, co wywołało kryzys, bo i tak był on nieunikniony. Poszło o to, że Eleonora spytała Jacka, do jakiego liceum chciałby pójść.**

**– Niech sobie to wybije z głowy i idzie do wojska jak ja! – wydarł się wtedy Birkelund. – Jeżeli nie dostanie powołania, może się sam zgłosić.**

Wybuchła awantura, po której Eleonora zapłakana uciekła na górę do siebie. Następnego dnia Jacka już nie było.

\*

Wrócił pod koniec stycznia. Nikomu nie powiedział, gdzie był ani co robił. Ostrzegł jedynie ojczyrna, że zniknie na dobre, jeżeli ten spróbuje skierować sprawę do sądu dla nieletnich. Jak go znam, musiał całkowicie dominować w tej dyskusji i zasłużył sobie na to, żeby go zostawili w spokoju. Po powrocie zmienił się drastycznie nie tylko jego wygląd, ale i sposób zachowania.

Znowu nastąpiło kruche zawieszenie broni. Sześć tygodni później, kiedy poszedł na swoją zwyczajową przechadzkę po mszy, zapomniał zamknąć swój pokój. Mały Harold wykorzystał to i zaczął grzebać w jego biurku. Coś znalazł i pokazał ojcu. I wszystko zaczęło się rozsypywać.

\*

Za oknem wolno padały wielkie płatki śniegu. Zapadał mrok. Było zimno i cicho. Eleonora siedziała na kanapie w naszym salonie i płakała.

– Bob, musisz z nim porozmawiać. Pomóc mu jakoś... znowu... Co się z nim działo, kiedy zniknął? Co robił?

Kate przytuliła ją do siebie i pozwoliła oprzeć głowę na swoim ramieniu.

– Nic złego, kochana – szepnęła. – Możesz być tego pewna. To przecież syn Toma.

– Wyjaśnijmy sobie fakty – powiedziałem ostrzej, niż zamierzałem.

– Jack ma tę powielaczową broszurkę, którą Sven nazywa komunistyczną

**propagandą. Sven chce wezwać szeryfa, prokuratora okręgowego i**

**każdego, kto może zmusić Jacka do wyjawienia, z kim się zadawał**

**podczas swojej nieobecności. Wymknęłaś się do garażu, wzięłaś**

**ciężarówkę, spotkałaś chłopaka na drodze i przyjechaliście tutaj.**

**– Tak. Bob, nie mogę tu zostać. Ingeborga została w domu... Sven**

**nazwie mnie wyrodną matką...**

**– Mógłbym mu coś powiedzieć o prawie do prywatności. Nie**

**wspominając o wolności słowa, prasy i poglądów. Mówiłaś mu, że**

**zabrałaś broszurkę?**

**– Ja... – Eleonora wyswobodziła się z objęć Kate. Mimo płaczu i**

**szlochania powróciła jej dawna siła. – Jeżeli dowód zniknie, to może**

**sobie wzywać gliniarzy.**

**– Mogę ją zobaczyć?**

**– To tylko wybryk... – Zawahała się. – Bob, to nic ważnego. Jack**

**przecież czeka...**

**– W gabinecie. Wie, że musimy porozmawiać.**

**Jack okazał godny pozazdroszczenia kamienny spokój.**

**– Porozmawiam z nim – powiedziałem. – A Kate zrobi ci kawę i da**

**jakieś ciasteczka. Ale muszę mieć coś, o czym z nim mogę porozmawiać.**

**Bez słowa skinęła głową. Pogrzebała w torebce i podała kilka kartek**

**papieru zszytych razem. Usiadłem w swoim ulubionym fotelu, założyłem**

**nogę na nogę, nabiłem fajkę i zacząłem czytać.**

**Czytałem ten tekst dwa razy. Potem raz jeszcze. I całkiem**

**zapomniałem o siedzących obok mnie kobietach. Przytaczam go tutaj.**

**Słowo w słowo.**

\*

**Wróćmy jednak do początku. Był jedenasty marca Roku Pańskiego**

**1951.**

**Prezydentem Stanów Zjednoczonych był Harry S. Truman. Jako wiceprezydent pokonał w wyborach Thomasa E. Deweya i później miał na tyle odwagi, by przyznać, że jego partia stanowiła przykrywkę dla Moskwy. To była stolica Związku Radzieckiego, którą uwielbiany przeze mnie FDR nazywał ostoją demokracji i walecznym aliantem w świętej wojnie mającej zaprowadzić wieczny pokój. Europa Wschodnia i Chiny stanowiły koniec jej przelyku. W wiadomościach wymieniano następujących obywateli: Alger Hiss, Owen Lattimore, Judith Coplon, Morton Sobell, Julius i Ethel Rosenberg<sup>1</sup>. Jakimś cudem ani ja, ani moi przyjaciele nie przestali przez to uważać Josepha McCarthy'ego za potwora<sup>2</sup>. Sześć i pół roku po zakończeniu wojny światowej młodzi Amerykanie ginęli w bitwach pod sztandarem Narodów Zjednoczonych. Tym razem ich zabójcami byli północni Koreańczycy i Chińczycy. Niecałe dwa lata wcześniej wybuchła pierwsza radziecka bomba atomowa. Niewiele starsze od niej NATO wyglądało jak kwiatek stojący na drodze setek radzieckich dywizji. Większość z nas starała się żyć normalnie, oczekując lada chwila wybuchu trzeciej wojny światowej. Trudno mi było winić Svena Birkelunda, że zareagował gwałtownie. Czytając jednak, czułem narastające zdumienie. Ktokolwiek to napisał, wiedział, co to jest komunizm, ale nie był komunistą. Kim więc był autor? Wróćmy do początków. Postarajmy się zrozumieć nasz świat z 1951 roku. Nie licząc kilku ekstremistów, Ameryka nigdy nie wątpiła w**

**ślusznosc swoich racji czy w swoje prawo do istnienia. Wiedzieliśmy, że mamy kłopoty. Wszyscy jednak zakładali, że dadzą się one rozwiązać.**

**Potrzeba było tylko czasu i dobrej woli, a wtedy wszyscy – bez względu na kolor skóry, pochodzenie czy wyznanie – będą żyli razem i szczęśliwie.**

**1 Nazwiska radzieckich szpiegów atomowych w USA, zdemaskowanych w czasie zimnej wojny (wszystkie przypisy tłumacza).**

**2 Senator Joseph McCarty rozpoczął w USA słynne „polowania na czarownice” - szukając domniemanych komunistów.**

**Prawa dla czarnych były pieśnią przyszłości. Zamieszki studenckie zdarzały się tylko za granicą, a my martwiliśmy się, że nasi studenci są apatyczni. Indochiny, położone gdzieś daleko, sprawiały jakieś drobne kłopoty... Francuzom.**

**Telewizja zaczynała się rozpowszechniać i trwała dyskusja nad skutkami tego wynalazku. Międzykontynentalne rakiety z głowicami atomowymi były już w planach, ale nikomu nie przychodziło jeszcze na myśl, że można je zastosować do czegoś innego niż do globalnego zniszczenia. Wspominano o przeludnieniu, ale wkrótce temat spadł z czołówek gazet z braku zainteresowania. Penicylina i DDT były najlepszymi przyjaciółmi człowieka. Rezerwaty przyrody oznaczały zachowywanie niektórych obszarów w ich stanie naturalnym, a w przypadku najbardziej światłych farmerów również orkę konturową na wzgórzach. Smog pojawiał się jedynie w Los Angeles i od czasu do czasu w Londynie. Oceany miały wiecznie przyjmować i oczyszczać nasze odpady. Loty kosmiczne były planowane na kolejny wiek, kiedy jakiś**

ekscentryczny milioner zdecyduje się je finansować. Komputery były olbrzymie, drogie i miały mnóstwo migających lampek. Ci, którzy interesowali się nauką, słyszeli o tranzystorach i zapewne potrafili sobie wyobrazić miniaturowe radia kieszonkowe. Nie zmieniało to doli rolników w Indiach czy w Afryce. Środki antykoncepcyjne musiały być mechaniczne. Geny miały być umiejscowione w chromosomach. Przeznaczeniem człowieka było rządzenie maszynami, o ile nie stoczy się do epoki kamienia łupanego.

Postarajcie się wejść w skórę kogoś, kto żył w 1951 roku. Jeżeli to jest w ogóle możliwe. I przeczytajcie ten tekst opatrzony notą: „Copyright © 1970 by John F. Havig”.

### Rozdział 3

#### SKRÓCONY SŁOWNIK UŻYWANYCH POJEĆ

*Agresja*: Dowolna polityka zagraniczna stosowana przez *faszystów*.

*Aktywista*: Osoba stosująca taktykę w służbie *wolności*. Stosowana przez *faszystów* nosi nazwę *maccartyzmu* lub *represji*.

*Biały*: Właściwy człowiek. Nie mylić z *czarnym*, *czerwonoskórym*, *brązowym* i *żółtkiem*.

*Biedni* (zawsze należy to pisać z rodzajnikiem określonym, a czasami nawet wielką literą): Klasa osób posiadająca mniej bogactw i przywilejów niż inni. Definicja *postępowa* obejmuje wszystkich *brązowych*, *czerwonoskórych*, *czarnych* i *żółtków* niebędących *faszystami*, bez względu na osiągnięte dochody.



**Bohater:** Osoba poświęcająca się i podejmująca ryzyko dla *postępowego celu*. Patrz: *świnia* i *szturmowiec*.

**Bombardowanie:** Sposób prowadzenia wojny polegający na zrzucaniu środków wybuchowych z powietrza. Potępiane za skutki, jakie wywołuje w stosunku do kobiet, dzieci, starców, chorych i innych osób niezwiązanych z wojną, o ile nie są mieszkańcami Berlina, Hamburga, Drezna, Tokio, Osaki etc., a także Hiroszimy i Nagasaki. Patrz: *pociski rakietowe*.

**Brązowy:** Pochodzenia meksykańskiego. Nie mylić z *czarnym*, *czarwonoskórym*, *białym* lub *żółtkiem*.

**Broń jądrowa:** Broń oparta na energii atomowej. Stosowana przez państwa faszystowskie do *agresji*. Kraje *postępowe* stosują ją w celu obrony *pokoju*,

**Brutalność:** Każda akcja policji. Patrz: *świnie*.

**Chwała:** Wyświechtane hasło, chyba że odnosi się do *bohatera* lub *męczennika*.

**Czarny:** Potomek ludów subsaharyjskiej Afryki, którego kolor skóry waha się od brązowego do barwy kości słoniowej. Nie należy mylić z *brązowym*, *czarwonoskórym*, *białym* czy *żółtkiem*. Słowo to zastąpiło pojęcie Murzyna, uważane dzisiaj za obraźliwe.

**Czarwonoskóry:** (1) Osoba pochodząca od Indian. Nie mylić z *czarnym*, *brązowym*, *białym* i *żółtkiem* ani z „Meksykaninem” (choć on pochodzi od Indian również).

***Czerwony:*** Bojownik o wolność. Nie mylić z czerwonoskórym.

***Demokracja:*** Naród, którego rząd, wybrany w wolnych wyborach, realizuje wolę większości. Na przykład Czechosłowacja.

***Ekologia:*** (1) Definicja przestarzała: nauka badająca wzajemne relacje między istotami żywymi a ich środowiskiem naturalnym. (2)

Wszystko co nie jest człowiekiem, a co jest niszczone przez *establishment*. Na przykład drzewa i sokoły, ale już nie szczury, wróble, algi etc. Dlatego państwa postępowe nie mają ekologii.

***Establishment:*** Wszelka władza sprzyjająca konserwatystom.

***Faszysta:*** Osoba faworyzująca działania sprzyjające przeżyciu Zachodu.

***Honor patrz:*** chwala.

***Imperialista:*** Osoba uważająca, że Zachód ma wszelkie prawa do swoich terytoriów zamorskich.

***Jeden człowiek, jeden głos:*** praktyczne zastosowanie koncepcji gerrymanderingu<sup>3</sup>, polegające na wymianie starych oszustów na nowych oszustów. Celem tego działania jest zapewnienie prawdziwej *demokracji*.

***Kolonialista:*** Każdy, kto wierzy, że wszyscy ludzie pochodzący z Europy lub z Ameryki Północnej mają jakiegokolwiek prawo do mieszkania na terenach poza Europą i Ameryką Północną tylko dlatego, że ich przodkowie przypadkiem tam się osiedlili. Nie dotyczy Rosjan. Patrz: *tubylcy*.

***Kompleks wojskowy:*** Połączone siły liderów wojska i przemysłu, którzy naprawdę rządzą USA. Nie mylić z połączonymi siłami liderów wojskowych i przemysłowych państw socjalistycznych i ZSRR.

***Konformista:*** Ktoś, kto przyjmuje wartości lansowane przez *establishment*

*bez*

zadawania

zbędnych

pytań.

**Patrz:**

*nonkonformista.*

***Konserwatysta patrz:*** *agresja, bombardowanie, brutalność, szowinizm, kolonializm, obozy koncentracyjne, konformista, establishment, faszysta, imperialista, maccartyzm, najemnicy, kompleks wojskowy, rakiety, napalm, świnia, plutokrata, uprzedzenie, prawo własności, rasista, reakcjonista, represja, szturmowiec, ksenofobia.*

***Kryminalista:*** *Faszysta, zwłaszcza jeżeli da się złapać i skazać.*

***Ksenofobia:*** *Brak wiary w zdolność innych do rządzenia nami.*

3 Nazwa określająca manipulacje dokonywane przy wytyczaniu granic okręgów wyborczych w celu uzyskania korzystnego wyniku przez partię mającą wpływ na kształtowanie ordynacji wyborczej.  
Nazwa

pochodzi od pojęcia *gerrymander*, którym w języku angielskim przyjęto nazywać okręgi wyborcze o dziwnych kształtach, stworzone z manipulacyjnymi zamierzeniami.

**Lud** (zawsze należy to pisać z rodzajnikiem określonym, a czasami nawet wielką literą): Ci, którzy popierają *wyzwolenie*. Każdy, kto nie jest *faszystą*, należy do *ludu*. Czy tego chce czy nie.

**Maccartyzm**: Mordowanie osób dla celów politycznych poprzez oskarżanie ich o przynależność do komunistycznej konspiracji.

Zwłaszcza

w

wykonaniu

admiratorów

senatora

Josepha

McCarthy'ego. Nie mylić z oskarżaniem kogoś o przynależność do *faszystowskiej* konspiracji, zwłaszcza jeżeli jest to czynione przez admiratorów senatora Eugene'a McCarthy'ego.

**Męczennik**: Osoba, która cierpi lub umiera w imię *wyzwolenia*. Nie mylić z kryminalistą lub ogólnie z osobistymi wrogami.

**Miłość**: Uczucie, które gdyby było powszechnie odczuwane, automatycznie rozwiązałyby wszystkie problemy ludzkości.

Niektórzy jednak (patrz: *konserwatysta*) są do niego z definicji niezdolni.

**Najemnik**: Żołnierz pracujący za pieniądze dla nie swojego rządu.

Patrz: *ONZ*.

**Napalm**: Galaretowata postać benzyny, podpalana i zrzucana na

osobistych wrogów. Potępiany przez wszystkich prawdziwych liberalów, o ile nie jest używany przez Izraelczyków wobec Arabów.

*Nonkonformista:* Ktoś, kto akceptuje postępowe wartości bez zadawania kłopotliwych pytań. Patrz: *konformista*.

*Obozy koncentracyjne:* Ogródzony teren, na który spędza się ludzi podejrzanych przez jakiś rząd lub siły okupacyjne. Kraje postępowe i ruchy wyzwolenicze nie mogą posiadać obozów koncentracyjnych, bo z definicji są popierane przez własny naród. Np. liberalowie uważają za nietaktowne wspomnianie o problemie Japończyków urodzonych w USA.

*ONZ:* Międzynarodowa organizacja używająca wojsk Indii, Szwecji, Irlandii, Kanady etc. w różnych częściach świata, żeby pogłębić zasady samostanowienia.

*Opad radioaktywny:* Radioaktywne pozostałości po bombach jądrowych, szeroko roznoszone po świecie w wyniku próbnych wybuchów w atmosferze. Powszechnie potępiany za szkodliwe efekty dla ludzkiego zdrowia i dziedziczności. Chyba że takie próby są prowadzone w państwach postępowych.

*Organiczny:* Żywność wyhodowana naturalnymi metodami bez używania środków chemicznych. Czyli wolna od szkodliwych składników, zakażenia, skażenia etc, które mogło powstać wskutek sztucznego nawożenia i spryskiwania chemikaliami obszarów rolnych.

*Personel:* Członek organizacji wojskowej lub policyjnej, wrogiej lub

**przyjaznej. Nie mylić z człowiekiem.**

***Plutokrata:*** Obywatel republiki, który posiada wielkie bogactwa, nie chce ich dzielić z *biednymi* i posiada niezasłużoną władzę. Nie należy mylić z **Kennedym**.

***Pokój.*** Ostateczne rozwiązanie problemu *faszyzmu*. ***Pokojowe***

***współistnienie:*** Stadium przejściowe prowadzące do *pokoju*, który eliminuje *agresję* i prowadzi do *świętego wyzwolenia*.

***Postępowy:*** Prowadzący do *wyzwolenia*.

***Prawa człowieka:*** Wszelkie prawa ludzi do *wolności*, o ile nie naruszają *prawa własności*, ponieważ to ostatnie nie ma nic wspólnego z prawami człowieka.

***Prawa własności:*** Prawa należne osobie, która zarobiła lub w inny sposób weszła w legalne posiadanie własności do czegoś i tym samym zapewniła sobie możliwość cieszenia się z posiadania tego czegoś. Nie mylić z *prawami człowieka*.

***Rakieta:*** Urządzenie do przenoszenia ładunków wybuchowych.

Potępiane za skutki, jakie wywołuje w stosunku do kobiet, dzieci, starców, chorych i innych osób niezwiązanych z wojną, o ile nie są mieszkańcami Sajgonu, Da Nang, Hue etc. Patrz: ***bombardowanie***.

***Rasista:*** Biały, który na widok *czarnego* odczuwa współczucie.

***Reakcjonista:*** człowiek niepostępowy.

***Represje:*** Odmowa prawa do wolności słowa (na przykład kiedy

***aktywista*** nie otrzymuje pozwolenia wejścia na mównicę) lub

prawa do wolności prasy (na przykład przez odmowę druku, emisji

w TV i przyjęcia do rozpowszechniania dzieł *aktywisty*), czy prawa do wyrażenia swojej opinii (na przykład przez działania policji). Nie mylić z ochroną *ludu* przed zakażeniem reakcyjnymi poglądami.

**Republika:** Państwo, którego rząd nie jest wybierany przez dziedziczenie czy na podstawie bogactwa, ale przez wybory dające mandat do rządzenia. **Republika Ludowa:** Państwo, w którym odbywa się to samo za pomocą karabinów.

**Rozwój:** (1) W krajach faszystowskich polega na zrównywaniu terenu buldożerami, budowaniu obskurnych szeregowców etc. (2)

W krajach postępowych polega na zapewnianiu ludności domów lub szerzej wykorzystywaniu surowców naturalnych do zaspokojenia ludzkich potrzeb.

**Samostanowienie:** Prawo wyróżnionej kulturowo lub etnicznie grupy do samodzielnego rządzenia (na przykład Biafra, Bengal Wschodni, Goa, Katanga, Synaj, Tybet, Ukraina etc).

**Szowinizm:** Wiara wszystkich *białych z Zachodu*, że mogą coś mówić o swoim kraju, cywilizacji, rasie, płci czy o sobie samych.

**Szowinista:** każdy z nich. Ekstrapolując – każdy faszysta dowolnej narodowości, rasy czy płci.

**Szturmowiec:** Osoba, która się poświęca lub ryzykuje dla sprawy *faszyzmu*. Patrz: *bohater*.

**Świnia:** (1) Zwierzę znane ze swojej wartości, inteligencji, odwagi, wierności, milego usposobienia, oraz (jeżeli dostanie szansę na

**długie życie) czystości. (2) Policjant. Patrz: *aktywista*.**

***Trawka:* Marihuana. Nie wiem, czy warto o tym znowu się rozwodzić.**

***Tubylec:* Nie *biały* mieszkaniec obszaru, którego przodkowie byli właścicielami danego obszaru.**

***Uprzedzenie:* Wrogość lub niechęć do osób lub grup na bazie czysto klasowej i bez oglądania się na fakty. Nie mylić z osądami wrogów *ludu* (patrz: *konserwatysta*).**

***Wicher historii:* Poetycka metafora na określenie klęski sił reakcjonistów. Nie można stosować tej metafory w przypadku odradzania się takich sił.**

***Wolność:* Natychmiastowe wynagrodzenie.**

***Wyzwolenie***

***kobiet:***

**Ruch**

**sprzeciwiający**

**się**

**męskiemu**

***szowinizmowi.***

***Wyzwolenie:* Pozbycie się samemu lub z pomocą zagranicy rządów typu zachodniego, zachodnich wpływów i instytucji. *Święte***

***wyzwolenie:***

**Wyzwolenie**

**mające**



miejsce

w

państwach

socjalistycznych.

***Żółtek: Osoba pochodzenia azjatyckiego. Nie mylić z białym, czarnym, czerwonoskórym czy brązowym.***

#### **Rozdział 4**

**Kiedy wszedłem do gabinetu, przez chwilę czułem się w nim obco. Moje biurko, lampa do czytania, zużyty, obijany skórą fotel bujany, wyściełane końskim włosiem krzesło dla pacjentów, półki z książkami, dyplomy w ramkach, uchylone drzwi do sali zabiegowej z widocznymi w głębi instrumentami – wszystko wydawało mi się przez chwilę nie na miejscu.**

**Nagle uświadomiłem sobie, że najpóźniej za dziesięć lat będę musiał przejść na emeryturę.**

**Padający za oknem śnieg stał się jeszcze gęstszy, nadając szybom matowej poświaty. Jack zapalił sobie lampę i czytał jakieś czasopismo.**

**Poza tym pasmem światła panowała ciemność. Kaloryfer brzęczał, ogrzewając i przy okazji wysuszając powietrze.**

**– Przykro mi, że narobiłem panu kłopotów, doktorze Anderson – powiedział Jack, wstając na mój widok.**

**Skinąłem ręką, żeby usiadł. Sam usadowiłem się naprzeciwko i sięgnąłem po tytoń do fajki. Za dużo paliłem i miałem już zdrętwiałe wargi, ale potrzebowałem jakiegoś zajęcia dla palców.**

– Jak to się panu podoba? – spytał bezosobowym tonem Jack,

wskazując broszurkę, którą rzuciłem na biurko.

Przyjrzałem mu się przez swoje dwuogniskowe okulary. To nie był

już ten dzieciak, który wiedział, że jego ojciec zginie; ani nawet

młodzieniec, który nieudolnie starał się skrywać swój żal, kiedy matka

brała ślub z jego ojczymem w zeszłym roku. Naprzeciw mnie siedział

młody mężczyzna o starych oczach.

Te oczy były szare, w wąskiej twarzy z ostro zarysowanym nosem.

Włosy ciemnoblonde i drobną budowę odziedziczył po Tomie. Pełne i żywe

usta, nieprzystające do tego ascetycznego ciała, miał po Eleonorze. Całość

tworzyła Johna Haviga, którego nigdy nie znałem.

Ubrany był niechlujnie, jak zwykle. Miał na sobie flanelową koszulę

w kratę i niebieskie dżinsy, w których chodził na te swoje wędrówki.

Robił wrażenie raczej czujnego niż zakłopotanego i nie spuścił wzroku.

– Cóż – powiedziałem – oryginalne. Choć musisz przyznać, że może

nieco namieszać w głowie.

– Chyba tak. To pamiątka. Pewnie nie powinienem jej tu przywozić.

– Z tych twoich... podróży? Gdzie byłeś, Jack? – spytałem, nabijając

fajkę.

– Tu i tam.

Pamiętałem

małego

uparciucha,

który

**udzielał**

**podobnej**

**odpowiedzi, kiedy pewien nieznajomy sprowadził go z powrotem do domu. Dzięki temu przypomniałem sobie o wiele więcej.**

**Trzask pocieranej zapalki wydawał się o wiele głośniejszy niż normalnie. Przypaliłem fajkę, pociągnąłem i przez chwilę zastanawiałem się, jak to powiedzieć.**

**– Posłuchaj, Jack. Masz kłopoty. Co gorsza, twoja mama także. – To go dopiero siekło. – Jestem przyjacielem was obojga i chcę wam pomóc, ale, do diabła, musisz współpracować.**

**– Chciałbym, doktorze – szepnął.**

**– OK – powiedziałem, wskazując broszurkę. – Mów, że pracujesz nad powieścią science fiction osadzoną w roku 1970 i to są twoje materiały pisarskie. Pomyślą, że niepotrzebnie robisz tajemnice, ale to już twoja sprawa. Tylko że to zostało powielone, a to już nie jest tylko twoja sprawa. Nikt nie korzysta z powielaczy w domu. Tylko instytucje rządowe i firmy. Co to za ugrupowanie?**

**– Żadne. To tylko grupka przyjaciół. – Pociągnął nosem, jakby miał katar. – Niewielka grupka wśród tych wszystkich biesów kwiczących swoje slogany.**

**– Napijesz się? – spytałem, wstając.**

**– Dzięki. – Uśmiechnął się wreszcie. – Właśnie tego mi potrzeba.**

**Nalewając brandy – czasami zarówno ja, jak i pacjent potrzebujemy czegoś mocniejszego, kiedy muszę oznajmić przykrą wiadomość –**

**dziwiłem się, skąd mi przyszedł do głowy taki pomysł. Dzieciaki nie powinny pić. Chyba że małe piwo od święta. Znowu sobie uświadomiłem, że to nie jest już dziecko.**

**Wypił z wprawą dorosłego przyzwyczajonego do większego pijaństwa. Gdzie się tego nauczył? Przecież nie było go zaledwie miesiąc.**

**– Nie chcę, żebyś mi zdradzał jakieś sekrety – powiedziałem, siadając z powrotem. – Chociaż wiesz zapewne, że słyszę o wielu sprawach i zawsze dochowuję tajemnicy. Proszę cię o pomoc w ułożeniu jakiejś prawdopodobnej wersji i o zastanowienie się, jak trzeba postępować na przyszłość. Dzięki temu twoja matka przestanie mieć kłopoty.**

**– Masz rację – rzekł, marszcząc czoło. – Problem polega na tym, że nie wiem, co powiedzieć.**

**– Może po prostu prawdę?**

**– Nie chcesz znać prawdy, doktorze. Proszę mi wierzyć.**

**– Piękno jest prawdą, prawda pięknem... jak mawiał poeta Keats.**

**On też studiował medycynę i dlatego znalazł się na tym. Jack, założę się o dziesięć dolców, że mogę opowiedzieć z dziesięć prawdziwych historii, które zgorszą cię bardziej, niż ty będziesz w stanie kiedykolwiek mnie zszokować.**

**– Nie zakładam się. To nie byłoby uczciwe.**

**Milczałem, czekając na ciąg dalszy.**

**Wypił swoją szklankę do dna i wyciągnął ją w moją stronę. Na jego twarzy pojawiło się zdecydowanie.**

– Proszę o dolewkę, doktorze, a opowiem wszystko.

– Doskonale. – Butelka nieco trzęsła mi się w rękach. – Przysięgam, nic, co usłyszę, nie wydobędzie się na zewnątrz.

– Nie ma sensu przysięgać. – Zaśmiał się nerwowo. – Będziesz siedział cicho, doktorze.

Upił spory łyk, popatrzył na mnie i mruknął:

– Cieszę się. To był straszny ciężar. Przez całe życie. Nikomu nie mogłem o tym powiedzieć...

Znów czekałem, pykając fajką.

– Przez cały czas byłem w okolicach San Francisco – rzekł gwałtownie. – Konkretnie w Berkeley. Ponad rok.

Odruchowo zacisnąłem palce na fajce.

– Tak, tak – mówił dalej. – Wróciłem do domu po miesiącu nieobecności, ale poza domem spędziłem jakieś osiemnaście miesięcy. Od jesieni 1969 roku do końca 1970... To nie jest dokładnie półtora roku – dodał po chwili – ale trzeba doliczyć moje wizyty w innych przyszłościach.

Kaloryfer zasyczał parą. Na czole mojego przybranego syna pojawiły się kropelki potu. Zacisnął dłoń na szklance równie mocno jak ja swoją na fajce. Nie zmienił jednak spokojnego tonu głosu.

– Posiadasz maszynę czasu? – wybąkałem.

– Nie. – Potrząsnął głową. – Sam poruszam się w czasie. Proszę nie pytać jak. Nie mam pojęcia. – Uśmiechnął się nerwowo. – Wiem, to paranoja. Ubzdurałem sobie, że jestem kimś wyjątkowym we

wszechświecie... Ale coś zademonstruję. – Kiwnął zapraszająco ręką. –

**Proszę tutaj. Sprawdzić. Upewnić się, że nie umieścili tu żadnych**

**luster, zapadni, czy czegokolwiek. Przecież to twój gabinet.**

**Czułem się trochę jak głupek, kiedy obchodziłem wkoło jego**

**krzesło. Wiedziałem przecież, że nie było sposobu, by mógł cokolwiek**

**zainstalować w moim gabinecie.**

**– Zadowolony? – spytał. – Przenieś się teraz w przyszłość. Jak**

**daleko? Może pół godziny? Chyba nie wytrzyma pan tyle czasu w**

**bezczywności. W takim razie piętnaście minut. – Sprawdził czas na moim**

**zegarze. – Jest 4:17. Pojawię się tutaj o 4:30 plus minus kilka sekund.**

**Tylko żeby nikt nie siedział na tym krześle. Nie mogę się pojawić w**

**przestrzeni zajmowanej przez jakiegokolwiek ciało stałe.**

**– No dobra, Jack – powiedziałem drżącym głosem. Czułem, jak mi**

**pulsują żyły.**

**– Trzymaj się, doktorze. – Czule ścisnął mi rękę na pożegnanie.**

**I zniknął. Wydawało mi się, że słyszę ciche syknięcie powietrza w**

**miejscu, gdzie przed chwilą siedział. Krzesło jednak było puste.**

**Ponownie usiadłem za biurkiem i bezmyślnie czekałem te piętnaście**

**minut. Nawet nie wiem, czy o czymś myślałem.**

**Nagle pojawił się znowu, siedząc jak poprzednio. O mało nie**

**zemdlałem z wrażenia.**

**– Doktorze, spokojnie! – Doskoczył do mnie. – Wszystko jest OK.**

**Proszę się napić...**

**Potem zrobił kilka innych pokazów. Pojawił się na przykład na kilka**

**sekund przed swoim zniknięciem.**

\*

**Zrobiło się naprawdę późno.**

**– Nie mam pojęcia, jak to działa – powiedział. – Jakoś to robię mięśniami, ale nie w taki sposób, jak możesz to sobie wyobrazić. Zgodzisz się chyba, doktorze, że cała twoja wiedza nawet nie dotyka wierzchołka tej góry tajemnic.**

**– Co czujesz? – spytałem, dziwiąc się, z jakim spokojem to mówię.**

**Bardziej mną wstrząsnęła wiadomość o zniszczeniu Hiroszimy. Może w głębi duszy zawsze wiedziałem, kim był Jack Havig.**

**– Trudno to opisać. To akt woli, żeby przenieść się w przyszłość lub w przeszłość. Tak samo jak aktem woli jest podnieść tę szklankę. To działa tak samo jak zginanie palców. Wystarczy chcieć zrobić. – Szukał odpowiednich słów. – Kiedy się przenoszę, jestem w jakimś cieniu.**

**Światło zmienia się od zera do szarości. Kiedy się przenoszę dalej niż o jeden dzień, wszystko zaczyna migać. Przedmioty stają się niewyraźne, zamglone i płaskie. Kiedy postanawiam się zatrzymać, to staję i znów jestem w normalnym świecie... W czasie podróży nie mogę oddychać.**

**Muszę się zatrzymywać od czasu do czasu, żeby zaczerpnąć powietrza.**

**– jak to? Skoro nie możesz oddychać w czasie podróży, nie możesz niczego dotknąć i nikt cię nie widzi, jakim cudem sam cokolwiek widzisz?**

**– Tego też nie wiem. Czytałem podręczniki fizyki, żeby wyrobić sobie pojęcie na ten temat. Wiem tylko, że to musi być jakaś siła. To, co mnie napędza. Coś, co działa przynajmniej w czterech wymiarach. Może to ma związek z polem elektromagnetycznym? Może jakieś fotony**

**wpadają w pułapkę tej siły razem ze mną i również podróżują?**

**Jakakolwiek**

**materia,**

**nawet**

**zjonizowana,**

**posiadająca**

**masę**

**spoczynkową, nie może ze mną podróżować... To tylko zgadywanie.**

**Żałuję, że nie mam odwagi wtajemniczyć w to wszystko żadnego**

**naukowca.**

**– To mnie przerasta, Jack. Mówiłeś, że przenoszenie nie dzieje się**

**natychmiast. Ile czasu ci zajmuje? Ile minut na przebycie roku?**

**– Nie ma reguły. To zależy tylko ode mnie. Czuję, jaki wysiłek**

**wkładam w daną podróż, i mogę go zwiększyć. Nie wiem, jak to**

**powiedzieć... jeżeli się napnę, poruszam się szybciej. Ale to mnie**

**wyczerpuje, więc chyba te podróże czerpią ze mnie energię. To nigdy nie**

**trwało dłużej niż kilka minut na moim zegarku, a mówię teraz o podróże**

**przez kilka wieków.**

**– Kiedy byłeś dzieckiem...**

**– Tak, słyszałem o tym. Lęk przed upadkiem jest instynktowny,**

**prawda? Myślę, że kiedy mama mnie upuściła, odruchowo przeniosłem**

**się w przeszłość... i przez to uniknąłem upadku.**

**Upił łyk brandy.**

**– Moje zdolności rosły razem ze mną. Teraz prawdopodobnie nie**



mam już żadnych ograniczeń. Jedynie co do masy, którą jestem w stanie ze sobą zabrać. Załedwie kilka kilogramów łącznie z ubraniem. Jeżeli próbuję więcej, nie mogę się ruszyć. Gdybyś na przykład mnie trzymał, to nie byłbym w stanie nigdzie się przenieść, ponieważ twoja masa przekracza limit. Nie mógłbym po prostu zostawić cię na miejscu. Ta siła działa na wszystko, co ma ze mną kontakt. – Uśmiechnął się smutno. – Z wyjątkiem samej Ziemi, jeśli przypadkiem podróżuję na bosaka. Sądzę, że tak duża masa oprócz grawitacji ma jeszcze... jak to powiedzieć... własną kohezję, która jest o wiele potężniejsza niż moje siły.

– Ostrzegałeś mnie przed kładzeniem czegokolwiek materialnego na krześle, na którym się pojawiłeś.

– Właśnie. Tego nie potrafię. Próbowałem już. Umiem natomiast obchodzić taką masę. W ten sposób mogłem się zjawić obok siebie. Tak na marginesie powierzchnia, na której mam się pojawić, może się obniżać lub podwyższać. Nie ma to znaczenia, bo w jakiś sposób robię to samo. I zawsze utrzymuję tę samą pozycję geograficzną. Nie ma znaczenia, że Ziemia wiruje wokół osi, Słońce i Układ Słoneczny podróżują przez Galaktykę... zawsze utrzymuję tę samą pozycję. Myślę, że to zasługa grawitacji. A co do ciał stałych... Raz próbowałem wejść w środek wzgórza. Byłem wtedy dzieciakiem i nie umiałem myśleć. Mogłem wejść w środek wzgórza. To było łatwe. Ale znalazłem się w całkowitej ciemności i nie mogłem oddychać, ani nawet się ruszyć. Jakbym się znalazł w betonie. – Zadrżał na wspomnienie tej historii. – Ledwo udało mi się wydostać na powierzchnię.

– Materia stała ci się opiera – zaryzykowałem własną opinię. –

Płynny jesteś w stanie przezwyciężyć, kiedy się wynurzasz z podróży, ale materii stałej nie.

– Też tak myślę. Gdybym utknął w tym wzgórzu, to prawdopodobnie razem ze swoim ciałem. Moje zwłoki pojawiłyby się na powierzchni po erozji tego wzgórza.

– Niesamowite, że takiemu dzieciakowi udało się wszystko utrzymać w tajemnicy.

– Chyba sprawilem mamie mnóstwo kłopotów. Niewiele pamiętam.

Kto z nas pamięta pierwsze lata swojego życia? Zapewne chwilę mi zajęło, nim sobie uświadomiłem, że jestem jakoś wyjątkowy. Wtedy się tego przestraszyłem. Może podróżować w czasie było niegrzeczne? A może byłem chory? Nieważne. Wujek Jack wszystko mi wyjaśniał.

– Ten nieznajomy, który przyprowadził cię wtedy do domu?

– Tak. To akurat pamiętam. Wybrałem się daleko w przeszłość na poszukiwanie Indian. A znalazłem jedynie wielki las. Wtedy on się pojawił. Przeszukiwał ten obszar przez wiele lat. I miło spędziliśmy czas. Potem wziął mnie za rękę i pokazał, w jaki sposób wrócić do domu. Mógł mnie odstawić zaledwie kilka minut po moim zniknięciu i oszczędzić rodzicom godzin niepewności. Mam wrażenie, że chciał mi pokazać, jak bardzo rodziców skrzywdziłem. A przy okazji nauczyć mnie dyskrecji. Potem odbyliśmy kilka wspaniałych wycieczek – ciągnął rozmarzony. – Wujek Jack był doskonałym nauczycielem i wspaniałym towarzyszem. Nigdy nie miałem powodu, żeby się go nie słuchać. Z wyjątkiem kilku

**kawałów robionych Pete'owi. Wujek Jack nauczył mnie mnóstwa rzeczy, których sam nigdy bym nie odkrył.**

**– Sam też znikaleś – przypomniałem mu.**

**– Rzadko. Na przykład kiedy napadło mnie kilku dryblasów ze szkoły. Musiałem się cofać w czasie kilkakrotnie, aż w sumie przeważyliśmy ich liczebnie.**

**– Nic dziwnego, że rozwijałeś się w takim tempie... Kiedy dowiedziałeś się, że ojciec idzie na wojnę, to chciałeś się upewnić, czy nic mu nie będzie, prawda?**

**– Tak. – Jack posmutniał. – Przeskakiwałem do przodu i co jakiś czas sprawdzałem, czy wszystko jest w porządku. Wreszcie dostrzegłem przez okno, jak mama płacze. Wtedy cofałem się, aż udało mi się przeczytać ten telegram. Boże! Potem przez długi czas bałem się podróżować. Nie sądziłem, że kiedykolwiek jeszcze się odważę.**

**Na długą chwilę zapadła cisza.**

**– A kiedy ostatnio spotkałeś tego wujka? – spytałem ostrożnie.**

**– W 1969. A poprzednio tuż zanim dowiedziałem się o ojcu. Wtedy wujek Jack był szczególnie dla mnie miły. Poszliśmy do starego cyrku, gdzieś w dziewiętnastym wieku. Dziwiłem się, dlaczego on jest taki smutny i dlaczego w kółko od nowa tłumaczy mi potrzebę zachowania wszystkiego w tajemnicy. Teraz już wiem.**

**– Wiesz, kto to jest?**

**Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.**

**– A jak myślisz?**

\*

**Podjął opowieść po dłuższej chwili.**

**– Znowu zacząłem podróżować w zeszłym roku. Musiałem znaleźć jakieś schronienie od... tego wszystkiego... no wiesz... co się działo na farmie. Najpierw zrobiłem kilka skoków w przeszłość. Nawet nie masz pojęcia, jak tu było pięknie przed pojawieniem się osadników. A Indianie... cóż, mam pośród nich wielu przyjaciół. Znam zaledwie kilka słów w ich języku, ale są bardzo gościnni. A ich dziewczyny są zawsze gotowe, chętne i pomysłowe.**

**Nie mogłem powstrzymać śmiechu.**

**– Sven Młodszy ciągle ci zarzuca, że nie chodzisz na randki.**

**– Możesz się domyślić, jak te podróże mnie uspokajają. –**

**Uśmiechnął się znacząco. – Ale pewnie rozumiesz, jak trudno mi jest w domu – przynajmniej w tym miejscu, które Birkelund nazywa domem. Czuję się tam głupio. Po prostu się duszę. Nawet poza domem. No bo na przykład po jakiego diabła chodzę do liceum? Jestem już przecież dorosły, widziałem mnóstwo cudów, a tam muszę wysłuchiwać głupich pogaduszek nastolatków i sztywnych nauczycieli.**

**– Chciałeś uciec od tych awantur w przyszłość?**

**– Właśnie. Byłem wściekły. Miałem nadzieję znaleźć grób Svena Birkelunda. Wydawało mi się, że dwadzieścia lat wystarczy. Na wszelki wypadek zatrzymałem się w 1969 roku, żeby się trochę oswoić... Dom wciąż istniał... istnieje... będzie istniał...**

**– A Sven?**

– Chyba wciąż żyje. – Jego głos stwardniał. – Aż tak mi nie zależało, żeby to sprawdzać. Za dwa lata mama się z nim rozwiedzie.

– I...?

– Zabierze dziewczynki. Obie. I wróci do Massachusetts. Jej trzecie małżeństwo będzie udane. Nie ma co jej dokładać zmartwień teraz.

Dlatego wróciłem. Odczekałem miesiąc, by pokazać Birkelundowi, że mogę zniknąć naprawdę. Nie chciałem mamy martwić bardziej, niż musiałem.

Dostrzegłem u niego te same objawy, jakie występują u ludzi, których bliscy ciężko chorują lub są umierający. Szybko więc zmieniłem temat.

– A ten wujek Jack, czyli ty sam. Spotkałeś go?

– Tak. – Wyraźnie ucieszył się ze zmiany tematu. – Czekał na mnie w 1969 roku. W lesie, w środku nocy, bo nie chciałem, żeby mnie ktoś przypadkiem zobaczył. – Lasek był niewielki i rósł na środku pola kukurydzy. Wuj Jack zarezerwował podwójny pokój w motelu. Tym, który wybudują po zabudowaniu łuku rzeki. Tam spędziłem kilka dni. Opowiedział mi o mamie i zachęcił do grzebania w starych gazetach w bibliotece. Pokazał kilka listów, które ostatnio napisała do niego... Czyli do mnie. Potem dał mi tysiąc dolarów i powiedział, że bym trochę pozwiedzał kraj. Doktorze! Żebyś wiedział, jak się zmienia ceny za dwadzieścia lat!

– Z czasopism wynikało, że Berkeley jest wciąż... ech, to taki idiom z przyszłości. San Francisco wciąż leżało nad zatoką, więc pojechałem tam.

**Zawsze chciałem je zwiedzić.**

**– A Berkeley? – Przypomniałem sobie swoje czasy na uczelni.**

**Opowiedział mi, jak potrafił. Jednak żadne słowa z 1951 roku nie były w stanie oddać realnego świata lat siedemdziesiątych, które potem sam przeżywałem. Telegraph Avenue<sup>4</sup> w latach siedemdziesiątych stanowiła feerię dzikich, zabawnych, przerażających, groteskowych zjawisk atakujących umysł i zdrowy rozsądek przechodniów.**

**– Nie miałeś kłopotów z policją? – spytałem, pamiętając własny pobyt w tym statecznym przybytku.**

**– Nie. Zatrzymałem się w roku 1966 i zgłosiłem do wojska pod fałszywym nazwiskiem. Dostałem specjalną legitymację stwierdzającą, że ukończyłem dwadzieścia jeden lat... Zaczepiali mnie bezdomni.**

**Przyłączyłem się do nich na trochę i poznałem ich punkt widzenia. Potem kilka miesięcy spędziłem z radykałami. Żyłem z doraźnej pracy za wyżywienie, brałem udział w demonstracjach. Mieszkalem byle gdzie, w towarzystwie brudnych dziewczyn. I tyle.**

**– To, co tu piszesz, nie świadczy o wielkim zachwycie tymi ludźmi – zauważyłem.**

**– Niezbyt. Wujek Jack chyba chciał, żebym sam poznał, jak to jest żyć, odrzucając cywilizację. Ale przynajmniej się zmieniłem.**

**– Mhm. Rzekłbym, że całkowicie. Wróciłeś do źródeł. Co się stało?**

**– Wybrałem się w daleką przyszłość.**

**– I...?**

**– Doktorze – powiedział z dziwną powagą w głosie – uważaj się za**

**szczęściarza, że zdążyłeś się spokojnie zestarzeć.**

**– Czyli umrę? – Serce zabiło mi mocniej.**

**– W chwili, kiedy nastąpi całkowite załamanie i krach, z całą pewnością. Nie sprawdzałem tego. Wiem jedynie, że w 1970 roku wciąż żyjesz i cieszysz się zdrowiem.**

**Zdziwiłem się wtedy, że mówiąc te słowa, nie uśmiechał się, jak powinien to zrobić, przekazując dobrą w końcu nowinę. Dzisiaj już wiem.**

**Nie wspomniał przecież o Kate.**

**– Wojna i jej skutki przyszyły później – mówił zimnym tonem. – Ale wszystko się zaczęło od tych spotkań i demonstracji, które częściowo widziałem w Berkeley. – Ziewnął i przetarł zmęczone oczy. – Wróciłem**

**4 Tak się zwykle określa ulicę przylegającą do terenów University of California, gdzie mieszczą się sklepy i restauracje stanowiące zaplecze kampusu uniwersyteckiego.**

**do 1970 roku, mając już jakie takie pojęcie, w którą stronę to wszystko zmierza. Spotkałem kilka osób. Młodych, ale bardziej czujących świat, które pomogły mi wydać i rozpowszechnić tę książkę. Myśleli, że jestem republikaninem.**

**– A byłeś?**

**– Boże broń! Sam uważasz, że przez ostatnie kilka generacji z żadnej partii nie było żadnego pożytku, prawda? A będzie jeszcze gorzej. Znowu opróżnił swoją szklankę, ale odmówił dolewki.**

**– Muszę mieć jasny umysł – rzekł. – Powinniśmy wymyślić jakąś przykrywkę dla mnie. Wiem, że nam się uda, bo moje starsze ja dało mi to do zrozumienia. Niemniej jednak trzeba się zastanowić na trzeźwo.**

**– Czasu nie można zmieniać? – spytałem. – My... nasze życie...**

**tkwimy w tym kontinuum jak muchy w smole?**

**– Nie wiem. Nie mam pojęcia – westchnął. – Wiem, że moje wysiłki poszły na marne. Moi dawni przyjaciele uznali mnie za szpicla. Nowi okazali się garstką bez znaczenia. I ledwo udało nam się to wydać.**

**– W polityce nie należy spodziewać się cudów. Chyba że chcesz zostać kaznodzieją.**

**– To prawda. Sam do tego doszedłem, kiedy już minął pierwszy szok po podróży. Wtedy postanowiłem, że wrócę i pomogę mamie. W ten sposób przynajmniej uczynię ten świat trochę mniej strasznym...**

**Zachowałem się głupio – dodał już normalnym tonem. – Nie powinienem trzymać tej kopii u siebie. Ale to pamiątka, bo moja ukochana pomagała mi to pisać. Przynajmniej tyle mi się udało osiągnąć. Mam kogoś, z kim mogę dzielić swoje życie. Zaczynałem już odczuwać samotność.**

**– Naprawdę jesteś jedyny w swoim rodzaju? – spytałem.**

**– Nie mam pojęcia. Chyba nie. Muszą istnieć inni, ale nie wiem, jak ich znaleźć. A nawet gdybyśmy się spotkali, to co mamy zrobić?**

**Rozdział 5**

**Birkelund**

**robił**

**mniejsze**

**problemy,**

**niż**

**się**



**spodziewaliśmy.**

**Porozmawiałem z nim w cztery oczy. Wmówiłem mu, że broszurka stanowiła część przedstawienia przygotowywanego przez dzieciaki, i wyjaśniłem, że w rzeczywistości stanowiła wyraz sarkazmu. Potem zrobiłem mu długi wykład na temat jego podejścia do przybranego syna i do własnej żony. Krzywił się przy tym niemilosiernie, ale uznał moje racje. Jak napisałem wcześniej, to nie był zły człowiek.**

**Sytuacja w domu i tak pozostawała napięta. Z winy Jacka, który stał się popędliwy i zarozumiały.**

**– On tak bardzo się zmienił – martwiła się Eleonora. – Nawet wygląda inaczej. Nie mogę o wszystko winić Svena i jego chłopaków. Jack czasami bywa po prostu arogancki.**

**Oczywiście. Nie cierpiał swego domu, nudził się w szkole i wiedział, co się stanie w przyszłości. Ale jak to miałem jej powiedzieć? Lepiej niech nie wie. Przez kolejne dwa, trzy lata ograniczał się do nocnych eskapad.**

**– Myślę, że powinien się usamodzielnic – powiedziałem wreszcie.**

**– Bob! On ma zaledwie osiemnaście lat! – zaprotestowała.**

**Miał przynajmniej dwadzieścia jeden. Chyba nawet więcej.**

**– Wystarczy, żeby się zgłosić do wojska. – Zarejestrował się godnie z prawem w dniu swoich osiemnastych urodzin. – To da mu szansę, żeby się odnaleźć. Jeżeli sam się zgłosi, pójdzie na minimalny okres. Komisja się zgodzi, jeżeli się za nim wstawię.**

**– Niech najpierw skończy szkołę. Rozumiałem jej zagubienie i rozpacz.**

– Może się uczyć zaocznie, Ellie. Wojsko zresztą ma swoje szkoły.

Taki bystrzak jak Jack da sobie radę. Obawiam się, że jest to najlepsze rozwiązanie na dzisiaj.

Jack zgodził się ze mną. Szybki wypad w czasie pozwolił mu stwierdzić, że będzie stacjonował w Europie.

– Mogę nauczyć się sporo o historii – powiedział, a potem dodał: –

Poza tym muszę wiedzieć cokolwiek na temat broni i wojny. W dwudziestym pierwszym wieku napadła mnie banda kanibali i omal nie straciłem życia. Ledwo się im wyrwałem. Z jego temperamentem nie bardzo nadawał się do wojska, ale jakoś przeszedł szkolenie. Potem dostał się na specjalizację z elektroniki i był bardzo zadowolony. Wiele zawdzięczał swoim wycieczkom w czasie, bo w sumie uzbierało się tego całe dwa lata.

W listach do mnie mógł jedynie robić aluzje, bo przecież Kate czytała je również. Mnie także było trudno trzymać przed nią wszystko w tajemnicy. Kiedy przyjeżdżał na przepustki i siadaliśmy razem do jego opowieści, do przeglądania zdjęć i notatek, strasznie chciałem, żeby Kate była z nami.

(Szczegóły były prozaiczne. Problemy ze szczepieniami, znajomość języków, pieniądze, transport, cła, prawo, brud, robactwo, choroby, okrucieństwo, tyrania, przemoc.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, doktorze, jak bardzo się od nas

różnili ludzie w średniowieczu. Każda epoka była inna, ale wszędzie

panował... jakiś orientalizm... Sam nie wiem. Może po prostu Wschód się

**zmienia najwolniej?**

**Oglądał legiony Cezara w Rzymie, ciemne sylwetki łodzi wikingów w fiordach Norwegii czy Leonarda da Vinci przy pracy... Nie miał czasu na dogłębne studia. Tak naprawdę doprowadzało go to do szału. Wszystko poznawał powierzchownie. Bo ile może poznać w obcym świecie człowiek, który nie zna języka i może zostać w każdej chwili capnięty, zanim zdąży się pozbyć dwudziestowiecznego ubrania? A jednak! Ile bym dał za to, żeby być na jego miejscu!).**

**Czułem się, jakbym zdradzał Kate. Ale skoro Jack potrafił trzymać wszystko w sekrecie przed własną matką, ja musiałem milczeć na ten temat przed własną żoną. Jego starsze ja miało (ma, będzie miało) rację, ucząc go od małego zachowania tajemnicy.**

**Bo co by się działo, gdyby poszła fama, że ktoś – na dodatek dzieciak – jest w stanie poruszać się w czasie? Żaden człowiek nie zasługuje na to, żeby stać się sensacją stulecia. Wyobraźcie sobie te wszystkie błagania, groźby, chciwość. Tych ludzi żądnych władzy, fanatyków i po prostu przestraszonych samym faktem. Dla niektórych byłby wymarzonym szpiegiem albo idealnym zabójcą. Wszystkie rządy zabijałyby się, żeby go zdobyć dla siebie. Gdyby nawet przeżył to wszystko i nie oszalał, i tak musiałby uciekać, kryć się w przeszłości.**

**Najlepiej było zataić wszystko na samym początku.**

**Tylko jakie się ma pożytki z tak wspaniałego daru?**

**– Pod koniec moich podróży więcej czasu spędzałem na myśleniu niż na zwiedzaniu – powiedział mi, kiedy byliśmy razem na mojej**

żaglówce na jeziorze Winnego. Został zdemobilizowany kilka tygodni wcześniej i wrócił do domu. Wciąż miał mi jeszcze mnóstwo do opowiedzenia. Tym bardziej że jego matka była w trakcie rozwodu. Jack zmężniał jeszcze bardziej, i nie tylko fizycznie. Dwa lata temu (według mojego kalendarza) był młodzieńcem, który wciąż próbuje się jakoś pozbiierać.

Jack Havig, który teraz siedział ze mną w kokpicie, w pełni panował nad swoim życiem Wyjąłem fajkę i puściłem rumpel. Łódka się przechyliła, żagle załopotały i bom zaczął nam latać nad głową. Wiosna migotała w niebieskawej wodzie jeziora. W powietrzu czuło się słodką woń roślin kwitnących na polach. Zapach jabłoni, zapach świeżej ziemi... Wiatr się nasilił, a na niebie pojawił się jastrząb.

– Fakt. Miałeś o czym myśleć – powiedziałem.

– Na początek zastanawiałem się, w jaki sposób działają te moje podróże w czasie.

– No właśnie, jak to działa?

– Na kursie dla elektroników nauczyłem się przynajmniej podstaw fizyki. I dużo czytałem na ten temat. Włączając w to sporo tekstów z przyszłości. Książki, przyszłe wydania „Scientific American”, „Nature” i inne. Wszystkie teorie są zgodne co do jednego. To, co robię, jest niemożliwe. Począwszy od złamania zasady zachowania masy i energii.

– *Eppur si muove*<sup>5</sup>.

– Co?... Aaa, to! Doktorze, studiowałem trochę włoskie odrodzenie,

<sup>5</sup> A jednak się porusza - słowa przypisywane Galileuszowi.

zanim tam się przenieśli. Odkryłem, że Galileusz nigdy tego nie powiedział. Tak samo jak niczego nie zrzucił z Krzywej Wieży w Pizie. – Usiadł wygodniej i otworzył nam dwie kolejne butelki piwa. – No dobrze. W oficjalnej teorii zachowania energii są jakieś luki, których istnienia nikt nawet nie podejrzewa. Ujmując to matematycznie, linie świata muszą posiadać skończoną (a może nawet nieskończoną) i liczbę punktów osobliwych, tworzących nieciągłości. Podróże w czasie w wielu aspektach przypominają podróż z szybkością większą niż światło, a to też jest podobno niemożliwe.

Patrzyłem, jak dym z fajki unosi się do góry i rozwiewa na wietrze.

– I tak jestem całe lata świetlne za tobą – stwierdziłem. – Niczego nie rozumiem z tego, co mówisz. Poza tym, że chyba jesteś przekonany, że to nie jest jakieś nadnaturalne zjawisko.

– Właśnie. – Skinął głową. – Cokolwiek to jest, opiera się na prawach fizyki. Jakieś uogólnione prawo zachowania energii wciąż obowiązuje w moim przypadku. Ale nie mam pojęcia, dlaczego tylko ja to potrafię i nikt inny. Doszedłem do wniosku, że jest to związane z moimi genami.

– Czym?

– Za jakieś dziesięć lat odkryją podstawowe zasady dziedziczności.

– Och! – To mnie zainteresowało. – Musisz mi o tym opowiedzieć.

– Później. Dam ci wszystkie materiały na temat DNA, które zebrałem. Nie ma tego aż tak wiele. Ogólnie chodzi o to, że nasze geny nie są zwykłym zapisem człowieka. One działają przez całe jego życie,

**kontrolując produkcję enzymów w organizmie. Można powiedzieć, że wręcz sterują życiem. Nie wiem, co jeszcze może być powodem. Nasza cywilizacja ulegnie zniszczeniu. Ponieważ znajdzie na to odpowiedź.**

**Podejrzewam, że istnieje jakieś sprzężenie zwrotne w tym procesie. Jeżeli akurat jakieś czynniki ulegną idealnemu zgraniu, to rodzi się podróżnik w czasie.**

**– Ciekawa hipoteza. – W jego obecności starałem się nie wymądrzać.**

**– Mam na to dowody – odparł z lekkim wahaniem w głosie. –**

**Widzisz, doktorze, miałem sporo dziewczyn. Nie w tym świecie, bo tu jestem za bardzo spięty i nieporadny. Ale na przykład Indianki z plemienia Dakota sprzed dwóch czy trzech stuleci szukają tylko przyjemności i niczego więcej. Kiedy to się zamienia w coś poważniejszego, czuję się za nie odpowiedzialny. Nawet jeżeli nie zamierzam spędzić z nimi reszty życia. Przecież nawet nie wiem, czy kiedykolwiek się ożenię. Zawsze jednak sprawdzam ich przyszłość, żeby się upewnić, że nic im nie jest. – Tu trochę się zmieszal. – Przynajmniej do pewnego momentu. Nigdy nie odważyłem się sprawdzać, jak umierają... To dygresja, ale dla mnie bardzo ważna. Weźmy na przykład Meg. Byłem wtedy w elżbietańskim Londynie. Tam miałem najmniej problemów z przystosowaniem się, chociaż i tak długo uczyłem się ich wymowy i zwyczajów. Nawet sztabkę srebra, którą zabrałem ze sobą, łatwiej tam było wymienić na pieniądze, chociaż ciągle mam wrażenie, że mnie oszukali. Współcześni ludzie nawet nie wyobrażają sobie, ile kiedyś**

było podejrzliwości i głupich przepisów. Nieważne. Mogłem dzięki temu wynająć pokój w dobrej gospodzie, chodzić do teatru i na bale.

Któregoś dnia zawędrowałem do dzielnicy slumsów. Jakaś kobieta złapała mnie za rękaw i zaproponowała kupno swojej córki. Zaszokowało mnie to, ale potem pomyślałem, że może warto chociaż zobaczyć tę nieszczęśliwą dziewczynę, może trzeba dać jej trochę pieniędzy, a może wystarczy poprosić właściciela gospody, żeby zatrudnił ją jako służącą... Bez szans. – (Kolejny z jego dziwnych zwrotów). – Mała była nerwowa i zdeterminowana. Wytłumaczyła mi, że woli zostać kurwą na ulicy niż służącą. Służący w owych czasach, zwłaszcza dziewczyny, byli wykorzystywani według niej gorzej niż prostytutki. Wątpiłem, żeby ktoś chciał ją tak wykorzystać, bo jednak pochodziła z dołów społecznych, co wtedy miało wielkie znaczenie.

Była zarozumiała, miła i wolała mnie niż jakiegoś zgrzybiałego i wstrętnego starucha. Co miałem zrobić? Bezinteresowna dobroć nie mieściła się w jej światopoglądzie. Gdyby nie widziała moich egoistycznych pobudek, pewnie by uznała, że się za bardzo zaangażowałem, i wtedy by uciekła.

Tak to jest. – Westchnął, popijając piwo. – Przeniosłem się do większego lokum i wziąłem ją do siebie. Pojęcie legalności takiego czynu jeszcze nie istniało. Nie ma co tego porównywać do naszych szkolnych czasów. Tutaj tego bym z pewnością nie zrobił. Meg była już jednak kobietą według norm tamtych czasów. Żyliśmy razem cztery lata.

Musiałem oczywiście zapłacić czynsz z góry, żeby mieć do czego

wracać z dwudziestego wieku. Nie robiłem tego zbyt często, bo przecież stacjonowałem we Francji. Mogłem oczywiście przenieść się w dowolny moment, ale musiałem najpierw dostać się do Anglii. To wiązało się z kosztami i podróżą. Poza tym było tyle innych epok... Nieważne. Myślę nawet, że Meg była dość wierna. Trzeba było ją widzieć, kiedy mnie broniła przed zakusami jej rodzinki, która chciała mnie pobić.

Powiedziałem jej, że pracuję jako dyplomata dla Holendrów...

Zresztą nie chodzi o szczegóły. Wciąż krążę wokół istoty sprawy.

Wreszcie zakochał się w niej jakiś Anglik. Dałem im podarunek ślubny i prezenty. I sprawdziłem w przyszłości, jak się jej wiedzie. O ile mogłem się zorientować, nie doznała krzywdy.

Ale do rzeczy, doktorze. Urodziła mu sześcioro dzieci. Pierwsze w rok po ślubie. Ze mną ani razu nie zaszła w ciążę. O ile potrafiłem ustalić, żadnej z moich kobiet to się nie przytrafiło.

Zrobił sobie nawet test płodności, z którego wynikało, że wszystko jest w porządku.

Żaden z nas nie chciał drażnić tego tematu. Może zbyt dosadnie podkreśliłem, że nasza psychika jest mocno uwarunkowana przez otoczenie.

– Czyżbyś chciał przez to powiedzieć, że jesteś mutantem? –

spytałem ostrożnie. – I to tak bardzo, że uważasz się za osobny gatunek?

– Moje geny chyba rzeczywiście się różnią od normalnych. – Czyli czekasz na jakiegoś innego podróżnika w czasie?

Na kobietę?



**– Nie przesadzajmy, doktorze. Teraz ty udajesz futurystę. Przez**

**moment milczał, wystawiając twarz do słońca.**

**– To nie jest aż tak ważne – odezwał się w końcu. – O wiele**

**ważniejsze jest odnalezienie innych ludzi podobnych do mnie (o ile**

**istnieją) i zastanowienie się, czy możemy coś zrobić, żeby uniknąć tych**

**okropności, które czekają ludzkość. Nie potrafię pogodzić się z myślą, że**

**jestem zwykłym wybrykiem natury.**

**– A jak chcesz to zrobić?**

**– Najpierw muszę stać się bogaty – oznajmił w końcu.**

**\***

**W nadchodzących latach docierały do mnie tylko strzępki**

**informacji.**

**Spotykał się ze mną od czasu do czasu. Bardziej jednak dla**

**podtrzymania naszej przyjaźni, niż żeby mnie wtajemniczać w swoje**

**sprawy. Najwyraźniej tęsknił równie silnie za rozmowami ze mną, co z**

**Kate. Dochodziły mnie jednak pośrednie informacje o jego karierze.**

**Czasami odnosiłem wrażenie, że jest on wytworem mojej wyobraźni. Bo**

**przecież codzienne życie toczyło się dalej, a nasze małe miasteczko coraz**

**szybciej się starzało. Synowie dorastali, synowe rodziły wnuki. Ale zawsze**

**któregoś dnia się pojawiał i wtedy spędzaliśmy długie godziny na**

**rozmowach o jego świecie.**

**Nie stał się fanatykiem. Wprost przeciwnie, nabrał dystansu i**

**nauczył się korzystać z uroków życia. Bardzo rozwinął się intelektualnie,**

**choć dawało się wyczuć, że najbardziej go pasjonowała antropologia i**

historia. Zrządzeniem losu miał zdolność do nauki języków obcych (często zastanawialiśmy się, jak poważnym zagrożeniem dla podróżników w czasie mogła być nieznajomość języka). Sardoniczne poczucie humoru i środkowozachodnia grzeczność splotły się szczęśliwie, sprawiając, że wszędzie był lubiany. Nauczył się również doceniać zalety wyszukanej kuchni, chociaż potrafił się zadowolić rybami i puszkami. Miał w Bostonie własny szkuner, którym zabrał mnie i Kate w podróż do Indii dla uczczenia mojego przejścia na emeryturę. Mimo że w młodości nie miał po temu okazji, teraz się okazało, że jest bardzo czuły na punkcie piękna. Zarówno przyrody, jak i dzieł sztuki. Wyjątkowo cenił barok, klasyczną i chińską muzykę oraz piękną broń i statki. Kochał również architekturę klasyczną (Boże! Jeżeli istniejesz, dziękuję Ci z całego serca, że mogłem obejrzeć jego zdjęcia niezniszczonego Akropolu).

Byłem jedynym powiernikiem jego tajemnicy, ale nie jedynym jego przyjacielem. Teoretycznie mógł się zaprzyjaźnić z wszystkimi wielkimi postaciami w historii. Z Mojżeszem, Peryklosem, Szekspirem, Lincolnem, Einsteinem. W praktyce było to dość trudne. Pomijając konieczność znajomości języka, obyczajów i prawa, wielcy tego świata zawsze są zajęci, podejrzliwi i oblegani. Havig – w rozmowach nazywałem go Jack, ale teraz wydawało mi się bardziej naturalne opisywanie go jako Haviga – opowiadał mi o takich postaciach, jak Meg (od trzystu lat w grobie) albo góral, który brał udział w ekspedycji Lewisa i Clarka<sup>6</sup>, czy o starym wąsatym wiarusie towarzyszącym Napoleonowi.

(„Historia nie staje się coraz lepsza, doktorze. Bynajmniej. Tak

tylko sądzimy, bo teraz *my* przyszliśmy na świat. Wystarczy odrzucić romantyczne legendy i przyjrzeć się faktom. Przeciętny Francuz w 1800 roku był tak samo wolny jak przeciętny Anglik. Cesarstwo francuskie miało szansę zjednoczyć Europę i mogło ewoluować od środka. Może nie byłoby wtedy pierwszej wojny światowej, która wykrwawiła zachodnią cywilizację. Sam wiesz dlaczego. Ciągle zresztą się wykrwawiamy, ale na szczęście nie potrwa to już zbyt długo").

Jego wycieczki w czasie stanowiły głównie źródło rozrywki.

Przynajmniej zanim jeszcze zdobył odpowiednie środki i wiedzę, żeby naprawdę do czegoś służyły. I zanim opracował plan poszukiwania innych mutantów czasowych.

– Szczerze mówiąc – oznajmił mi kiedyś ze śmiechem – jestem coraz bardziej zachwycony uciechami ciemnej strony życia.

– Jak Paryż Toulouse-Lautreca? – strzelilem w ciemno.

Wspominał mi kiedyś, że inne okresy dekadencji były mocno przereklamowane w książkach historycznych albo obejmowały wąską i hermetyczną grupę arystokratów, którzy nie tolerowali obcych.

– Tam wtedy nie byłem – przyznał. – Może to niezły pomysł. Ale ciągnie mnie do Storyville w chwili jego rozkwitu7...

Nie interesowały go prostytutki. W końcu znał ich los, widział już wszystkie rodzaje ludzkiej nędzy. Szukał jazzu i towarzystwa ludzi, o których mawiał, że są bardziej realni niż niejeden z jego współczesnych

6 Podróżnicy i odkrywcy Meriwether Lewis i William Clark w latach 1804-1806 poprowadzili pierwszą

amerykańską lądową wyprawę na zachód i dotarli do wybrzeży Pacyfiku.

7 Słynna w swoim czasie dzielnica rozrywki w Nowym Orleanie.

**czy nawet przyjaciele z 1970 roku.**

**W międzyczasie zbil fortunę.**

**Myślicie, że to było proste? Że wystarczy sprawdzić kursy na**

**giełdzie od (oczywiście) 1929 roku i spokojnie grać?**

**Musiał to zrobić zupełnie inaczej. Jaki miałby pożytek z samych**

**pieniędzy?**

**W Europie kupował złoto i srebro, które wymieniał na gotówkę w**

**różnych miejscach w osiemnastym i dziewiętnastym wieku. Mając ten**

**skromny kapitał, zaczął handlować. Sprowadzał pewne znaczki i monety**

**do naszych czasów i sprzedawał je kolekcjonerom. Wracał w przeszłość z**

**wyrobami z aluminium, przed wynalezieniem procesu jego produkcji**

**wartymi więcej niż złoto. Wszystko to jednak były działania na niewielką**

**skalę, ponieważ wciąż był ograniczony masą, którą mógł ze sobą zabrać.**

**Bał się także przyciągać uwagę władz.**

**Rozważał nawet, czy nie zacząć gromadzić kapitału w dawnych**

**epokach, ale po namyśle odrzucił ten pomysł. Ówczesne przepisy i zasady**

**były zbyt dziwne, żeby zdołał je opanować, nie tracąc na to całego życia.**

**Poza tym chciał mieć bazę w znajomej okolicy. Chociażby po to, żeby**

**dysponować szybkimi środkami transportu, kiedy już zacznie na**

**poważnie swoje poszukiwania. Nie mógł więc po prostu zostawić**

**pieniędzy w tych odległych czasach i czekać na odsetki. Tak długi okres**

**mógł zawierać mnóstwo pułapek, o których nie miał pojęcia.**

Kryzysy, takie jak rok 1929, stanowiły dobrą okazję do zakupu złota, chociaż przelicznik nie był bardzo wysoki. Podróżując tam i z powrotem, kumulował zapasy, ale musiał uważać na agencje federalne, które wraz z upływem lat stawały się coraz bardziej wścibskie.

Nigdy nie mówił mi o szczegółach swoich operacji.

– Tak naprawdę sprawy finansowe nudziły mnie jak nie wiem co.

Znalazłem kilku sprytnych współników, którzy firmowali za mnie niektóre transakcje, i supersolidny bank. Pozwoliłem im robić te swoje analizy w moim imieniu.

Ostatecznie John Havig ustanowił fundusz powierniczy, który zajmował się również sprawami podatkowymi i prawnymi, a miał być wypłacany „wszystkim potomkom męskim z linii bocznych”, którzy spełniali pewne jednoznaczne wymagania w dniu ich dwudziestych pierwszych urodzin. Jak mówiłem, bank należał do tych solidnych instytucji, z rzymskimi kolumnami i wnętrzami pełnymi przepychu, znajdujących się na wschodnim wybrzeżu. Podejrzywałem, że miał nawet relikwię w postaci kawałka skały z Plymouth Rock<sup>8</sup> umieszczoną w holu głównym. Kiedy więc kolejny męski potomek bocznej linii, niejaki John Franklin Havig, został namierzony w 1964 roku, jego wejście w kręgi milionerów odbyło się płynnie i dyskretnie, nie wywołując niczyjego zdziwienia. Lokalna gazeta Senlac „Trumpet” podała tylko, że otrzymał on spory spadek po dalekim krewnym.

– Bank zajmuje się zarabianiem pieniędzy – wyznał mi kiedyś. – Ja tylko wypisuję czeki.

**W końcu bogactwo było dla niego jedynie drogą do celu.**

**Właściwie do kilku celów. Wspominałem już o poszukiwaniu rozrywek. Powinienem dodać jeszcze pomoc matce i kilku innym osobom. Zasadniczo nie cierpiał organizacji charytatywnych.**

**– To po prostu wielki biznes – powiadał. – Ich dyrektorzy zarabiają więcej od ciebie, doktorze. Poza tym, mówiąc brutalnie, mamy za dużo biednych. Kiedy widziało się ofiary czarnej śmierci<sup>9</sup>, trudno się litować nad dzierżawcami z Missisipi.**

**Trochę go zląkałem za tak prawicowe poglądy, skoro był naocznym świadkiem leseferyzmu. Odpalił mi równie grzecznie, że w dzisiejszych czasach tylko tacy liberalowie jak ja niczego się jeszcze nie nauczyli i niczego nie potrafią zapomnieć. Potem się napiliśmy... Podejrzewam jednak, że uratował sporo ludzi. Tylko bez rozgłosu. Faktem również było, że po cichu finansował niektóre organizacje konserwatywne.**

**– Potrzebujemy rezerw życiowych – mawiał. – W każdej postaci. Na razie dla zachowania przyrody i czystego powietrza, ale wkrótce stanie się to sprawą życia lub śmierci całej cywilizacji.**

**Mówił, że wojna ostateczna będzie z pewnością wojną kapitalizmu i**

**8 Plymouth Rock - skała, do której dobili pierwsi osadnicy ze statku „Mayflower” w 1620 roku. W USA**

**jeden z najważniejszych symboli historycznych.**

**9 Epidemia dżumy szalejąca w Europie w latach 1348-1351. Szacuje się, że pochłonęła 30% ludności**

**Europy.**

**komunizmu, o której mówiło się już w 1950 roku.**

– Mam za ledwie mgliste wyobrażenie, jak to się zaczęło. Nie ma się czemu dziwić. Odważyłem się tylko na krótkie chwile pobytu – musiałem uważać na promieniowanie i mnóstwo innych rzeczy – a kto jest w stanie tak na świeżo podać racjonalne wytłumaczenie takiej katastrofy? Boże! Historycy do dziś dnia się kłócą na temat przyczyn pierwszej wojny światowej. A nie muszą walczyć o odnalezioną puszkę z karmą dla psów czy zbroić się przeciw hordom żóltków, które nadciągają przez Cieśninę Beringa, bo zamarzła z powodu zanieczyszczenia atmosfery wywołanego pyłem po wybuchach atomowych.

Jego zdaniem ta wojna przyszłości należała do konfliktów, których wszyscy się spodziewali, nikt ich nie chciał i gdyby ludzie wiedzieli, jak się one skończą, zrobiliby wszystko, żeby im zapobiec. Uważał, że był to konflikt nie tyle ideologiczny, ile ekologiczny.

– Mam koszmarną wizję, że nie została wywołana z powodu wielkich obszarów zamienionych w pustynię, lecz po prostu nadszedł na nią czas. Czy wiesz, że oceany dostarczają nam prawie połowę tlenu do atmosfery? W latach siedemdziesiątych w planktonie zaczęto znajdować środki owadobójcze. W latach dziewięćdziesiątych wszystkie oceany zamieniły się w cuchnące bajora, w których nie można się było nawet kąpać.

– Przecież ktoś musiał to przewidzieć – zdziwiłem się.

– Jasne! – przytaknął ze śmiechem. – Środowisko naturalne było na fali przez dłuższą chwilę. Naklejki z napisami „Teraz ekologia” były na wszystkich samochodach należących do długowłosych młodzieńców.

Tylko że te samochody ociekały olejem na parkingach, a przy ruszaniu dymiły jak fabryki... Wkrótce zresztą ta moda minęła. Nie pamiętam już dlaczego. Cała ta fala protestów, a właściwie kolejne fale protestów po prostu zanikły. Ludzie przestali się tym zupełnie przejmować.

To był logiczny bieg wydarzeń. Wiem, że głupio przypisywać jeden, konkretny powód takiemu okropieństwu jak wojna ostateczna. Zresztą wciąż nie mam pojęcia, jak to się zaczęło i jak wyglądało. Ale czuję w głębi duszy, że większa część przyczyn tego konfliktu zrodziła się w naszym kraju. W największym i najpotężniejszym na świecie mocarstwie, produkującym zarówno dobre, jak i złe rzeczy... które nigdy zbytnio się nie przejmowało odpowiedzialnością za swoje czyny.

Będziemy próbowali bez przekonania powstrzymać naszych wrogów w Azji. Ponieważ będziemy to robili bez przekonania, zaowocuje to tylko śmiercią wielu ludzi. Po obu stronach. Nie mówiąc o straconych funduszach. Próbując uratować to, co jest już utracone, pozbędziemy się ostatnich przyjaciół. Wybrani przez nas urzędnicy będą mylić inflację ze wzrostem cen. To jakby mylić węgry na skórze z ospą. Będą wprowadzać kontrolę plac i cen. To jakby próbować cementować pękające ściany w domu, którego fundamenty się zapadają. Katastrofa ekonomiczna spowoduje światowe załamanie. Bogaci biali zaczną sobie zdawać wreszcie sprawę, że mniejszości są na krawędzi zapaści, i zaczną je finansować. W takim stopniu, że zdołają sfinansować rewolucje, ale nie rozwiążą żadnych problemów. Rewolucje zaczną powodować reakcje na całym świecie, co zatrzyma jakikolwiek postęp. Co zaś do prób ochrony



środowiska naturalnego, to jak mówiłem, ograniczą się one do tych kretyńskich nalepek na samochodach.

Z początku Amerykanie będą mieli poczucie winy. Potem im to przejdzie. Wreszcie całkiem zobojętnieją. W końcu zawsze ich będzie stać na zakup środków przeciwbólowych czy innych namiastek prawdziwego życia.

Zastanawiam się nawet, czy w końcu, siedząc już w swoich schronach, nie ucieszą się z perspektywy masowej śmierci.

\*

Tak więc w lutym 1964 roku Havig stał się dziedzicem własnej fortuny. Wkrótce potem zaczął zajmować się swoim życiem i całe miesiące spędzał jako wujek Jack. Pytałem go, skąd ten pośpiech. – To, co wiem z własnej przyszłości, chcę przeżyć jak najszybciej – odparł.

Myślałem długo nad tymi słowami i w końcu powstrzymałem się od pytań dotyczących przyszłości swojej i moich bliskich. Nie zdawałem sobie sprawy, jak dobrze robię, dopóki nie pochowałem Kate.

Nigdy nie spytałem Haviga, czy widział już wcześniej jej grobowiec.

Możliwe, że tak, ale milczał na ten temat. Jako lekarz też potrafiłem udawać, że o czymś nie wiem.

Nie wracał do wszystkich epizodów swojego dzieciństwa po kolei.

Twierdził, że byłoby to zbyt monotonne. Traktował to raczej jako rodzaj odpoczynku od swoich studiów na uniwersytecie. Nie chciał znowu bać się w przeszłości z powodu nieznamomości języków. Co więcej,

potrzebował jakiejś solidnej podstawy lingwistycznej do zrozumienia różnych wariantów języków w przyszłości. Bo w przyszłości często również czuł się jak głuchoniemy.

Skupił się na łacinie i grece. Ten ostatni język stanowił *kone* (podstawę) różnych form językowych w całym antycznym świecie hellenistycznym i zakorzenił się również we francuskim, niemieckim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim i anielskim (uwzględniając oczywiście nieuniknioną ewolucję), a także częściowo w hebrajskim, aramejskim i arabskim. Nie zapominając o niektórych dialektach polinezyjskich.

– Po wiekach ciemności powstała wreszcie jakaś cywilizacja powiedział mi. – Ledwo ją liznąłem i nie mam zielonego pojęcia, jak wygląda. Zdaje się, że ludy z Pacyfiku Środkowego zaczęły rządzić światem. Używają najdziwniejszej odmiany *lingua franca*<sup>10</sup>, jaką można sobie wyobrazić.

– Czyli jest jakaś nadzieja – wyrwało mi się.

– Muszę się upewnić. – Spojrzał na mnie przenikliwie. Wyobraź sobie, że jesteś podróżnikiem w czasie, powiedzmy z Egiptu faraonów.

Udajesz turystę i starasz się pozostać niezauważony w dzisiejszych czasach. Czy rozumiałbyś cokolwiek z naszego świata? Jaki sens dla ciebie miałoby rozważanie, czy ta cywilizacja jest dobra czy zła? Nie próbowałem na razie niczego poza zerknięciem na początki tej cywilizacji, która nazywa się Federacją Mauraiów. Jej zrozumienie zajmie mi całe lata.

W rzeczywistości bardziej go interesowała przeszłość. Czuł się w

**niej doskonale. Mógł ją studiować w szczegółach – oczywiście nie tak jak**

**10 Język będący środkiem komunikacji między różnojęzycznymi grupami ludzi. Przykładem współczesnym jest w biznesie język angielski.**

**zawodowy historyk – i w ten sposób przygotowywać się do swobodnych wizyt. Poza tym, mimo że w przeszłości można się było natknąć na dżumę, palenie heretyków, średniowiecze czy wojny albigeńskie<sup>11</sup>, to i tak najbardziej go przerażała wojna ostateczna.**

**– Bo w jej wyniku zginęła prawie cała planeta – powiedział. – Sądzę, że inni podróżnicy w czasie również unikają tego okresu. Dlatego największe szanse na spotkanie z nimi mam w szczęśliwszych czasach czy też mniej nieszczęśliwych, jak wolisz.**

**Uwzględniając wszystkie jego podróże, miał około trzydziestki, kiedy wreszcie udało mu się spotkać kogoś do niego podobnego. Stało się to w Jerozolimie, w dniu Ukrzyżowania.**

**11 Wojny albigeńskie albo krucjata katarska (1209-1229) - kampania wojenna zainicjowana przez Kościół katolicki w celu eksterminacji katarów z Langwedocji.**

## **Rozdział 6**

**Powiedział o tym swoim planie dopiero w 1964 roku.**

**W miarę możliwości zamierzał spędzać tyle samo czasu w dwudziestym wieku co w innych epokach, żeby zachować wygląd zgodny z wiekiem. Przez dłuższy czas go nie widziałem. Wyprowadził się z Senlac i przeniósł do Nowego Jorku. Założył tam skrzynkę pocztową w teraźniejszości i kupił sobie olbrzymi apartament w 1890 roku.**

**Sfinansował to, sprzedając złoto, które partiami przetransportował,**

podróżując w czasie. Wracal do nas często na krótkie wizyty. Kate uważała, że to bardzo wzruszające. Ja również, ale wiedziałem także, że musi się przed kimś wygadać.

– No jasne! – krzyknąłem zaskoczony, że sam na to nie wpadłem. –

To chwila, którą chciałby zobaczyć każdy. Przynajmniej każdy chrześcijanin. Czemu nie zrobiłeś tego wcześniej?

– To nie jest takie proste, doktorze. Minęło prawie dwa tysiące lat. I na dodatek teren jest bardzo niebezpieczny. Poza tym nawet data nie jest do końca pewna. A sam fakt jest niezbyt udokumentowany.

– Twierdzisz, że nie chcesz sprawdzić historii Chrystusa? –

zdziwiłem się. – Wiem, że nie jesteś wierzący, ale to przecież wielka tajemnica...

– Kim On był, doktorze, jeżeli w ogóle istniał, jest zagadnieniem czysto akademickim. Liczy się tylko to, w co ludzie wierzyli przez wieki. Nie będę żył na tyle długo, by móc sobie pozwolić na tak szczegółowe badania. Zresztą już teraz muszę odłożyć na bok rozrywki. Widziałem za dużo nieszczęść. Podróże w czasie muszą mieć jakiś sens. – Uśmiechnął się niepewnie. – Wiesz, że nie jestem świętoszkiem, ale muszę przecież mieć jakiś cel w życiu.

W 1969 roku poleciał z Nowego Jorku do Izraela. Żydzi sprawowali w tym czasie ścisłą kontrolę nad Jerozolimą i można się było tam bezpiecznie poruszać. Wyszedł z hotelu z torbą w ręku i w końcu znalazł gaj pomarańczowy, w którym można się było schować. Potem cofnął się do poprzedniej nocy i zaczął przygotowania.

W sklepie z pamiątkami kupił arabski strój, który mógł od biedy ująć w czasach biblijnych. Przyczepił do biodra nóż (służący raczej do jedzenia niż do walki). Ponieważ w sytuacji niebezpiecznej wolał zniknąć, rzadko zabierał ze sobą jakąś broń palną. Do skórzanej torby zapakował podręczny słownik (specjalnie napisany dla niego przez jakiegoś studenta), żywność, kubek do picia, tabletki odkażające wodę, mydło, środek przeciw komarom, antybiotyki i pieniądze. Rzymskie monety. Miał również małą sztabkę, którą można było spieniężyć w razie potrzeby.

W gaju pomarańczowym przebrał się, swoje współczesne ubranie wcisnął do torby i wyjął z niej ostatni przyrząd. Nazywał go chronologiem. Został on zaprojektowany i zbudowany na jego zamówienie w 1980 roku, bo dopiero wtedy technologia osiągnęła wystarczający poziom rozwoju.

Najwięcej problemu stanowiło przygotowanie wytłumaczenia, po co mu jest potrzebny taki instrument.

Widziałem ten aparat. Pudełko o wymiarach 60 x 30 x 15 centymetrów, z zielonego materiału z lekkimi pęknięciami i rączką do noszenia. Po otwarciu pokrywy wysuwał się jakiś instrument optyczny przypominający sekstant, na którym można ustawić odpowiednie liczby i

odczyty. Na spodzie znajdował się miniaturowy komputer zasilany baterią niklowo-kadmową. Wszystko ważyło zaledwie dwa i pół kilograma, co stanowiło prawie połowę masy, jaką Havig mógł ze sobą przetransportować. Tłumaczyło to jego niechęć do zabierania w podróż broni. Inne rzeczy były o wiele bardziej przydatne.

Wyobraźcie sobie, że chcecie się przenieść do określonego momentu w przeszłości lub w przyszłości. Skąd macie wiedzieć, że już tam dotarliście? Na krótkich dystansach można liczyć dni, oceniać porę po wysokości słońca lub gwiazd. Ale już tysiąc lat daje jedną trzecią miliona poranków, z czego wiele trudno będzie zidentyfikować z uwagi na warunki pogodowe, budowle lub inne przeszkody.

Havig dokonał pomiarów. Noc była pogodna. Światła Jerozolimy rozjaśniały niebo od strony północnej, poza tym wszędzie było ciemno, tylko czasami zaświeciły się reflektory w oddali przejeżdżających samochodów. Namierzył księżyc i dwie planety, ustalił ich powiązania ze sobą, nastawił dokładny czas Greenwich i położenie geograficzne na komputerze. Potem wbił datę odpowiadającą tygodniowi wielkanocnemu Roku Pańskiego 33.

( – Ta data wydaje się dość precyzyjnie ustalona – stwierdził. –

Przynajmniej jest to coś, od czego każdy musi zacząć. – Zaśmiał się. – Co za naiwność! Jedno tylko wiemy na pewno: że nie stało się to w zimie.

Pasterze nie pilnują wtedy swoich stad daleko od domów).

Najpierw robił powolne i głębokie wdechy, starając się wprowadzić jak najwięcej tlenu do krwi. Potem ruszył w podróż.

**Czuł, jakby musiał walczyć z narastającym przyływem. Tak mi opisywał to uczucie towarzyszące długim podróżom. Słońce najpierw pojawiała się na zachodzie i zachodziło na wschodzie. Potem, w miarę jak przyspieszał, wszystko spowila szarość. Poza tym panowała absolutna cisza.**

**W pewnym momencie zauważył przelatujący pocisk – bezgłośny i zamglony – ale zaraz minął czas wojny sześciodniowej. Czy może było to jakieś powstanie albo pierwsza wojna światowa? W dziewiętnastym wieku, w chmurny dzień musiał się zatrzymać, żeby zaczerpnąć powietrza. Chronolog mógł mu podać dokładną datę, gdyby mu się chciało dokonać ponownego pomiaru. Umieszczone w nim detektory ostrzegały nawet przed promieniowaniem. W tym momencie nie miało to jednak żadnego sensu. W oddali zauważył dwuosobowy patrol konny. Musieli to być tureccy żołnierze, którzy przejeżdżali tędy przypadkiem. Nie dostrzegł ich wcześniej, bo było pochmurno i ciemno. Oni również minęli go i pojechali dalej. Stukanie podków powoli milkło w oddali. Kontynuował podróż.**

**Mimo panującego półmroku zauważył, że krajobraz ulega zmianie. Pojawiały się i znikaly drzewa, zastępowały je pola uprawne. Wydawało mu się, że zauważył kontury drewnianego stadionu, na którym krzyżowcy urządzali turnieje, zanim Saladyn przepędził ich z tej ziemi. Im bliżej był celu, tym częściej musiał się zatrzymywać, żeby zaczerpnąć powietrza. Podróż wyczerpywała jego siły, ale nadzieja, że za kilka godzin może dowiedzieć się o sobie czegoś więcej, powodowała, że serce mu biło jak**

**młot.**

**Wreszcie na chronologu zamigotało światełko ostrzegawcze.**

**Urządzenie było w stanie śledzić słońce, księżyc i gwiazdy z szybkością i z precyzją niedostępną dla człowieka. Potrafiło uwzględniać precesję, zakłócenia, a nawet dryf kontynentów, a kiedy wreszcie znajdowało zadany układ gwiazd, pozostawało już tylko określenie czasu. Havig zatrzymał się, kiedy zamrugało czerwone światełko.**

**\***

**Czwartkowa noc dobiegała końca. Jeżeli Biblia miała rację, to właśnie skończyła się Ostatnia Wieczerza, skończyła się również wizja z ogrodu i Jezus leżał w kajdanach. Wkrótce miał stanąć przed obliczem Pilata, zostać skazany, biczowany, przywiązany do krzyża, uznany za martwego i złożony do grobu.**

**( – Tak naprawdę, to ich przywiązują – mówił mi potem Havig. –**

**Gwoździe nie utrzymałyby ciała, bo dłonie uległyby rozdarciu. Czasami stosowano gwoździe jako dodatkową karę albo dla zachowania tradycji i przekazów. – Zasłonił twarz dłońmi. – Doktorze! Widziałem, jak wisieli. Z wywieszonymi językami czarnymi z pragnienia, z wzdętymi brzuchami. Po jakimś czasie nie mają już nawet siły krzyczeć. Co najwyżej skrzeczą. W ich oczach nie ma nawet śladu normalności. Tylko szaleństwo. I śmierdzą. Boże, jak śmierdzą. Często umierają przez kilka dni.**

**Zastanawiam się, czy Jezus nie był fizycznie osłabiony. Umarł tak szybko... Kilku jego przyjaciół trzymało się na uboczu tłumu, bojąc się odezwać czy nawet zapłakać. Reszta rzucała dowcipami, bawiła się, pila,**



jadła i podnosiła dzieciaki, żeby lepiej widziały. Do czego jeszcze ludzie są zdolni?).

Zapomnijmy o dumie. W naszych czasach wymyślono Buchenwald,

a Havig przypomni mi o Kongu Belgijskim i Południu Stanów

Zjednoczonych. Opowiedział również o tym, co ma się dopiero stać. Może

jednak nie powinienem mu zazdrościć tej umiejętności podróży w czasie.

Świtało. Za plecami miał gaj oliwny, za którym połyskiwały

stłoczone gliniane domy. Drogę stanowił zakurzony szlak z wyrytymi

koleinami po wozach. Jeszcze dalej, na wzgórzach częściowo skrytych w

promieniach wschodzącego słońca, leżała Jerozolima króla Heroda i

rzymskich prokonsulów. Była o wiele mniejsza niż miasto, które opuścił

prawie dwa tysiące lat później. Mieściła się głównie za murami. Obok

bramy wjazdowej rozbito wiele namiotów i straganów z daszkami.

Wszyscy chcieli uczestniczyć w święcie. Było chłodno, pachniało ziemią,

ptaki ćwierkały.

– Jeszcze jakieś dwieście lat temu – powiedział mi kiedyś Havig –

niebo o poranku zawsze było pełne ptaków.

Był zadyszany, musiał usiąść i odpocząć. Rozjaśniło się całkowicie i

powoli wracała mu energia. Poczul głód. Odlamał kawałek owczego sera i

placka chlebowego. Ze zdumieniem stwierdził, że właśnie zjadł zupełnie

normalne śniadanie w pierwszy Wielki Piątek w historii.

Jeżeli to była prawda. Naukowcy mogli się mylić co do daty. Jezus

mógł się okazać zwykłym mitem. Ale jeśli nie? Może nie był wcieleniem

Stwórcy... ale chociaż prorokiem, którego wizja wywarła piętno na

**wszystkich następnym stuleciach. Czy można było zrobić w życiu coś lepszego, niż szerzyć jego słowa?**

**Cóż, Havig musiałby znać biegle aramejski i tysiące szczegółów codziennego życia w tamtych czasach, nie wspominając nawet o tym, że nie mógłby kontynuować swoich poszukiwań. Westchnął, podniósł się z ziemi i ruszył dalej.**

**Wkrótce dołączyli do niego inni. Ale i tak czuł się jak obcy.**

**( – Jeżeli cokolwiek jest w stanie zmienić człowieka – powiedział – to jest to nauka i technika. Weźmy chociażby taki przykład. Rodzice dzisiaj nie muszą od razu zakładać, że wiele ich dzieci umrze. To całkowicie zmienia podejście do rodzicielstwa.**

**Musiał chyba dostrzec cień na mojej twarzy, bo położył mi dłoń na ramieniu.**

**– Przepraszam, doktorze. Nie powinienem tego mówić. Ale nigdy nie proś mnie, żebym cofnął się w czasie, by zrobić Norze zdjęcie czy zastrzyk z penicyliny. Próbowałem już ingerować w przeszłość i zawsze coś mnie powstrzymywało... Ale wróćmy do tematu. Przyzwyczailiśmy się do żarówek lub choćby świec. Kiedy masz do dyspozycji chyboczący płomień lampki oliwnej, jesteś silnie związany ze światłem dziennym. Nawet możliwość spędzania wieczorów na czytaniu nie jest taka oczywista. To w bardzo subtelny, ale i głęboki sposób zmienia naszą psychikę).**

**Chłopi wstali skoro świt i zajmowali się karmieniem zwierząt, przędzeniem wełny, rozpalaniem ognia, gotowaniem. Szykowali się na**

**jutrzejszy szabas. Brodaci mężczyźni pędzili przeciążone osły z towarami do miasta. Dzieci ledwo mogące chodzić rzucały ziarno kurom; trochę starsze odganiały bezpańskie psy od owiec. Zanim Havig doszedł do wybrukowanej drogi, został mnóstwo razy potracony. Przez jadących z daleka kupców, szejków, kapłanów, ohydnych żebraków, dwóch anatolijskich handlarzy, czy kimkolwiek byli, chłopów, rzemieślników, pijaków etc. Potem rozległ się ostry krzyk, żeby ustąpić z drogi, stukot szybkich kroków i brzęk żelastwa. To rzymski patrol wracał z nocnej służby.**

**Widziałem zdjęcia, które zrobił przy okazji różnych wizyt, i potrafię to sobie wyobrazić. Nie było to tak krzykliwe jak dzisiaj, w dobie różnokolorowych farb i materiałów fluorescencyjnych. Ubrania były najczęściej brązowe, szare, niebieskie, czerwone i zakurzone. Natomiast było niesamowicie głośno. Krzyki, przekleństwa, śmiechy, przechwalki, odgłosy harf, fragmenty pieśni, szuranie stóp, stukanie niepodkutych kopyt, skrzypiące drewniane koła, szczekające psy, beczące owce, plujące wielbłądy i wszędzie dookoła ćwierkające ptaki. Pachniało wiosną. Ci ludzie nie byli sztywnymi Anglikami czy Amerykanami. Machali rękoma, klaskali, klepali się po plecach, warczeli na siebie, szybko chwyтали za noże, kiedy ich obrażano i natychmiast potem znów się śmiali. I te zapachy. Słodki pot koni, kwaśny odór ludzi. Dym o zapachu drzewa cedrowego lub suszonego końskiego łajna, świeżo pieczony chleb, zapach porów i czosnku, zjełczalego tłuszczu. Wszędzie chodziły zwierzęta i często czuć było odór amoniaku z kompostu. Czasami zawiało olejkiem**

różnym lub piżmem, kiedy mijala go lektyka z zawołaną kobietą. Z loskotem przejeżdżały wozy z drewnem. Havig nigdy nie cieszył się widokiem gwoździ wbijanych w ciała, ale widok otwartej przed nim bramy do Jerozolimy przyprawił go o wyjątkowe bicie serca. Zwłaszcza że powietrze, którym oddychał, wcale nie powodowało kaszlu ani łzawienia oczu, nie niosło choroby.

\*

I wtedy go znaleźli.

Stało się to nagle. Poczul, że ktoś dotyka jego pleców. Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z krępy męczyzną o szerokiej twarzy, ubranym podobnie jak on, tak samo gładko ogolonym, krótko ostrzyżonym, ogorzałym.

Na twarzy nieznajomego widać było krople potu. Zaslonił go przed resztą tłumu i zapytał, przekrzykując jazgot:

– *Es tu peregrinator temporis?* Miał dziwny akcent – później się okazało, że pochodził z osiemnastowiecznej Polski – ale Havig dobrze znał klasyczną łacinę i jej późniejsze odmiany, żeby zrozumieć pytanie. „Czy jesteś podróżnikiem w czasie?”.

Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. Wreszcie dotarł do celu swoich poszukiwań. Albo ich poszukiwań.

Był wysoki jak na te czasy i nosił się bez okrycia głowy, pokazując porządnie ostrzyżone włosy i nordyckie rysy.

W przeciwieństwie do większości miast na przestrzeni dziejów

Jerozolima

**czasów**

**Heroda**

**była**

**w**

**wystarczającym**

**stopniu**

**kosmopolityczna, żeby wpuszczać różnych cudzoziemców. Kiedy tu wyruszał, miał nadzieję, że inni podróżnicy rozpoznają go w końcu jako obcego, tak w czasie, jak w przestrzeni, albo że on będzie miał okazję śledzić kogoś takiego. Teraz ta nadzieja się ziściła.**

**Jego pierwszą myślą, zanim ogarnęła go radość, było spostrzeżenie, że ten facet wygląda na twardziela.**

**\***

**Usiedli w gospodzie. Polak nazywał się Wacław Krasicki i pochodził z Warszawy z 1738 roku. Jego kolega, Juan Mendoza, pochodził z Tijuany z 1924 roku. I odnaleźli jeszcze innych podróżników.**

**Oprócz Jacka Haviga znaleźli Coenraada van Leuvena, zabijakę z trzynastego wieku, który próbował mieczem ratować Zbawiciela w drodze na Golgotę. Krasicki go powstrzymał akurat na czas, żeby uniknął rzymskiej włóczni. Teraz siedział sparaliżowany pytaniem: Skąd wiedziałeś, że ten człowiek naprawdę jest twoim Panem? Był jeszcze siwobrody mnich, mówiący tylko po sztokawsku. Wydawało się, że ma na imię Borys i pochodzi z siedemnastego wieku. I jeszcze kobieta z włosami zaplecionymi w warkoczyki i twarzą ze śladami po ospie. Mamrotała coś**

w języku, którego nikt nie potrafił zidentyfikować.

– To wszyscy? – zapytał Havig z niedowierzaniem.

– Cóż, w mieście mamy jeszcze innych agentów – odparł Krasicki.

Rozmawiali po angielsku, od kiedy Havig określił swoje pochodzenie. –

Mamy się spotkać w poniedziałek wieczorem, a potem po raz drugi po...

mhm... Zielonych Świątkach. Mam nadzieję, że znajdą jeszcze kilku

innych podróżników. Ale zgadzam się, że złowiliśmy mniej, niż

oczekiwaliśmy.

Gospoda miała otwarty front. Goście siedzieli po turecku na starych

kilimach i pili z glinianych kubków napelnianych przez służącego. Przed

nimi przechodziły tłumy ludzi, ale wrzask dobiegający z ulicy jakby się

zmniejszył. Havig wprost nie mógł uwierzyć: był w Jerozolimie w Wielki

Piątek!

Krasicki niezbyt się tym przejmował. Wspomniał, że opuścił swoje

zacofane miasto, kraj i czas, żeby się udać do oświeconej Francji. Szeptem

dodał, że jego partner jest gangsterem (użył słowa „najemnik”, ale sens i

tak był jasny).

– Śmierć jakiegoś żydowskiego cieśli cierpiącego na delirium nie

robi na mnie specjalnego wrażenia – oznajmił Havigowi. – A na tobie?

Wygląda na to, że udało nam się trafić przynajmniej na jednego

rozsądnego rekruta.

W rzeczywistości odczucia Haviga były nieco inne, ale nie chciał się

klócić.

– Naprawdę jest nas tak niewielu? – spytał, żeby zmienić temat.

**– Nie wiadomo. – Krasicki wzruszył ramionami. – Może nie bardzo mogą się tutaj dostać. To nawet logiczne. Ty użyłeś latającej maszyny, żeby tu dotrzeć w kilka godzin. Ale pamiętaj, że w większości epok to nie jest takie proste.**

**Czasami wręcz niemożliwe.**

**Czytaliśmy**

**o**

**średniowiecznych pielgrzymach. Ilu wśród nich było podróżnikami w czasie? A ilu zmarło w czasie drogi? Część z nich, być może, nie życzy sobie zostać znaleziona. A może nigdy im nie przyszło do głowy, że inni mogą ich szukać. Albo po prostu ich przebrania są zbyt dobre, żeby ich rozpoznać.**

**Havig przyglądał się Krasickiemu, potem siedzącemu z kamienną twarzą Mendozie, prawie pijanemu Coenraadowi, brudnemu Borysowi ściskającemu różaniec, nieznaną wariatce i pomyślał: Jasne. Niby dlaczego taki dar miałby przypaść tylko takim jak ja? Czemu sam nie wpadłem na to, że musi być rozdzielony losowo wszystkim ludziom równomiernie? No bo dlaczego miałbym być kimś wyjątkowym?**

**– Nie możemy poświęcić zbyt wiele sił na poszukiwania – dodał**

**Krasicki. – Jest nas niewiele w Orlim Gnieździe.**

– Poklepał Haviga po kolanie. – Boże! Ale się Wódz ucieszy, że wreszcie znaleźliśmy ciebie.

\*

Pozostałe zespoły znalazły jeszcze syryjskiego pustelnika z trzeciego wieku i jońskiego podróżnika z drugiego wieku przed naszą erą.

Zauważono jeszcze jakąś kobietę – prawdopodobnie koptyjską chrześcijankę – która jednak zniknęła, zanim udało się z nią skontaktować.

– Marny zbiór – mruknął Krasicki. – Ale zawsze lepsze to, niż nic.

Potem poprowadził ich najpierw w okres Zielonych Świątek na następne spotkanie, a potem bezpośrednio do dwudziestego pierwszego wieku.

Na pustyni unosił się tylko kurz. Po Jerozolimie pozostały jedynie szkielety i kikuty domów. Ale czekał na nich samolot. Smukły, z krótkimi skrzydłami, napędzany energią atomową. Ludzie z Orlego Gniazda wyciągnęli go z hangaru, którego strażnicy zginęli, zanim udało im się go użyć.

– Przelecieliśmy nad Atlantykiem – powiedział mi Havig.

– Ich kwatery mieściła się... będzie się mieściła w Wisconsin.

Owszem, pozwolili mi wydostać z ukrycia mój chronolog. Udawałem, że nie potrafię im wytłumaczyć, co to jest, z powodu różnic językowych. Oni poruszali się w czasie prawie po omacku, licząc każdy dzień. To koszmarny sposób podróżowania, chociaż ułatwia znajdowanie innych.

Ale tłumaczy też ich niechęć do dalekich podróży w czasie. Powrót był



łatwiejszy, ponieważ ustawili w ruinach wielkie tablice, na których codziennie wyświetlali datę.

Ameryka pod koniec dwudziestego pierwszego wieku dopiero zaczynała się dźwigać z ruin. Ich obóz i domy, otoczone murem, ciągle były atakowane przez... tubylców lub maruderów. Stamtąd dopiero wyruszyliśmy dalej w przyszłość do czasów, z których Wódz ich wysłał w tę podróż.

Nie mam pojęcia, czy mój przyjaciel kiedykolwiek widział Jezusa.

## Rozdział 7

Po stu latach zastoju widać było wyraźny postęp. Ziemia, uprzednio skażona, zaczynała dawać coraz większe plony. Pozwalało to na wzrost liczebności jej mieszkańców. Pola dojrzewających zbóż rozciągały się na niewielkich pagórkach pod mdławym niebem zasnutym letnimi chmurami. Świeżo zasadzone drzewa tworzyły kopuły zieleni, w której gnieździły się ptaki i szumiał wiatr. Drogi były piaszczyste, ale zaplanowane w szachownice. Chłopi pracowali na polach. Używali ręcznych narzędzi albo maszyn ciągniętych przez konie. Narzędzia były proste, ale porządnie wykonane. Wszyscy ubierali się tak samo w ręcznie tkane niebieskie spodnie i koszule, bez względu na pleć. Na głowach nosili słomiane kapelusze i wszyscy mieli takie same prymitywne buty.

Ogorzali,

zahartowani

pracą,

wyglądali

**jak**

**rolnicy**

**epok**

**przedindustrialnych. Włosy mieli zaczesane do tyłu. Mężczyźni nosili brody. Jak na standardy dwudziestego wieku byli niscy, mieli popsute zęby albo byli wręcz bezzębni. Ale i tak mieli się o niebo lepiej niż ich bracia w czasie wojny ostatecznej.**

**Przerywali na chwile pracę, żeby pozdrowić przejeżdżających, ale zaraz do niej wracali. Mijający ich dwaj żołnierze wyjęli szable, salutując.**

**Nie było jednak w ich geście śladu poddaństwa. Nosili niebieskie mundury, stalowe hełmy i napierśniki. Uzbrojeni byli w sztylety, kolczan, łuk i topór przytroczony do tarczy na plecach. Lance mieli ozdobione czerwonymi proporcami.**

**– Wygląda na to, że dobrze ich pilnujecie – stwierdził Havig ostrożnie.**

**– A co można zrobić? – zdziwił się Krasicki. – Większość świata i większość tego kontynentu wciąż jest w stadium barbarzyństwa. Ludzie walczą tylko o przetrwanie. Nie możemy jeszcze wyprodukować maszyn dla wszystkich. Mongowie zajmują obszary na zachód i na wschód od nas.**

**Jeżeli na moment zmniejszymy czujność, zwałą się na nas jak tornado.**

**Żołnierze nie pilnują chłopów, lecz ochraniają ich przed bandytami. Ci ludzie wszystko, co mają, zawdzięczają Orlemu Gniazdu.**

**Te średniowieczne zwyczaje panowały również w mieście, do**

**którego wjechali. Rodziny nie zajmowały osobnych domów, ale żyły i**

pracowały razem. Chociaż w przeciwieństwie do średniowiecza wszędzie było czysto, to jednak brakowało tamtego uroku. Ściany z cegieł i asfaltowe ulice były równie monotonne jak zabudowa z czasów wiktoriańskich w Anglii. Havig uważał, że stało się tak, ponieważ przeważyła konieczność szybkiej budowy i nie było czasu na indywidualne rozwiązania. Chyba że...

Postanowił wstrzymać się od ocen, dopóki nie pozna szczegółów.

Dostrzegł

wreszcie drewnianą,

kolorową budowlę nawiązującą

architekturą do stylów azjatyckich. Krasicki powiedział mu, że była to

świątynia, w której modlono się do Yasu i składano ofiary Oktajowi. Te

bóstwa czcili Mongowie.

– Jeżeli zostawi się im religię i zacznie współpracować z kapłanami,

to ma się spokój – dodał.

– A gdzie macie szubienicę? – spytał Havig.

– Nie robimy publicznych egzekucji. – Krasicki spojrzał na niego ze

zdziwieniem. – Myślisz, że kim jesteśmy? Poza tym – dodał po chwili –

sądysz, że łagodnymi metodami można cokolwiek wskórać w takich

czasach?

Zbliżali się do fortecy. Wysokie mury z basztami otaczały kilka

hektarów ziemi. Wokół wykopano fosę zasilaną wodą z pobliskiej rzeki.

Architektura tej budowli była równie prosta jak otaczających ją domów.

Po obu stronach bramy na murach umieszczono gniazda ciężkich

karabinów maszynowych. Albo wymontowano je z wraków, albo sprowadzono w częściach z przeszłości. Głuche odgłosy podpowiedziały Havigowi, że w środku pracuje kilka agregatów prądotwórczych. Wartownicy zaprezentowali broń. Zagrała nawet trąbka i opadł most zwodzony. Wjechali na dziedziniec.

Kiedy się zatrzymali, zewsząd zaczęli pojawiać się ludzie, rozmawiający z podnieceniem. Większość mieszkańców musieli stanowić służący. Havig ledwo ich zauważył. Jego wzrok przyciągnęła kobieta, która przepychała się ku niemu przez tłum.

– Na ogon Oktaja! – krzyknęła z radością. – Znaleźliście go!

Była prawie tak wysoka jak on. Dobrze zbudowana, o szerokich ramionach i biodrach oraz długich i zgrabnych nogach. Policzki miała wysoko zarysowane, mały nos, szerokie usta i zdrowe zęby, chociaż dwóch jej brakowało (później się dowiedział, że straciła je w walce). Na jej skórze w kilku miejscach widać było blizny. Długie, gęste czarne włosy spięła wstążkami nad wielkimi mosiężnymi kolczykami. Miała brązowe, nieco skośne oczy i gęste brwi (wyraźne ślady indiańskiej lub azjatyckiej krwi). Ubrana była w luźną czerwoną tunikę, kilt i sznurowane na łydkach buty. Do pasa miała przyczepiony nóż, rewolwer, zapasową amunicję. Na jej szyi zwisał naszyjnik z czaszki łasicy.

– Skąd pochodzisz? Ty! – Szturchnęła go palcem wskazującym. –

Wielkie Łata? Tak? – Wybuchnęła śmiechem. – Masz mi mnóstwo do opowiadania, podróżniku!

– Wódz czeka na niego – przypomniał jej Krasicki.

**– OK, mogę poczekać, ale żeby to nie trwało cały dzień, słyszysz?**

**Kiedy Havig zsiadł z konia, złapała go nagle i pocałowała w usta.**

**Pachniała słońcem, skórą, potem, dymem i kobietą. Tak właśnie poznał Leoncję ze szczepu Glacier.**

**\***

**Biuro stanowiło odpowiednią poczekalnię do wielkiego i luksusowo urządzonego apartamentu. Dębowe panele na ścianach ładnie komponowały się z grubym szarym dywanem. Zasłony w oknach wykonane były z futra norek. Masywne biurko, krzesła i kanapa musiały zostać wykonane na miejscu z uwagi na ich ciężar, ale ich wykończenie kontrastowało z surowością mebli stojących w innych pomieszczeniach. Na ścianie wisiały zdjęcia w srebrnych ramkach. Jedno z nich, dagerotyp, ukazywało wyblakłą sylwetkę kobiety w stroju z połowy dziewiętnastego wieku. To były amatorskie zdjęcia zrobione miniaturowym aparatem podobnym do tego, którego używał Havig. Na fotografiach rozpoznał Cecila Rhodesa, Bismarcka, młodego Napoleona. Nie potrafił skojarzyć faceta z żółtą brodą w długiej sukni.**

**Z piątego piętra fortecy widać było cały kompleks mniejszych i większych budowli. Zarówno w obrębie Orlego Gniazda, jak i poza murami. Popołudniowe światło wpadało ukosem grubymi promieniami do środka. Odgłosy generatora były tu ledwo słyszalne.**

**– Puścimy jakąś muzykę? – Caleb Wallis włączył molekularny odtwarzacz z czasów poprzedzających wybuch wojny ostatecznej. Głośniki ożyły. – To pieśń zwycięstwa – powiedział, ścisząc nieco**

**dźwięk. – Boże! Jak się cieszę, że tu wreszcie trafiłeś.**

**Havig rozpoznał „Wejście bogów do Walhalli” z *Das Rheingold*12.**

**Reszta grupy razem z przewodnikami nie została zaproszona do środka.**

**– Jesteś wyjątkowy – powiedział Wódz. – Tacy jak ty zdarzają się raz na sto przypadków. Może cygaro?**

**– Dziękuję. Nie palę.**

**Wallis stał przez moment zamyślony, po czym oznajmił z naciskiem, choć bez podnoszenia głosu:**

**– Jestem założycielem i władcą tego kraju. Musimy dbać o dyscyplinę, formę i szacunek. Mówi się do mnie: „sir”.**

**Havig przyjrzał się mu uważnie. Wallis był średniego wzrostu, krępy i silny mimo swojego wieku. Miał rumianą twarz, lekko spłaszczony nos, siwiejące bokobrody całkowicie okalały twarz, nieco zasłaniając łysinę. Ubrany był w czarny mundur ze srebrnymi guzikami i insygniami, z wyszywanym złotem kołnierzem i epoletami. U pasa miał ozdobny sztylet i pistolet. Nie było w nim jednak nic śmiesznego. Mówił głębokim i spokojnym głosem, którym potrafił hipnotyzować, jeżeli tego chciał. W jego małych, białych oczach nie było śladu wahania.**

**– Cóż – powiedział Havig. – To wszystko jest dla mnie nowe... sir.**

**– Jasne! – Wallis uśmiechnął się i klepnął go po plecach. – Szybko się wciągniesz. Daleko zajdziesz, chłopcze. U nas nie ma ograniczeń dla ludzi, którzy wiedzą, czego chcą, i potrafią to osiągnąć. Poza tym jesteś przecież Amerykaninem. Prawdziwym bogobojnym Amerykaninem z**

czasów, kiedy nasz kraj był jeszcze potęgą. Niewielu takich jest wśród 12 „Złoto Renu”, pierwsza część „Pierścienia Nibelunga” Richarda Wagnera. nas. Siadaj, proszę – powiedział, sadowiąc się za biurkiem. – Albo nie. Za chwilę. Chcesz zobaczyć mój barek? Mam ochotę na burbona. Często się według woli.

Havig nalał sobie rumu. Zastanawiał się, dlaczego nie zadbano o lód, wodę i całą resztę. Nie było to zbyt skomplikowane. Wyglądało na to, że Wallis wolał pić bez niczego i nie przejmował się gustami innych.

– Mogę opowiedzieć swoją historię, sir. Ale chyba lepiej będzie poznać wpierw Orle Gniazdo.

– Właśnie, właśnie. – Wallis pokiwał swoją wielką głową i zaciągnął się cygarem, którego dym był wyjątkowo gryzący. – Ustalmy jednak kilka faktów. Urodziłeś się w 1933 roku, prawda? Powiedziałeś komuś, kim jesteś?

Havig wahał się, czy wspominać mu o mnie. Nasuwały się zaraz nowe pytania. Czy cofałeś się w czasie, żeby pokierować sobą w dzieciństwie? Czy starałeś się poprawić swoją sytuację życiową? Czy szukałeś innych podróżników w czasie?

– Tak, sir.

– Co sądzisz o swoich czasach?

– Cóż... mamy problemy. Byłem w przyszłości i widziałem, co nas czeka, sir.

– To przez tę zgniliznę, chłopcze, rozumiesz? – Wódz spojrział na niego przenikliwie. – Cywilizowani ludzie skaczą sobie do gardeł. W

**czasie wojny i potem w aspekcie moralnym. Imperium białego człowieka rozpadło się szybciej niż cesarstwo rzymskie. Cała praca Give'a, Bismarcka, Rhodesa, McKinleya, Lyauteya, wszystkich bojowników indyjskich i burskich. Co wywalczono przez stulecia, to legło w gruzach w ciągu jednego pokolenia. Zniknęła cała duma i dziedzictwo cywilizacji. A wszystko za sprawą zdrajców – bolszewików i międzynarodówki żydowskiej – którzy trzymali władzę i wmawiali ludziom, że przyszłość należy do czarnych. Studiowałem tę epokę i dobrze się na tym znam. Ty wtedy żyłeś i pewnie sam musiałeś to dostrzec.**

**Havigowi włosy zjeżyły się na głowie.**

**– Widziałem, do czego mogą doprowadzić uprzedzenia, znieczulica i głupota. Grzechy ojców naprawdę przechodzą na synów.**

**Tym razem Wallis zignorował brak „sir” na końcu zdania.**

**Uśmiechnął się z zadowoleniem i stał się kojąco miły.**

**– Wiem, wiem. Nie zrozum mnie źle. Mnóstwo kolorowych to wspaniali, odważni ludzie. Na przykład Zulusi czy Apacze, czy nawet żółtki. Każdy podróżnik w czasie pochodzący z ich kręgów może liczyć na równie zaszczytne miejsce w naszej organizacji, co na przykład ty. Jestem tego pewien. Ja podziwiam waszych Izraelczyków. Wiele o nich słyszałem. Skundlona nacja, ale nie ma nic wspólnego z tymi Żydami, o których mówi Biblia. Są podobno waleczni i sprytni. Mówię o czym innym. Po prostu każdy musi pilnować własnej tożsamości i własnej dumy. Jestem wrogiem tylko takich wyrzutków jak czarnuchy, czerwonoskórzy, Chińczycy i cała ta hołota. Wiesz chyba, o czym mówię.**



Niestety, wielu białych sprzedało im się na służbę. Może stracili wiarę albo ich kupiono. Kto wie?

Havig musiał powtórzyć sobie, że takie przekonania nie były niczym niezwykłym w epoce, z której pochodził Wódz. Uchodziły wręcz za godne poszanowania. Nawet Abraham Lincoln uważał, że Murzyni są gorszą rasą... Wallis zapewne nikogo by nie kazał ukrzyżowywać.

– Sir – powiedział Havig ostrożnie – proponuję, żebyśmy nie dyskutowali na te tematy, dopóki nie zrozumiemy do końca własnych poglądów. To może wymagać pewnego wysiłku. Na razie może zajęlibyśmy się sprawami bardziej praktycznymi.

– Racja – mruknął Wallis. – Masz głowę na karku, Havig. I jednocześnie jesteś człowiekiem czynu, chociaż masz może ograniczone środki. Ale powiem otwarcie. Na tym etapie potrzebujemy ludzi z głową. Zwłaszcza jeżeli mają wykształcenie naukowe i są realistami. – Machnął cygarem. – Weźmy na przykład ten dzisiejszy zaciąg z Jerozolimy. Greka i najemnika pewnie uda się wyszkolić do prac pomocniczych. Może na zwiadowców czy pomocników w wyprawach w czasie. Ale reszta... – Mlasnął językiem z niesmakiem. – Sam nie wiem. Co najwyżej kurierzy do przenoszenia różnych przedmiotów z przeszłości. A co do tej dziewczyny, to mogę mieć tylko nadzieję, że jest płodna.

– Co?! – Havig prawie wyskoczył z krzesła. – To my możemy mieć dzieci?

– Między sobą tak. W ciągu tych stu lat uwodniono to nieraz. –

Wallis zarechotał. – Z normalnymi ludźmi nie, nigdy. Zbadaliśmy to na

wszystkie sposoby. Chciałbyś może jakąś ciepłą służącą do łóżka? Mamy przecież niewolnice zdobyte w walkach. Nie próbuj mnie umoralniać. Tamci zachowaliby się wobec nas dokładnie tak samo. Gdybyśmy nie robili wypadów i nie brali jeńców od czasu do czasu, to tamci ciągle by najeżdżali nasze tereny. – Znowu spoważniał. – Mamy ciągle braki, jeżeli chodzi o kobiety mogące podróżować w czasie. I nie wszystkie chcą lub mogą mieć dzieci. A jeśli mogą, rodzą całkiem zwyczajne dzieci. Ten dar nie jest dziedziczny.

Zważywszy na swoje własne hipotezy, Havig nie był tym zbyt zdziwiony. Jeżeli dwa identyczne zestawy chromosomów mogły się krzyżować, to tylko dlatego, że ich własny „rezonans” (jak to nazywał) się znosił. Inaczej podróżnicy nie mogli mieć żadnych dzieci.

– Nie ma szans na to, żebyśmy mogli sami stworzyć nową rasę – mówił dalej Wallis. – Oczywiście zapewniamy naszym dzieciom wykształcenie, dodatkowe przywileje, kierownicze stanowiska, bo to mi pomaga zachować lojalność naszych agentów. Tylko mówiąc między nami, mam coraz większy kłopot w wynajdywaniu ładnie wyglądających stanowisk, na których nie można niczego zbyt szybko spieprzyć. Rodzice podróżują w czasie i nie uchodzi, żeby dzieci pracowały fizycznie.

Tworzymy tutaj coś w rodzaju arystokracji. Nie kryję tego. Nie uda nam się jednak utrzymać wszystkich stanowisk w drodze dziedziczenia.

Zresztą tego bym nie chciał.

– Czego pan pragnie, sir? – spytał cicho Havig.

Wallis odłożył cygaro, jakby jego następne słowa wymagały

**pobożnego złączenia dłoni na biurku.**

**– Odbudować cywilizację. Po cóż innego Bóg dałby nam taki dar?**

**– Ale w przyszłości... widziałem fragmenty...**

**– Federacji Mauraiów? – Poczzerwieniał ze złości i walnął pięścią w biurko. – Ile widziałeś? Pewno niewiele? Badałem tę epokę. Zabiorę cię tam, żebyś sam się przekonał. Zobaczysz, że to zbieranina żółtków, Murzynów, białasów i diabli wiedzą czego. Właśnie zaczynają zdobywać władzę, kiedy my tu siedzimy. Tylko dlatego, że mieli niewielkie zniszczenia. Będą pracowali, walczyli i dawali łapówki, żeby tylko nałożyć wędzidło na całą ludzkość, a na białych w szczególności. I powstrzymać na wieki jakikolwiek postęp. Sam się przekonasz.**

**Odchylił się w fotelu, ciężko westchnął i wypił do końca swój burbon.**

**– Ale to im się nie uda. Przez jakieś trzy, cztery stulecia ludzkość będzie musiała ich znosić. A potem... Po to właśnie stworzyłem Orle Gniazdo. Żeby się przygotować na to „potem”.**

**\***

**– Urodziłem się w 1853 roku w Nowym Jorku – opowiadał Wódz. –**

**Ojciec był drobnym księgowym i żarliwym baptystą. Moja matka... to jej zdjęcie – pokazał na fotografię milej, niewyraźnej postaci na ścianie i przez chwilę w jego oczach pojawiła się czułość. – Byłem siódmym dzieckiem, które przeżyło. Ojciec nie poświęcał więc mi wiele czasu. Jego ulubieńcem był najstarszy syn. Cóż, przynajmniej wcześniej nauczyłem się sam dbać o siebie i trzymać buzię na kłódkę. Nauczyłem się również**

**zapobiegliwości. Kiedy miałem siedemnaście lat, wyjechałem do**

**Pittsburghu, bo wiedziałem, że tam jest przyszłość. Starszy „ja” mocniej pracował nade mną niż twój nad tobą. Tak mi się zdaje. Zresztą od początku wiedziałem, że dokonam czegoś wielkiego.**

**– A jak się panu udało zarobić pieniądze, sir? – spytał Havig.**

**Chciał być tym razem dyplomata, ale też był ciekaw.**

**– Mój starszy „ja” dołączył do Forty-niners<sup>13</sup> w Kalifornii. Nie był pazerny i zadowalał się drobnymi zyskami. Zarobił tyle, żeby móc zdobyć właściwe pieniądze na dostawach dla wojska, kiedy wybuchła wojna secesyjna. Potem powiadomił mnie o wszystkim i kiedy zjawiłem się w Pittsburghu, reszta poszła już łatwo. Trudno to właściwie nazwać spekulacją gruntami, jeżeli się dokładnie wie, co będzie, prawda? Swoje działki sprzedałem w najlepszym momencie, w 1873 roku, a potem, kiedy wybuchła panika, odkupywałem za grosze ziemię ze złożami węgla i ropy.**

**Inwestowałem również w kolej i stalownie, mimo problemów ze**

**13 Określenie uczestników gorączki złota w Kalifornii. Nazwa pochodzi od roku 1849, kiedy przypadł**

**szczytowy okres tego zjawiska.**

**strajkami i anarchistami. W 1880 roku, mając realnie około trzydziestu pięciu lat, doszedłem do wniosku, że jestem już dość bogaty, żeby poświęcić się pracy, dla której mnie Bóg stworzył.**

**Odszedłem od wiary swojego ojca – dodał poważnym tonem. – Jak chyba większość podróżników w czasie. Ale wciąż wierzę, że jakiś Bóg od czasu do czasu powołuje konkretnych ludzi do szczególnych czynów.**

**Nagle zaczął rechotać, trzęsąc brzuchem.**

**– Strasznie pretensjonalne jak na prawdziwego Amerykanina.**

**Sława i blichtr to są rzeczy z podręczników historii, Havig. W rzeczywistości trzeba ciężko pracować, sprawdzać każdy szczegół, być cierpliwym, gotowym do wyrzeczeń i uczyć się głównie na własnych błędach. Sam widzisz, że nie jestem już młody, a mój plan dopiero zaczyna się rysować. Daleko mu do dojrzałości. W życiu jednak liczy się samo działanie i dążenie do celu. To sprawia, że człowiek naprawdę żyje. Nalej mi jeszcze – powiedział, podsuwając pustą szklankę. – Zwykle tyle nie piję, ale żebyś wiedział, od jak dawna chciałem wreszcie porozmawiać z kimś inteligentnym i nowym. Mam kilku sprytnych chłopaków, jak Krasicki, ale to są cudzoziemcy. Jest już dwóch Amerykanów, lecz znamy się tak dobrze, że z góry wiem, jak zareagują na moje słowa. Nalej, proszę, mnie i sobie i pogadajmy trochę.**

**– A jak znalazł pan pierwszego podróżnika, sir? – mógł wreszcie spytać Havig.**

**– Cóż, nająłem wielu agentów w różnych latach dziewiętnastego wieku. Kazałem im umieszczać ogłoszenia w gazetach i zbierać plotki. Nie używali oczywiście zwrotu „podróżnik w czasie”. Ogłoszenia były starannie zredagowane. Sam tego nie robiłem. Marny ze mnie pisarz. Ludzie czynu muszą korzystać z pomocy ludzi wykształconych. Długo szukałem i wreszcie znalazłem człowieka, który chciał zostać pisarzem. To był Anglik z lat pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Bardzo zdolny, chociaż miał skłonności do socjalizmu. Woląłem kogoś z końca**

stulecia, żeby uniknąć powtórzeń. On okazał zainteresowanie moją propozycją i za kilka gwinei napisał kilka dobrych kawałków. Chciałem mu nawet zapłacić więcej, ale wolał zamiast pieniędzy prawa do wykorzystania pomysłu podróży w czasie.

– Miałem podobne pomysły, sir – stwierdził Havig. – Brakowało mi pańskiego podejścia. No i nie miałem takiej fortuny. Poza tym w moich czasach podróże w czasie występowały w wielu książkach. Bałem się, że mogę przyciągnąć co najwyżej kilku pomyleńców.

– Też na nich trafiłem – przyznał Wallis. – Chociaż było wśród nich kilku prawdziwych. To znaczy prawdziwych podróżników, których dar doprowadził do lekkiego obłądzenia. A czasami ciężkiego. Ludzie obdarzeni takim darem muszą być pod opieką od dzieciństwa. Inaczej albo się tego boją, albo robią skoki tylko w obrębie kilku dni, albo dają się spalić na stosie jako czarownicy. W każdym wypadku muszą to ukrywać, więc dziczeją. Zdarzają się ulicznicy, którzy postanawiają zostać złodziejami, bo spostrzegają, że nikt ich nie może złapać. Tacy też się nie ujawniają. Podobnie w przypadku Indian. Podróżnik może ich zdrowo wystraszyć i kazać się czcić, ale przecież nie powiedzą tego bladym twarzom. Co zaś tyczy się tych najsprytniejszych, jak ja czy ty, to raczej też unikają sławy i wolą siedzieć cicho, prawda? Niestety, czasami siedzą tak cicho, że nie mamy szans ich znaleźć.

– Ilu ich pan zebrał?

– Sir.

– Przepraszam, sir.

**– Jedenastu. – Wallis westchnął – Z całego stulecia tylko tyłu.**

**Najlepszy nazywał się Austin Caldwell. Był puciołowatym zwiadowcą z pogranicza, kiedy po raz pierwszy zjawił się u mnie. Potem jednak zrobił się z niego kawał twardziela. To właśnie on przezwał mnie Wodzem.**

**Spodobało mi się i tak już zostało.**

**Był też magik trudniący się również przepowiadaniem przyszłości, zawodowy kanciarz, biedna dziewczyna z Południa. To Amerykanie. Za granicą znalazłem żołnierza z Bawarii, inkwizytora z Hiszpanii (u nich inkwizycja działała najdłużej), Żydówkę z Węgier, studenta z Edynburga (który zakopał się w książkach, usiłując dociec, kim jest), milionerkę z Paryża (ta podróżowała w czasie dla przyjemności). Była jeszcze para rolników z Austrii. Z tymi mieliśmy naprawdę szczęście, ponieważ rzadko się zdarza dwoje podróżników w czasie w tej samej okolicy. Na dodatek ci byli małżeństwem i mieli dziecko. Nie chcieli się ruszyć z miejsca bez dziecka.**

**Takie były nasze początki. Możesz sobie wyobrazić problemy językowe i transportowe, które trzeba było pokonać. Nie licząc przekonania wszystkich.**

**– To niewielu. – Havig nie umiał ukryć rozczarowania.**

**– Drugie tyle okazało się niezdadne do naszych celów. Załamali się, byli zbyt głupi lub zbyt przestraszeni, żeby do nas przystąpić. Pewna kobieta nie chciała opuścić męża. Zastanawiałem się nawet, czy jej nie porwać siłą. W końcu cel uświęca środki, ale jaki może być pożytek z podróżnika w czasie, który nie chce podróżować? Faceta można by**

**spróbować zmusić szantażem. Kobiety są jednak zbyt tchórzliwe.**

**Havig przypomniał sobie gorące powitanie po przyjeździe, ale się powstrzymał od uwag.**

**– Kiedy wreszcie zdobyłem pierwszych pomocników, mogłem zacząć się rozwijać – mówił dalej Wallis. – Rozszerzyliśmy obszar badań. Założyliśmy bazy lokalne w najważniejszych epokach. Mogliśmy wreszcie zbierać nowych podróżników z innych epok. Chociaż z naszej własnej też kilku jeszcze się udało znaleźć. Mogliśmy wreszcie wybrać miejsce na nasze Orle Gniazdo i przejąć władzę nad lokalną ludnością, by zapewnić sobie zaopatrzenie. Ci głodujący biedacy przyjęli z radością naszych wojowników niosących z sobą prawdziwą broń i ziarna na pierwsze zasiewy.**

**– Można spytać, dlaczego pan wybrał akurat ten czas i to miejsce na swoją siedzibę, sir?**

**– Jasne, pytaj, o co chcesz – oznajmił łaskawie Wallis.**

**– Są duże szanse, że ci odpowiem... Badałem historię. Jak widzisz po tych zdjęciach, zwiedziłem wiele epok. Sprawdziłem nawet nasze szanse w czasach Karola Wielkiego. To zbyt odległa przeszłość. Nawet w niezbadanych epokach prekolumbijskich istniało ryzyko pozostawienia wielu śladów dla archeologów. Musisz pamiętać, że Mauraiowie również mogą mieć swoich podróżników w czasie. W tej konkretnej epoce feudalizm taki, jak nasz tutaj, pleni się wszędzie. Cywilizacja zaczyna się odbudowywać, a my staramy się nie zwracać na siebie uwagi. Nasz lud wie oczywiście, że jesteśmy potężni, ale uważają nas za czarowników i**



**dzieci bogów. Zanim te opowieści przedostaną się przez otaczających nas barbarzyńców do świata zewnętrznego, zostaje z nich tylko mglista relacja o kolejnym zabobonie.**

**Havig musiał docenić spryt tego posunięcia.**

**– O ile zdołałem ustalić, sir – powiedział – to kultura Maurai**

**zaczyna się właśnie formować w basenie Pacyfiku. Nawet gdyby ktoś z ich przyszłości chciał badać historię, bardziej byłby zainteresowany**

**rozwojem**

**własnej**

**cywilizacji**

**niż**

**tymi**

**zacofanymi**

**terenami**

**zamieszkanymi przez barbarzyńców.**

**– Jesteś niesprawiedliwy dla rodowitych Amerykanów – zwrócił mu**

**uwagę Wallis. – Z punktu widzenia Mauraiów masz oczywiście rację.**

**Musisz jednak przyznać, że mieliśmy wyjątkowego pecha.**

**Było w tym trochę prawdy. Obszary Oceanii nie odgrywały wielkiej**

**roli w uprzemysłowieniu czy w rozgrywkach supermocarstw. Olbrzymie**

**obszary oceanów łatwiej się również regenerowały niż inne morza, wokół**

**których skupiała się stara cywilizacja. A tamtejsi mieszkańcy nie byli po**

**prostu grabieżcami pozostałości Edenu. Wiedza zawarta w książkach**

**zachowała się w stanie nienaruszonym. Podobnie jak infrastruktura**

**technologiczna.**

**Ameryka Północna, Europa, większa część Azji i Ameryki**

**Południowej, sporo regionów Afryki – to wszystko były obszary, które uległy największym zniszczeniom z uwagi na obfitość celów. W chwili kiedy znikły ośrodki przemysłowe, medyczne i rolnicze, ludność zaczęła masowo umierać. Nieliczni, którzy przeżyli ten koszmar, zamieniali w ruinę nieliczne ocalałe resztki dawnej świetności w walce o zwykłe przetrwanie.**

**Nawet na takich terenach zachowywały się oazy wiedzy w formie izolowanych społeczności i półreligijnych enklaw. Teoretycznie były w stanie przekazać część zachowanej wiedzy otaczającym je barbarzyńcom. W praktyce to nie zadziało, ponieważ stara cywilizacja wyssała prawie wszystkie zasoby naturalne.**

**Teoretycznie można było przecież dość prymitywnymi metodami zagospodarować dziewiczy las, wykorzystać rzekę czy zrobić prosty odwiert i wydobywać ropę naftową. Dałoby to podstawę do odbudowania większych i bardziej nowoczesnych fabryk zdolnych do wytwarzania bardziej skomplikowanych przyrządów. W miarę wyczerpywania się surowców można zastępować drewno plastikiem, wyodrębniać żelazo z takonitu i szukać nowych złóż ropy naftowej na całej planecie.**

**W momencie wybuchu wojny ostatecznej wszystko to już zrobiono.**

**Nikt nie zamierzał ponownie tworzyć tej kombinacji maszyn, wyspecjalizowanych pracowników do ich obsługi i doskonale leczonych podatników konsumujących wytwory tych maszyn.**

**Wiedza umożliwiająca odbudowę cywilizacji technicznej nie zaginęła i mogła zostać ponownie wykorzystana. Brakowało jednak surowców naturalnych niezbędnych do jej wskrzeszenia.**

**– Nie sądzi pan, sir – zaczął ostrożnie Havig – że budując alternatywną cywilizację, Mauraiowie oddają nam przysługę?**

**– Do pewnego momentu jak najbardziej. To trzeba przyznać tym sukinsynom – warknął Wallis, znowu machając cygarem. – Ale nic więcej. Niech tylko utrwala struktury cywilizacji. Cały czas sprawdzamy, czego jeszcze zabraniają. Sam się o tym przekonasz. Co zaś się tyczy naszej organizacji... – Wallis nagle zmienił temat. – Ani ja, ani moi najlepsi ludzie nie tkwimy w jednej epoce. Bez przerwy staramy się przemieszczać w czasie, żeby zapewnić ciągłość władzy na naszym obszarze. I to nam się udaje. Wszystko teraz właściwie kręci się samo. W przeszłości, teraźniejszości i w przyszłości. Mamy już setki agentów i tysiące oddanych zwolenników. Władamy obszarem o powierzchni kilku dawnych stanów. Chociaż handel odbywa się raczej przez czas niż w przestrzeni. Kiedy się sprawdzi drogę życia obiecującego rekruta od dzieciństwa, można z niego zrobić człowieka oddanego i godnego zaufania. Zwłaszcza jeżeli się go przekona, że nie będzie w stanie nic ukryć przed nami ani nigdzie się schować.**

**Nie zrozum mnie źle. Nie jesteśmy potworami, chociaż czasami musimy być bezlitośni. Naszym celem jest przecież przywrócenie świata na ścieżkę wskazaną przez Boga. – Pochylił się nad biurkiem. – I przywrócimy. – Potem dodał niemal szeptem: – Podróżowałem tysiąc lat**

**w przyszłość i widziałem... Czy jesteście z nami?**

## **Rozdział 8**

**Kilka następnych miesięcy upłynęło mi wspaniale – wyznał Havig. –**

**Chociaż starałem się zachować ostrożność. Unikałem na przykład**

**podawania zbyt dokładnych informacji na swój temat. Tak samo**

**wmówiłem im, że chronolog jest aparatem do pomiarów promieniowania**

**i natężenia fal radiowych, zaprojektowanym do wyszukiwania**

**ewentualnej działalności innych podróżników w czasie. Wallis stwierdził,**

**że wątpi, by to się do czegoś przydało, i przestał się nim interesować.**

**Mogłem więc spokojnie go ukryć. Gdyby mieszkańcy Orlego Gniazda byli**

**takimi ludźmi, jakimi miałem nadzieję, że są, z pewnością by mnie**

**zrozumieli, gdybym im podarował tak przydatne urządzenie po jakimś**

**czasie.**

**– Co wzbudziło twoje podejrzenia? – spytałem.**

**– Och... – skrzywił się nieco – z początku drobiazgi. Na przykład styl**

**bycia Wallisa. Mimo że nie zdążyłem go dobrze poznać, bo wkrótce**

**przeniósł się o rok do przodu. W ten sposób przedłużał i umacniał swoją**

**władzę.**

**– O ile podwładni nie zaczęli spiskować w czasie jego**

**nieobecności – zauważyłem.**

**– Nie w tym przypadku. Dobrze wiedział, kto jest lojalny. I to**

**zarówno w odniesieniu do podróżników w czasie, jak i zwykłych ludzi.**

**Zresztą zawsze podróżował w czasie z grupą – najbardziej zaufanych, a w**

**każdej epoce kontrolowanej przez niego jeden z nich zostawał jako szef**

lokalny. Poza tym jak niby można zorganizować konspirację pośród załęcznionych chłopów i robotników, aroganckich żołnierzy i urzędników i samych podróżników w czasie? Wszyscy, których spotkałem z fortecy i w jej okolicach, stanowili mieszankę poglądów, języków i upodobań. Prawie wszyscy pochodzili z zachodniej Europy z różnych epok, ale w większości od końca średniowiecza wzwyż.

– Ciekawe dlaczego – powiedziałem. – Przecież w innych epokach proporcje powinny być podobne.

– Owszem. Wallis przecież mówił, że chce rozszerzyć poszukiwania.

Problemy były jednak zbyt wielkie, żeby można to było zrobić od razu.

Same podróże w czasie przez tyle wieków stanowią problem. Do tego

dochodzą problemy językowe, bariery kulturowe. Wyprawa do

Jerozolimy stanowiła pierwszy eksperyment w tym kierunku i zakończyła się praktycznie niczym. Nie licząc mnie, oczywiście.

Wróćmy do głównego problemu. W Orlim Gnieździe językiem

oficjalnym był angielski, którego wszyscy musieli się nauczyć. Mimo to z

niektórymi nigdy nie udało mi się normalnie porozmawiać. Oprócz

akcentu różniliśmy się mentalnością. Z mojego punktu widzenia

większość z nich była wyrzutkami społecznymi i bandytami. Z ich punktu

widzenia byłem zbyt młodym i mięczakiem, żeby być

użytecznym. To, że żyli razem, w niczym nie zmieniło ich mentalności i

uprzedzeń. Wciąż pałali wrodzoną wrogością do Anglii, Żydów,

Szwabów, Makaroniarzy. Jak można takiej zbieraninie zaszczepić

wspólny cel?

**I dlaczego niby mieliby się buntować? Zaledwie kilkoro miało jakiegokolwiek ideały. To rzadkość każdej epoce. Wszyscy żyli (żyliśmy) jak królowie. Najlepsze jedzenie i napoje, dobra luksusowe ściągane z różnych epok, służący na każde skinienie, partnerzy do łóżka, dowolne urlopy w dawnych czasach (byle z zachowaniem minimum ostrożności) i kieszenie pełne pieniędzy. Nie pracowaliśmy ciężko. Ci, którym to było potrzebne, otrzymywali trening techniczny zgodny z ich talentami.**

**Najbardziej wysportowani byli szkoleni jak komandos. Reszta pracowała jako urzędnicy, gońcy czasowi, kierownicy lub badacze, jeżeli mieli takie zamiłowania. A praca była fascynująca. Miałem się o tym przekonać, jak tylko moi szefowie uznali, że skończyłem trening. Sam pomyśl:**

**zwiadowca w czasie! Cóż. Właściwie nie mogłem narzekać. Na początku.**

**– Raczej nie uważałeś swoich kolegów za mile towarzystwo – zauważyłem.**

**– Z kilkoma się spotykałem – odparł. – Sam Wallis był bardzo ciekawym człowiekiem i dominował nad wszystkimi. Na swój sposób potrafił oczarować każdego słuchacza dzięki swoim licznym przygodom. Jego najbardziej zaufany pomocnik, Austin Caldwell, już siwy, ale dalej twardy jak stal, uwielbiał strzelać i jeździć konno. Potrafił wypić morze whiskey. Też znał wiele historii i potrafił je opowiadać z większym poczuciem humoru. W ogóle był przyjacielski i bardzo się starał, żeby mi ułatwić zaaklimatyzowanie w nowym środowisku. Był jeszcze ten magik Reuel Orrick, cudowny szelma. Młody Jerry Jennings, który wciąż szukał nowego marzenia po tym, jak jego chłopięce sny uległy zniszczeniu w**

okopach w 1918 roku. Było również kilku innych. No i Leoncja. –

Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Zwłaszcza Leoncja.

\*

Wybrali się na wycieczkę wkrótce po jego przybyciu. Ledwo zdążył się wprowadzić do dwupokojowego apartamentu w fortecy i jeszcze nie zdolał załatwić sobie żadnych osobistych rzeczy. Ona podarowała mu skórę niedźwiedzia na podłogę i butelkę doskonałej whiskey z przeszłości. Nie był pewien, czy zrobiła to ze zwykłej uprzejmości, czy z innego powodu. Jej zachowanie było dla niego bardziej niezrozumiałe niż jej dziwny akcent. Namiętny pocałunek zaraz po przybyciu, a potem zaledwie zdawkowa grzeczność. Codziennie siedziała z kim innym przy posiłkach. Z początku Havig miał za wiele problemów na głowie, żeby się nad tym zastanawiać. Ponieważ nie podobał mu się zwyczaj zmuszania kobiet do współżycia, zaproszenie na wspólną przejażdżkę przyjął z radością. Oboje mieli akurat dzień wolny od zajęć.

Okoliczne bandy zostały już dawno wybite, a konne patrole pilnowały, żeby się nie pojawiły ponownie. Można było wyjechać bez eskorty. Oboje mieli tylko pistolety jako oznakę swojego statusu, bo nikomu innemu nie było wolno posiadać broni palnej.

Leoncja wybrała drogę. Najpierw jechali kilka kilometrów przez senne pola uprawne, skąpane w porannym słońcu. Potem przez niewielki las, który jednak przypominał Havigowi Las Morgana z rodzinnych stron. Pachniało świeżym sianem, liśćmi i mchem. Było ciepło, ale wiał dość chłodny wiatr, sprawiając, że chwilami dostawał gęsiej skórki, a liście w

lesie migotały, jakby ktoś puszczał lusterkami tysiące zajęczków.

Wiewiórki ganiały się po gałęziach. Podkowy uderzały przyduszonym stukotem w poszycie, a on kołysał się monotonicznie w rytmie końskiego stępa.

Przez całą drogę zadawała mu mnóstwo pytań. Chętnie jej odpowiadał, pilnując jednak, żeby nie przekroczyć pewnych granic szczerości, które sam sobie narzucił. Czegóż to nie opowie normalny mężczyzna pięknej kobiecie? Zwłaszcza jeżeli jest dla niej legendą. Początkowe kłopoty językowe zmniejszyły się, ponieważ kiedy nie była zdenerwowana potrafiła mówić po angielsku całkiem poprawnie, mimo że była tu zaledwie rok. Jego wyrobione ucho zaczęło się przyzwyczajać do jej dziwnego akcentu.

– Z Wielkich Lat! – wykrzyknęła, stając w strzemionach i dotykając jego ramienia, jej dłonie były pełne odcisków.

– Co chcesz powiedzieć? – spytał. – Z czasów tuż przed wojną?

– Taaak. Ludzie latali na Księżyc i do gwiazd.

Uświadomił sobie, że mimo swego wzrostu i siły była bardzo młoda.

Jej skośne oczy spoglądały na niego spod bujnych włosów spiętych tego dnia w dwa warkocze związane wstążkami.

I sami postanowiliśmy zostać własnymi katami, pomyślał. Nie miał jednak zamiaru psuć nastroju takimi stwierdzeniami.

– Ty chyba pochodzisz z bardziej spokojnej epoki – rzekł.

Skrzywiła się, ale zaraz spoważniała. Pochyliła się nieco w siodle.

– I tak, i nie.



– Słyszałem, że w stosunku do teraz pochodzisz z przyszłości, ale nie wiem nic więcej.

– Jakieś sto pięćdziesiąt lat – stwierdziła, kiwając głową. – Szczep Glaciar.

Dalej nie mogli już jechać i musieli iść pieszo, prowadząc konie za wodze. Ona szła pierwsza. On podziwiał jej kształty. Co jakiś czas odwracała się do niego i uśmiechała, zadając wciąż nowe pytania.

Udało mu się ustalić, że mieszkała gdzieś na terenach byłego Rezerwatu Glaciar na pograniczu dawnej Kanady i USA. Jej przodkowie prawdopodobnie uciekali przed naporem Mongów i znaleźli schronienie w górach. Stali się myśliwymi i traperami, handlowali futrami, minerałami, niewolnikami, by zdobyć żywność i wyroby rzemiosła.

Pewnie zajmowali się również rozbojem. Tworzyli luźną społeczność wielu klanów złączonych więzami rodzinnymi.

Z czasem jednak ich liczba wzrosła na tyle, że zaczęli tworzyć pierwsze struktury terytorialne, które Leoncja próbowała opisywać.

– Widzisz – tłumaczyła – ja pochodzę z klanu Ranyanów, którzy należą do grupy Wahornów. Klan to... grupa rodzin, którą łączą więzy krwi. Grupa to kilka klanów, które się spotykają cztery razy w roku na wezwanie szeryfa. Szeryf zabija cielaka na cześć Oktaja i innych bogów, których ludzie nazywają Oni. Potem wszyscy rozmawiają, klóć się, a czasem głosowaniem ustalają nowe prawo. Tylko dorośli. Mężczyźni i kobiety. Jest wesoło. Ludzie głównie się spotykają ze sobą, plotkują, żartują, zamieniają rolami, objadają, piją i popisują się... rozumiesz?

– Chyba tak – odparł Havig. Takie zjazdy rodzin były powszechne w prymitywnych społecznościach.

– W późniejszych czasach szeryf i ludzie, których zwołał, zbierali się na długie spotkania, chyba co roku, na kongresie. Kierował tym Jinral, pierworodny z linii Injuna Samala, z klanu Roverów. Był święty. Oni się spotykali nad jeziorem Pendoray. To święta ziemia. Inaczej tyle klanów to pewna walka. Dużo krwi.

Havig przytaknął kiwnięciem głowy. Dzikusy stawały się bardziej cywilizowane, w miarę jak zaczynały dostrzegać zalety porządku i prawa. Ten Injun Samal musiał niewątpliwie na początku porządnie zastraszyć wszystkich wodzów, żeby ich potem zebrać razem.

– Sprawy miały się dobrze – mówiła Leoncja. – Mongowie odeszli i coraz częściej handlowaliśmy z ludźmi z nizin. Oni są silni i bogaci. A my coraz bardziej ich naśladowaliśmy. – Westchnęła. – W sto lat po moim odejściu dowiedziałam się, że cały szczep Glacier wstąpił do Unii Północy. Nie chcę tam wracać.

– Chyba nie miałaś lekkiego życia.

– Ooo, mogło być gorzej. Takie tam gadanie. Miałam przecież całe życie przed sobą... Dojechaliśmy.

Przywiązali konie na skraju niewielkiej polany niedaleko przepływającego strumyka. Dookoła nich stały majestatyczne drzewa, trawa była gęsta i miękka, przetykana rosnącymi dziko kwiatami. Leoncja rozpakowała przygotowane w kuchni jedzenie, na które składały się olbrzymie kanapki i mnóstwo owoców. Havig wątpił, żeby byli w stanie to

wszystko zjeść. I tak najpierw chcieli zaspokoić pragnienie i trochę odpocząć. Oboje oparli się o pień najbliższego drzewa i nalali wina w srebrne kubki.

– Mów dalej – poprosił. – Chcę usłyszeć dalszy ciąg.

– To nic takiego w porównaniu z twoją historią, Jack – odparła.

– Proszę. To interesujące.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Opowiedziała mu wszystko prostymi słowami bez ubarwień. Jej opowieść była dość mroczna.

Szczep Glaciar w zasadzie bronił swoich. Od początku panowało w nim równouprawnienie. Albo zostało przywrócone do życia, ponieważ kobiety musiały być gotowe w każdej chwili do walki na równi z mężczyznami. Istniała oczywiście pewna specjalizacja. Mężczyźni wykonywali najcięższe prace, wymagające siły fizycznej, a kobiety te, które wymagały cierpliwości. Wszystkie ofiary bogom składali mężczyźni.

Domeną kobiet były czary i leczenie, jeśli miały odpowiedni dar.

– Musiały umieć przepowiadać przyszłość, tłumaczyć sny, pisać i czytać, leczyć niektóre choroby. Wypędzały czarne duchy z ciała z powrotem, tam gdzie było ich miejsce. Musiały... mhm... znać sposoby na iluzje... oszukać oczy i umysły... wiesz, o czym mówię?

Jej dola była niestety gorsza, ponieważ jej starsza „ja” nie zjawiała się w porę, żeby ją nauczyć dotrzymania tajemnicy.

Ojciec Leoncji był (a może będzie) Łowcą Wilków, znanym wojownikiem. Zginął, broniąc rodziny przed atakiem klanu Dafy. Atak miał oficjalnie na celu zabicie „tego czegoś”, co mu się urodziło, a tak

**naprawdę stanowił ukoronowanie długiej waśni rodowej. Matka Leoncji,**

**Onda, zdołała uciec z dziećmi i znalazła schronienie w rodzinie**

**Donnalów. Po kilku latach wojen udało im się zebrać wystarczające siły i**

**odzyskać podbite ziemie. Leoncja służyła im jako zwiadowca, który umiał**

**podróżować w czasie. Tym sposobem została czarownikiem.**

**Przyjaciele traktowali ją początkowo z szacunkiem i bez obawy.**

**Uczyła się wszystkiego jak inni młodzi i uprawiała razem z nimi te same**

**dyscypliny sportowe. Jej zdolności powodowały narastającą zawiść**

**otoczenia. Matka nauczyła ją nie reagować na takie zachowania, ale i tak**

**było jej trudno. Tym bardziej że wiedziała, co czeka jej najbliższych. Nie**

**zmienia to faktu, że jej klan, mając takiego czarodzieja, rósł w potęgę.**

**Leoncja zaś stawała się coraz bardziej samotna. Jej bracia i siostry**

**założyli rodziny i poszli na swoje, a ona mieszkała dalej z matką w starej**

**chacie. Obie brały sobie kochanków, bo taki był zwyczaj. Żaden jednak**

**nigdy się jej nie oświadczył, ponieważ była zbyt inna. Stopniowo nawet**

**kochankowie zaczęli jej unikać. Dawni przyjaciele z dzieciństwa**

**kontaktowali się z nią, ale zawsze oczekiwali pomocy, a nie uczucia.**

**Tęskniła za towarzystwem ludzi, więc brała udział w walkach razem z**

**wojownikami. Wtedy rodziny zabitych zaczęły plotkować, że nie**

**korzystała ze swoich mocy, żeby ocalić poległych. Uważali, że taki wielki**

**czarownik, jak ona, powinien wszystkich ochronić przed śmiercią. Potem**

**umarła jej matka.**

**Wkrótce pojawili się wysłannicy z Orlego Gniazda, do których**

**dotarły plotki na jej temat. Przywitała ich z radością i łzami w oczach.**

**Szczep Glacier nigdy już potem jej nie zobaczył.**

**– Mój Boże! – Havig otoczył ją ramieniem. – To było okrutne z ich strony.**

**– Za to potem miałam mnóstwo zabawy. Polowania, uczty, pieśni i żarty... – Dopila wino do dna. – Nieźle śpiewam. Chcesz posłuchać? – Jasne.**

**Poderwała się i pobiegła do koni. Wyjęła z juków jakąś miniaturową gitarę i za chwilę znowu siedziała obok niego.**

**– Dobrze gram na flecie, ale wtedy nie można śpiewać. To jest pieśń, którą sama ułożyłam. Kiedyś dużo komponowałam. Jak byłam sama.**

**Ku jego zdumieniu śpiewała doskonale. „Kopyta stukają rytmicznie o grunt, słoneczne pioruny na lancach nam lśnią”... To, co Havig potrafił wychwycić, bardzo mu się spodobało.**

**– O rany! – mruknął, kiedy skończyła – Co jeszcze potrafisz?**

**– Umiem czytać i pisać... trochę. Gram w szachy. Reguły były trochę inne u nas niż tutaj, ale i tak większość partii wygrywam. Austin nauczył mnie grać w pokera. Sporo wygrałam. No i żartuję.**

**– Taaak?**

**– Myślałam, że pożartujemy po lunchu, Jack, moje słonko – powiedziała, wtulając się w niego. – Ale dlaczego by nie pożartować i przed, i po lunchu? Cooo?**

**Odkrył z wielką radością jeszcze jedno słowo, które wraz z upływem stuleci nabrało całkowicie innego znaczenia.**

– Taa... Zamieszkaliśmy razem – stwierdził z lekkim rozmarzeniem.

– Trwało to dopóki nie odszedłem. Kilka miesięcy. Przez większość czasu było nam ze sobą dobrze. Naprawdę ją lubilem.

– Ale nie kochałeś? – uściśliłem.

– Nie, chyba nie. Zresztą, co to jest miłość? Ma tyle znaczeń, odcieni i zabarwień, że... Nieważne. – Zamyślił się, spoglądając w ciemne okno. –

Niekiedy się kłóciliśmy, dochodziło nawet do awantur. Czasem nawet potrafiła mnie uderzyć i potem wściekała się, że nie chcę jej oddać. Była dumną kobietą. Potem się godziliśmy w równie gwałtowny sposób.

Leoncja była niesamowita. – Potarł zaczerwienione z niedospania oczy. –

Niezbyt pasowała do mojego temperamentu. No i nie ukrywam, że byłem zazdrosny, co doprowadziło do wielu kłopotów. Spała z mnóstwem agentów i zwykłych ludzi, zanim się pojawiłem. Nie licząc facetów z jej szczepu. Robiła to przez cały czas. Jeżeli szczególnie polubiła jakiegoś mężczyznę, w ten sposób dawała mu odczuć, że jest jej bliski. Ja mogłem robić oczywiście to samo z innymi kobietami, ale... nie miałem na to ochoty.

– Ciekawe, dlaczego nie zaszła w ciążę z innym agentem.

– Kiedy dowiedziała się o wszystkim w Orlim Gnieździe, poprosiła, żeby ją zabrali na wycieczkę w czasy przed wojną. Po części chciała je poznać podobnie jak ja Grecję Peryklesa, a po części dlatego, że poddała się odwracalnej sterylizacji. Twierdziła, że chce mieć dzieci, kiedy będzie do tego gotowa. Żony w Glacier podobno są cnotliwe. Ona jednak nie była żoną i zamierzała z tego korzystać, podobnie jak korzystała z wszelkich

**uciech życia.**

**– Skoro jednak była przede wszystkim z tobą, to chyba coś was łączyło.**

**– Owszem. Staralem się jakoś ci powiedzieć, co mnie przy niej trzymało. A co do Leoncji... nie można być niczego pewnym. Przecież tak naprawdę znaleźliśmy się stosunkowo krótko. I który mężczyzna może powiedzieć, że dobrze zna swoją kobietę? Ją podniecała moja wiedza i intelekt. Mówiąc nieskromnie, miałem najwyższe IQ w całym Orlim Gnieździe.**

**Przeciwnieństwa musiały się przyciągać. Mawiała, że jestem słodki i delikatny. I chyba tak myślała, bo w czasie ćwiczeń i prób dawałem sobie nieźle radę. Tylko że pochodziłem z epoki, w której ludzie lepiej się odżywiali niż większość z pozostałych agentów. Z tym, że ja nie potrafiłem wspinać się po górach ani chodzić na zwiady w lesie.**

**Ogólnie mówiąc – na twarzy znowu przemknął mu jakiś cień – to był drugi najlepszy okres w moim życiu. I za to zawsze będę jej wdzięczny. Oraz za to, co było potem.**

**\***

**Podjeżenia narastały w Havigu powoli. Starał się je zwalczać.**

**Jednak różne kawałeczki zaczynały się układać w pewność, że czegoś mu nie mówią. Starannie omijano pewne tematy. Niekiedy widział zażenowanie na twarzy Austina Caldwell. Czasami Coenraad van Leuven ostro mówił: „Nie mogę powiedzieć, co mi przekazano”. Reuel Orrick udawał pijanego w niektórych momentach. Natomiast ojciec Diego,**

**inkwizytor, mawiał wtedy: „Jeżeli Bóg zechce, wszystko ci kiedyś wyjawię, mój synu”. Pozostali z reguły wulgarnie kazali mu się odchrzanić.**

**Nie on jeden podlegał jakiejś formie izolowania. Inni, którzy byli w podobnej sytuacji, mieli to gdzieś. Albo z ostrożności, albo naprawdę było im wszystko jedno. Jedynie młody Jerry Jennings wykrzyknął:**

**– Na Boga, masz rację!**

**Podobnie zachowała się Leoncja, chociaż zrobiła to bardziej rozważnie. Po chwili zastanowienia powiedziała:**

**– Cóż, może nie mogą wszystkim nowo przybyłym opowiedzieć wszystkiego w tak krótkim czasie?**

**– Coenraad przybył tu również niedawno – odparł. – Później niż ty.**

**To rozbudziło jej ciekawość. Miała własne sposoby zbierania informacji. Nie takie jak można podejrzewać. Dorównywała mężczyznom prawie we wszystkim. Potrafiła ich upić na umór, zachowując całkowitą jasność umysłu. Trzeźwych umiała usidlić sprytnymi pytaniami. W końcu nie darmo była szamanką. I dobijała Haviga, szepcząc mu nocami o swoich nielegalnych wyprawach. Przenosiła się do zabronionych epok trwania Orlego Gniazda, żeby myszkować i podsłuchiwać.**

**– O ile potrafię to zrozumieć, najdroższy – podsumowała – Wallis i inni obawiają się po prostu, że możesz wściec się na wieść, co on i jego ludzie robią w niektórych epokach i miejscach.**

**– Miałem podobne podejrzenia – stwierdził Havig. – Widziałem, jak wyglądają różne epoki i jakich rodzą ludzi. Podróżnicy w czasie, którzy trafiali do Orlego Gniazda, zawsze wcześniej wyróżniali się we własnych**



czasach okrucieństwem i brakiem umiaru. Po rekrutacji nic praktycznie się nie zmieniło.

– Wydaje mi się, że wszyscy dostali rozkazy, żeby wprowadzać cię w te szczegóły bardzo ostrożnie. Mnie też to objęło, bo jestem z tobą. –

Pocałowała go. – Wszystko w porządku, kochanie.

– Czyli popierasz rabunki i...

– Przestań. Musimy pogodzić się z faktami. Może są trochę twardzi.

W twoich czasach było inaczej?

Ze wstydem przypomniał sobie okrucieństwa własnej epoki... Nigdy nie wypierał się własnego narodu. A zresztą czy istniała w ogóle jakaś epoka idealna? Po prostu marzył o innym świecie.

(Może Dania? Duńczycy pochodzili od wikingów, ale to było bardzo dawno. Chociaż oni również zachowali podejrzane milczenie na wieść o wydarzeniach na Wyspach Dziewiczych w 1848 roku czy całkiem niedawno na Grenlandii. Od 1950 roku siedzieli w cieniu Szwedów, którzy nie tylko handlowali z Hitlerem, ale jeszcze zapewnili mu transport wojsk do Norwegii. A przecież te kraje zrobiły wiele dobrego dla całego świata).

– Poza tym – stwierdziła niewinnie Leoncja – słabi zawsze przegrywają, chyba że mają szczęście lub znajdą kogoś silnego do obrony.

A tak naprawdę to wszyscy jesteśmy słabi. – Zamyśliła się na moment. –

Ja także. Nigdy nie zabijałam bez powodu. Prawie zawsze robiłam to, żeby zdobyć pożywienie. Ale i tak umrę. Też jestem częścią tej gry. Ty również, kochany. Musimy grać, tak jak można, a nie tak, jak chcemy.

**Długo w nocy rozważał jej słowa.**

**– Musiałem się jednak sam przekonać – powiedział – czy to złoto było splamione krwią.**

**– Albo czy cel naprawdę uświęcał środki? – dorzuciłem. – Właśnie.**

**Mówienie, że nigdy tak nie jest, to zwykła hipokryzja. W prawdziwym świecie zawsze dokonujemy wyboru mniejszego zła. Mówię jak stary**

**lekarz, prawda? Muszę przyznać, że sam musiałem robić czasami**

**zastrzyki kończące czyjeś cierpienia. Niekiedy wybór bywa jeszcze gorszy.**

**Mów dalej.**

**– Obiecano mi sprawdzanie epoki Mauraiów. Żebym mógł się**

**uspokoić. W najlepszym wypadku można było powiedzieć, że był to okres**

**przejściowy, choć ta epoka w ich cywilizacji zrodziła tyranów, którzy**

**hamowali wszelki postęp. Musiałem się właściwie zgodzić, że kiedy ich**

**hegemonia zacznie się chwiać, może dzięki naszym działaniom, to**

**powinniśmy się ujawnić i przejąć władzę, żeby ludzkość ponownie mogła**

**wkroczyć na drogę postępu.**

**– Ale chyba nie tak otwarcie? – zdziwiłem się. – Nagle pojawienie**

**się wielu podróżników w czasie mogło doprowadzić do zamieszek.**

**– Jasne. Mieliśmy spędzić setki lat na budowaniu naszych struktur**

**w całkowitej tajemnicy. Potem powinniśmy być gotowi do działania pod**

**przebraniem. Nie było tylko jasne, jak to przebranie miało wyglądać.**

**Natomiast było jasne, że przepływ informacji pozostał niepełny.**

**Toczyliśmy długie dyskusje filozoficzne na temat wolnej woli. Ojciec**

**Diego w tym celował. Uważałem, że jego logika cuchnie inkwizycją, ale**

wolałem siedzieć cicho.

– A Leoncja? Wtedy już podróżowała do przyszłości?

– Tak. Dlatego w zasadzie zgadzała się z Wallisem, mimo chwilowych wątpliwości. Opowiadała mi o świecie, w którym dokonał się wielki postęp. I to pokojowo, chociaż trwało to wiele stuleci. Nie była jednak pewna, czy to był rzeczywiście postęp. Ten świat miał wielką flotę statków żaglowych i napędzanych silnikami elektrycznymi sterowców. Miał farmy oceaniczne, ogniwa słoneczne, stosował oczyszczanie ścieków za pomocą bakterii. Nastąpił wielki rozwój nauk ścisłych i humanistycznych, zwłaszcza biologii... – Przerwał na moment.

– Nie mów mi, że ta twoja walkiria używała takich zwrotów – starałem się trochę go rozluźnić.

– Nie. Jasne, że nie – odparł, dalej poważny. – Po prostu wybiegam w przyszłość i opowiadam to, co sam widziałem i co opowiadali mi inni. Jej wrażenia były bardziej ogólnej natury. Chociaż miała szczególny dar obserwacji, właściwy tylko myśliwym i szamanom. Potrafiła bardzo trafnie odkryć podstawowe zależności.

– Które polegały na...

– Ludzkość nie zdobyła żadnych nowych szczytów nauki i techniki.

Po prostu dostali się na pewien poziom i kurczowo się go trzymali. Na przykład biotechnologia zupełnie zastygła w miejscu. Tylko zaczęli ją stosować na szerszą skalę.

– Jak to wygląda? – spytałem. – Możesz coś powiedzieć?

– Niewiele – odparł szorstko. – Nie miałem czasu na zbadanie

**szczegółów. Nie bardzo mi wierzysz, prawda? A jednak tak było.**

**Pamiętaj, że jestem ścigany.**

**– Czyli wycieczka w przyszłość nie zmieniła twojej podejrzliwości w stosunku do Wallisa? – stwierdziłem w miarę spokojnym tonem. –**

**Dlaczego?**

**– Jestem tworem tej epoki – powiedział, przeczesując sobie włosy dłonią. – Sam pomyśl, doktorze. Nawet inteligentni ludzie, jak Bertrand Russell czy Henry Wallace, popełniali głupie pomyłki. Obaj przecież zwiedzali stalinowską Rosję i obaj stwierdzili, że wszystkie oskarżenia były przesadzone i zostały wywołane czynnikami zewnętrznymi, a dobrotliwy rząd radziecki dba o wszystkich. Co gorsza, jest bardzo prawdopodobne, że towarzyszący im przewodnicy sami głęboko w to wierzyli i szczerze pragnęli ochronić cennych gości przed wszelkimi dwuznacznymi sytuacjami. – Uśmiechnął się nieprzyjemnie. – A może po prostu życie zmusiło mnie do tego, że bym nikomu nie wierzył.**

**– Chcesz powiedzieć, że zastanawiasz się, czy świat naprawdę mógłby skorzystać na panowaniu Orlego Gniazda? Czy raczej że Mauraiowie byli specjalnie oczerniani, a tobie pokazywano tylko wypaczenia, które w rzeczywistości były wyjątkami, a nie regułą?**

**– To nie jest takie jednoznaczne. Wszystko zależy od interpretacji... weźmy pierwszy z brzegu przykład.**

**\***

**Nie każdemu rekrutowi zapewniano tak pełne wprowadzenie jak Havigowi. Najwyraźniej w opinii Wallisa miał potencjalnie wielką**

wartość dla sprawy, ale wymagał szczególnie starannych wyjaśnień.

Dzięki skomplikowanym podrójom w przyszłość i w przeszłość udało mu się skopiować pewne supertajne dokumenty. Ich odczytanie było możliwe tylko dzięki jego szczególnym zdolnościom językowym oraz temu, że zniekształcony angielski, będący w użyciu w federacji, uległ większym zmianom w wymowie niż pisowni. Jeden z nich opisywał, jak naukowcy z Hinduraju opracowali w tajemnicy generator oparty na syntezie wodorowej, który mógł rozwiązać wszystkie problemy energetyczne federacji. Mauraiowie, również w tajemnicy, doprowadzili do zniszczenia prototypu i utrzymania opinii publicznej w niewiedzy na ten temat.

Ich motywem było przekonanie, że taki generator może zagrozić pokojowi. Gorzej nawet, bo uważali, że może on doprowadzić do odrodzenia starej kultury opartej na wykorzystaniu maszyn, co doprowadziłoby do zniszczenia całej planety.

Podążając dalej w przyszłość federacji, Havig widział olbrzymie, bezgłośnie pracujące maszyny i fabryki... oraz ludzi, zwierzęta, trawę, gwiazdy i krystalicznie czyste niebo...

\*

– Trudno powiedzieć, czy socjolodzy i władcy federacji szczerze wierzyli w to, co pisali w tajnych raportach – stwierdził ze smutkiem. – Może po prostu chcieli zachować władzę? Podobnie trudno ocenić, czy ta odległa przyszłość jest dobra, czy zła. Może to jakaś forma dobrze zarządzanej dyktatury? A może coś innego? Skąd mam wiedzieć?

**– A co mówili twoi przewodnicy?**

**– Mieli te same wątpliwości. Kierował nimi Austin Caldwell.**

**Nawiasem mówiąc, to uczciwy człowiek. Twardy i bezlitosny jak Indianie, którzy kiedyś zerwali mu skalp, ale uczciwy.**

**– A co on mówił?**

**– Żebym przestał szukać dziury w całym i zaufał Wodzowi, który do tej pory odwaliał kawał doskonalej roboty, prawda? Wódz osobiście to badał i rozważał wszelkie wątpliwości. I obiecał podzielić się wszystkimi wnioskami z tych przemyśleń, kiedy będzie już do tego gotowy i poprowadzi nas wybraną ścieżką. Austin przypominał mi, że cała ich wiedza wymagała wielu lat długich i mozolnych wypraw w czasie. Setki razy musieli wracać w przeszłość, żeby zdobyć środek transportu i przenieść się w inny rejon, by ponownie udać się w przyszłość. Potem dodał, że właśnie skończyły się środki i czas, jaki mogli poświęcić na przekonywanie mnie do spraw dla nich oczywistych. A skoro nie potrafię się podporządkować ich dyscyplinie i zasadom, to mam wolną drogę. Mogę wracać tam, skąd przyszedłem. Pod warunkiem że nigdy więcej nie będę się plątał wokół Orlego Gniazda. Co miałem zrobić? Przeprosiłem wszystkich i wróciłem z nimi.**

## **Rozdział 9**

**Po powrocie przez kilka dni nie miał nic do roboty. Wykorzystał ten czas na odzyskanie dobrego humoru w towarzystwie Leoncji. Nawet nie zauważył, kiedy przyszła zima i nastał czas zabaw na śniegu. Potem go poproszono, żeby przeczytał raz jeszcze historię przyszłości stworzoną**

przez Wallisa i porównał ją z tym, co sam widział. Mógł o tym dyskutować z Wacławem Krasickim, który spośród mieszkańców Orlego Gniazda miał najlepsze przygotowanie naukowe.

Wódz sam przyznawał, że nie jest wszytkowiedzący, ale widział najwięcej z nich wszystkich. Ponieważ był Wodzem, mógł w pełni wykorzystać ograniczone środki transportu, przenosić się w różne miejsca na Ziemi i stamtąd podróżować w czasie. Jego agenci nie mieli takich możliwości. Przeprowadził mnóstwo wypraw i sporządził notatki z mnóstwa rozmów w różnych epokach.

Wiedział, że Orle Gniazdo istniało i było pod jego władzą przez następne dwa wieki. Spotkał się ze swoim „ja” z przyszłości i dowiedział się, że faza pierwsza planu zakończyła się sukcesem. W tym samym czasie trzeba było opuścić Orle Gniazdo. Założki nowej cywilizacji zaczęły się rozprzestrzeniać po całej Ameryce i Mauraiowie byli wszędzie. Forteca nie miała już racji bytu ani szans na pozostanie w ukryciu.

Nowa baza powstała (powstanie) w dalszej przyszłości. Odwiedził ją i stwierdził, że wyglądała całkiem inaczej niż ich forteca. Zastosowano nowe materiały, prostą architekturę i większość pomieszczeń umieszczono pod ziemią. Wstawiono tam potężne maszyny, elektrownię termojądrową i mnóstwo automatyki.

Była to epoka powstań przeciw dominacji Mauraiów, którzy ostatecznie nie zdołali przekonać do swojej filozofii wszystkich mieszkańców Ziemi. Wątpliwości i niezadowolenie we własnych szeregach osłabiło ich politykę zagraniczną. W końcu jedno ze

zbuntowanych państw ponownie zbudowało generator oparty o syntezę wodoru i zupełnie się z tym nie kryło. Stare alianse i traktaty zaczęły się rozpadać, a nowe rodziły się w wielkim zamieszaniu.

„Musimy zawsze pamiętać o cierpliwości, śmiałości i ruchliwości – pisał Wallis. – Będziemy mieli w przyszłości większe środki niż obecnie, a także o wiele większe umiejętności. Myślę tu o podróżach w celu zwiększenia liczby naszych żołnierzy, aż osiągniemy przewagę liczebną. Ale w żadnym wypadku nie należy się łudzić, że będziemy w stanie zapanować nad światem szybko. Cywilizacja, która ma przetrwać tysiąclecia, musi być budowana powoli”.

Czy tak miała się skończyć faza druga: że wysłannicy Orlego Gniazda staną się niezniszczalnymi misjonarzami nowej wiary? Wallis w to wierzył. Wierzył także, że faza trzecia będzie polegała na pokojowym przemodelowaniu tego nowego społeczeństwa i stworzeniu całkowicie nowej rasy ludzi. Udając się w bardzo odległą przyszłość, widział cuda, których nie potrafił opisać. W tej części jego książki opisy stawały się szalenie mgliste, trudne do zrozumienia. Zamierzał kontynuować te badania, ale coraz bardziej korzystał z pośredników. Przyznawał, że jego rola kończy się na fazie pierwszej. Jego „ja” z tej epoki było już w bardzo podszłym wieku.

„Musimy się zadowolić rolą boskich wysłanników w dziele odkupienia – pisał. – Chociaż każdemu wolno mieć marzenia. Może nauka pozwoli na pokonanie starości i starcy znów staną się młodzi?

Może uda się nawet stworzyć nieśmiertelne ciała? A wtedy niewątpliwie



podróże w czasie przestaną być tajemnicą i będą powszechne. Może wysłannicy owej dalekiej przyszłości pojawią się w naszej epoce, żeby nam podziękować za swoje stworzenie?".

Havig zasępił się jeszcze bardziej. Wiedział, do czego może doprowadzić zaślepienie człowieka ideologią. Ale potem zaczął się dalej zastanawiać i pomyślał: W tym wywodzie jest miejsce na dużą dowolność. Możemy przecież zostać bardziej nauczycielami niż władcami. W końcu postanowił: Pomyszkuję tu jeszcze trochę. Mogę mu służyć przez jakiś czas albo moje życie i dar pójdą całkowicie na marne.

\*

Wezwał go do siebie Krasicki. Było bardzo mroźno. Słońce migotało przez sople lodu zwisające z wieżyczek. Havig drżał nieco z zimna, kiedy szedł przez dziedziniec.

Krasicki siedział w swoim spartańsko urządzonym biurze w pełnym umundurowaniu.

– Siadaj – rzekł. – Czy czujesz się już na siłach do pracy? Havig poczuł ssanie w żołądku.

– Tak. Raczej tak.

– Przyglądałem ci się – stwierdził Krasicki, wertując jakieś papiery.

– Zastanawiałem się, w jaki sposób możemy wykorzystać twoje umiejętności. Tak, żebyś jak najmniej ryzykował. Masz spore doświadczenie w podróżach w czasie, co samo w sobie już jest cenne.

Nigdy jednak nie pracowałeś dla nas. – Uśmiechnął się z przekąsem. – Pomyślałem, że możemy skorzystać z twojego wykształcenia.

**Havigowi udało się zachować nieprzeniknioną twarz.**

**– Musimy rozwijać naszą bazę rekrutacyjną – kontynuował**

**Krasicki. – Nieźle znasz grekę a zwłaszcza koine. Mówiłeś, że odwiedzałeś nawet Konstantynopol za czasów Bizancjum. Uznaliśmy, że jest to doskonała baza wypadowa do poszukiwań w całym średniowieczu.**

**– Rewelacja – wyrwało się Havigowi w podnieceniu. – To centrum ówczesnej cywilizacji. Można się ustawić jako kupiec i mieć kontakty z...**

**– Spokojnie – Krasicki podniósł rękę, powstrzymując jego dalszą wypowiedź. – Na razie nie mamy takich środków. Może później. Dzisiaj brakuje nam ludzi do takich przedsięwzięć. Pamiętaj, że musimy zakończyć fazę pierwszą do określonej daty. Tym razem musimy się zdecydować na szybszą i bardziej skuteczną metodę działania.**

**– Czyli?**

**– Ponieważ wtedy używano monet, które są ciężkie i trudne w transporcie przez czas, musimy wszystko zdobyć na miejscu. I to szybko.**

**– Chyba nie mówisz o kradzieżach? – oburzył się Havig.**

**– Nie. Oczywiście, że nie. – Krasicki z politowaniem pokręcił głową.**

**– Pomyśl trochę. Napaść na jakieś miasto, wystarczająco duże, żeby to się opłaciło, jest zbyt niebezpieczne. To może się dostać do ksiązek historycznych i zniszczyć nasz kamuflaż. Nie mówiąc już o tym, że to jest niebezpieczne także dla nas. Nie mamy dość ludzi i wystarczającej ilości ciężkiej broni. A bizantyjska armia była potężna, liczna i bardzo zdyscyplinowana. Nie proponuję takiego szaleństwa.**

**– Więc co?**

– Trzeba wykorzystać naturalny chaos i zabrać to, co i tak miało zostać ukradzione przez najeźdźców w 1204 roku. Konstantynopol został wtedy zdobyty przez wojska czwartej wyprawy krzyżowej, która splądrowała miasto do ostatniego kamienia. Czemu nie mielibyśmy w tym uczestniczyć? Wszystko i tak rozkradziono. A tak możemy niektórych uratować od śmierci i gwałtu, i zapewnić im życie gdzie indziej. Havig prawie udławił się ze śmiechu.

\*

Przygotował się, studiując szczegóły w bibliotece. Potem zamówił sobie stosowny strój oraz kilka dodatków i wyruszył w drogę. Samolot dowiózł go do ruin Stambułu w dwudziestym pierwszym wieku i szybko wystartował w drogę powrotną, bo rejon ten wciąż jeszcze był skażony promieniowaniem. Ponieważ Havig nikomu jeszcze nie ujawnił swojego chronologu, musiał sam mozolnie liczyć dni i zatrzymywać się co jakiś czas, by ustalać daty metodą prób i błędów.

Leoncja była wściekła, że nie zabrał jej ze sobą. Nie miała jednak żadnego przygotowania do tak dalekiej wyprawy. Chociaż z pewnością byłaby wspaniałą towarzyszką. Z drugiej strony mogła zagrozić jego misji, ponieważ niewątpliwie zwracałaby na siebie uwagę. On zaś chciał uchodzić za pielgrzyma ze Skandynawii – katolika, ale i tak mniej nienawidzonego w tym mieście niż Wenecjanie, Francuzi czy Aragończycy. Wszyscy mieszkańcy zachodnich krajów basenu Morza Śródziemnego nienawidzili Konstantynopola. Lepiej by go przyjęto, gdyby uchodził za Rusina, bo stanowili liczną grupę i byli prawosławni,

lecz obawiał się jakieś wpadki religijnej.

Nie zatrzymał się w roku, w którym dokonano najazdu. Czasy były wtedy zbyt niespokojne i każdy obcy wzbudzał nieufność. Trudno byłoby spokojnie nawiązywać kontakty.

Krzyżowcy wkroczyli do

Konstantynopola po raz pierwszy w 1203 roku, po zastosowaniu blokady morskiej i osadzili na tronie swoją marionetkę. Trochę poczekali na zebranie daniny i udali się do Ziemi Świętej. Osadzony przez nich władca zorientował się, że jego skarbiec jest pusty, i zwlekał z wypłatą reszty sum. Napięcia pomiędzy Wschodnim Cesarstwem a Frankami nabrzmiały do potwornych rozmiarów. W styczniu 1204 roku bratanek obalonego cesarza Aleksy zebrał wystarczające siły, żeby zdobyć pałac i koronę. Przez trzy miesiące próbował odeprzeć krzyżowców, licząc na boską interwencję. Kiedy się przekonał, że nic z tego, uciekł z miasta, a krzyżowcy ponownie wkroczyli przez stojące otworem bramy. Wpadli w morderczy szal wywołany „perfidią Greków”, od razu rozpoczęli masakrę.

Havig zatrzymał się na początku wiosny 1195 roku, bo to była piękna pora i miał dość czasu, żeby przygotować poszukiwania. Zabrał ze sobą doskonale podrobione dokumenty, dzięki którym przedostał się przez

straże, oraz sztabki złota na zamianę na lokalne monety. Ulokował się w dobrej gospodzie i przystąpił do działania.

Jego poprzednia wizyta wypadła na 1050 rok. Tym razem wspaniałości architektury i różnorodność narodów przewijająca się przez miasto były równie imponujące, chociaż czuć było cień Rzymu gdzieś w tle.

\*

Dom i sklep złotnika Doukasa Manassesa wznosił się na wzgórzu niedaleko centrum miasta. Przy stromej, czystej i równo wybrukowanej ulicy stały zabudowania sąsiadów, zwrócone do niej ścianami bez okien. Z płaskiego dachu rozciągał się wspaniały widok na całe miasto – mury obronne, mnóstwo kopuł i wież kościołów. Wzdłuż wielkiej alei Mese aż po bramę Charyzjusza wznosiły się postumenty z pomnikami dawnej chwały, domy zakonne, muzea i biblioteki, w których zebrano prace tragików, jak Ajschylos, czy poetek, jak Safo (których nikt później już nie mógł przeczytać). Były place tętniące życiem, Hippodrom i wspaniały kompleks budowli cesarskiego pałacu. Podziwiać można było błyszczące morze z jednej strony i Złoty Róg z mnóstwem masztów kotwiczących tam statków, a w dali – bogate dzielnice podmiejskie i górujące nad nimi wzgórza.

Wszędzie falowały tłumy ludzi. Słysząc było turkot kół, stukot kopyt, gwar rozmów, pieśni, śmiechy, płacz, przekleństwa i modlitwy tworzące charakterystyczny szum wielkiego miasta. Wiatr niósł zapachy morza, dymu, żywności, zwierząt i ludzi. Havig napawał się tymi

**zapachami.**

**– Dziękuję ci, kyriosie Hauku, za twój zachwyt tym widokiem –**

**powiedział Doukas Manasses. Wyglądał na zaskoczonego faktem, że**

**jakiemuś Frankowi podoba się coś, co jego pobratymcy darzą odrazą,**

**ponieważ było to greckie. Co prawda Hauk Thomasson nie był naprawdę**

**Frankiem czy Anglikiem, tylko pochodził z dalekiej Północy.**

**– To ja ci dziękuję, kyriosie Manassesie, za pokazanie mi tak**

**wspaniałego widoku – odparł Havig.**

**Wymienili się ukłonami. Bizantyjczycy nie byli formalistami.**

**Pasjonowali się głównie religią i dziełami sztuki. Poza tym mieli dość**

**przeciętne gusta, jak zresztą wszyscy w tym regionie. Jednak ich klasa**

**wyższa holdowała wyszukanej grzeczności.**

**– Tego pragnąłeś – odparł Doukas. Był to siwiejący już mężczyzna,**

**dość przystojny, ubrany w obszerną dalmatyńską szatę.**

**– Po prostu stwierdziłem, że ktoś, kto wytwarza tak piękne wyroby,**

**musi czerpać skądś inspirację.**

**– Mogłeś odwiedzić normalne sklepy. Z twoich pytań i uwag**

**domyślam się, że pragniesz nabyć coś szczególnego jako pamiątkę do**

**domu i zamierzasz obejrzeć wiele próbek.**

**– Ale widzę, że ty i twoi uczniowie tworzycie tu arcydzieła.**

**– Jesteś zbyt miły – odparł złotnik. – Czasami mam wrażenie, że**

**powinniśmy bardziej skupiać się na dziełach Pana niż na**

**konwencjonalnych potrzebach. W końcu wszelkie dobra pochodzą od**

**Boga.**

– Jak coś takiego? – spytał Havig, wskazując pięknie kwitnącą jabłoń stojącą w domowej plantacji.

– To dla mojej córki. – Doukas się uśmiechnął. – Ona kocha kwiaty, a nie możemy zabierać jej codziennie za miasto.

Kobiety miały w Konstantynopolu wysoki status oraz wiele praw i przywilejów. Doukas uważał, że jego gość potrzebuje jednak dokładniejszych wyjaśnień.

– Chyba zbyt ją rozpieszczamy. To nasza jedyna córka. To znaczy byłem już żonaty ze świętej pamięci Eudoksją, ale moi synowie już dorośli. Xenia jest pierwszym dzieckiem Anny i moją jedyną córką. –

Potem powodowany jakimś impulsem dodał: – Kyriosie Hauku, wybacz, że to powiem. Jestem zdumiony spotkaniem... z przyjezdnym...

obcokrajowcem... z tak odległego kraju. W dawnych czasach wielu z was służyło w naszej Gwardii Waregów. Z przyjemnością porozmawiałbym z tobą dłużej. Czy zechcesz zaszczyścić nasz dom wspólną wieczerzą?

– Cóż... z przyjemnością. – Havig uznał to zaproszenie za doskonałą okazję do poznania najnowszych plotek. Handel i rzemiosło w Bizancjum było zrzeszone w gildiach zarządzanych przez prefektów. Ten człowiek z racji swoich umiejętności musiał wiedzieć wszystko o swoich kolegach i sporo na temat innych rzemiosł. – Jestem zachwycony twoim zaproszeniem.

– Czy nie będzie ci przeszkadzało, czcigodny gościu, towarzystwo mojej żony i córki? – spytał nieśmiało Doukas. – Zapewniam, że nie będą nam przerywały, zechcą tylko, jeśli wyrazisz zgodę, cię słuchać. Xenia ma

**dopiero pięć lat, ale już jest spragniona wiedzy.**

**To była wyjątkowo piękna dziewczynka.**

**\***

**Hauk Thomasson powrócił w kolejnym roku. Opowiadał, że prowadzi teraz interesy w Atenach. Grecja wciąż jeszcze należała do cesarstwa i miało tak być aż do jego upadku. Wielu cudzoziemców zaczynało się zajmować handlem, więc historyjka była wiarygodna i nie wzbudzała podejrzeń. Ponieważ jego interesy wymagały częstych wizyt w Konstantynopolu, odnowił starą znajomość. Miał również nadzieję, że córka kyriosa Manassesesa przyjmie drobny upominek...**

**– Ateny! – wyszeptał złotnik. – Dusza Hellady! – Ujął go za ramiona ze wzruszeniem. – Tak bym pragnął zobaczyć ateńskie świątynie, zanim umrę... niech mi Bóg wybaczy... bardziej niż zwiedzić Ziemię Świętą.**

**Xenia była zachwycona zabawką. W czasie posiłku i długo potem uważnie wszystkiego słuchała, dopóki niania nie zabrała jej do łóżka. Była dzieckiem wyjątkowo bystrym i nie zepsutym, mimo że Anna najwyraźniej nie mogła już mieć dzieci.**

**Czuł się doskonale w ich towarzystwie. Zawsze jest miło przebywać wśród ludzi kulturalnych. Bez względu na epokę. Jego zadanie straciło nieco ze swojego upiornego charakteru.**

**W rzeczywistości po prostu przeniósł się w przyszłość. Musiał sprawdzić, czy nie przeoczył jakichś wydarzeń, które by zdemaskowały jego historyjkę. Mógł tym sposobem śledzić jednocześnie wiele wątków i zadawać więcej pytań. Za jednym razem wszystko to mogłoby wydać się**



**mocno podejrzane.**

**Po kilku latach (wizytach) zaczął się jednak zastanawiać, czy powinien przyjaźnić się z Doukasem Manassesem i jego rodziną, jeździć wspólnie na wycieczki i pikniki, a nawet zabierać ich na przejażdżkę wynajętą barką. Nie mówiąc już o tym, że przekroczył swój budżet... To nie było ważne. Zawsze mógł zagrać na Hippodromie, sprawdzając wcześniej wyniki. Agent pracujący samotnie miał sporo swobody. Czuł się winny, że okłamuje przyjaciół, ale w końcu robił to po to, żeby uratować im życie.**

**\***

**Głos Xenii przypominał szczebiot ptaków. Takie Havig miał skojarzenie, kiedy wreszcie przełamała swoją nieśmiałość i zaśmiała się przy nim radośnie. Od tamtej pory zawsze z nim rozmawiała, jeśli rodzice jej pozwalali. A nawet kiedy tego nie widzieli. Była bardzo szczupła, ale nigdy nie widział jeszcze nikogo, kto by poruszał się z taką gracją. Jej gęste włosy sprawiały wrażenie, że zginają dziewczynie szyję swoim ciężarem. Miała jasną cerę, owalną twarz z pięknym noskiem, małe usta ciągle rozchylone i duże, pełne wyrazu oczy. Takie oczy można było zobaczyć na mozaikach przedstawiających wielką cesarzową Teodozję i potem nigdy już się ich nie zapominało.**

**Spotykał Xenię w odstępach kilku miesięcy, które dla niego były tylko godzinami lub dniami. Dorastała, rozkwitała. Ze smutkiem uświadomił sobie po raz kolejny, że tylko on potrafi pływać w tym morzu czasu, a inni skazani są na mozolną podróż od jednej ciemności do**

drugiej.

\*

Dom Doukasa zbudowany był wokół wewnętrznego atrium, w którym kwitły kwiaty i pomarańcze. Gospodarz z dumą pokazał mu najnowszy nabytek: posąg cesarza Konstantyna, od którego imienia nazwę wzięło całe miasto.

– Patrząc na wyrazistość tej postaci, jestem pewien, że to dawna szkoła rzeźby – powiedział. – Dzisiaj ta sztuka upadła. Spójrz tylko na jego dumnie zaciśnięte usta...

Dziewięcioletnia Xenia parsknęła śmiechem.

– Co ci jest, dziecko? – zdziwił się jej ojciec.

– Nic. Naprawdę – odparła, ale dalej nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– Nie wstydź się. Powiedz nam, co cię śmieszy.

– On... on ma minę, jakby... chciał powiedzieć coś bardzo ważnego, ale musi powstrzymać gazy...

– Do licha! – wyrwało się Havigowi. – Ona ma rację! Doukas przez dłuższą chwilę walczył ze sobą, ale w końcu i on wybuchnął śmiechem.

\*

– Pójdź z nami do kościoła, Hauk, proszę! – błagała. – Nawet nie wiesz, jak tam jest cudownie. Śpiewają, palą kadzidła i świece na cześć Chrystusa Pantokratora. – Miała wtedy jedenaście lat i przepojona była miłością do Boga.

– Wybacz, ale jestem katolikiem.

– Świętym to nie przeszkadza. Pytałam już taty i mamy. Im również nie przeszkadza. Możemy powiedzieć, że przybyłeś z Rosji, jeżeli będzie trzeba. Pokażę ci, co trzeba robić. – Złapała go za dłoń – Chodź!

Ustąpił jej, nie będąc pewnym, czy chciała go nawrócić, czy po prostu pokazać coś wspaniałego przybranemu wujkowi.

\*L

– Cudowne! – Rozplakala się ze wzruszenia w swoje trzynaste urodziny na widok prezentu. – Tato, mamó, spójrzcie, co dostałam od Hauka! To książka! Tragedie Eurypidesa. Wszystkie! Tylko dla mnie.

– To królewski podarunek – powiedział Doukas, kiedy poszła się przebrać na skromne przyjęcie na swoją cześć. – Nie mówię o kosztach zrobienia i oprawienia kopii. Chodzi mi o sam pomysł.

– Wiem, że uwielbia starożytność. Podobnie jak wy – odparł Havig.

– Wybacz – wtrąciła Anna – ale w jej wieku... Eurypides? Czy to nie jest trochę za poważne?

– To są poważne czasy – odparł Havig, który nie potrafił już udawać wesołości. – Tragiczne wersy mogą ją przygotować na tragiczne wydarzenia. – Spojrzał na Doukasa. – Jeszcze raz cię zapewniam, że Wenecjanie właśnie w tej chwili zmawiają się z pozostałymi Frankami...

– Mówiłeś już o tym – potwierdził złotnik. Jego włosy i broda zrobiły się już całkiem siwe.

– Jeszcze nie jest za późno na wywiezienie rodziny w bezpieczne miejsce. Mogę wam pomóc.

– Gdzie jest bezpieczniej niż za tymi murami, których nikt nigdy nie

zdobył? Jeśli zlikwiduję warsztat, czeka nas bieda i głód. A co mam zrobić z uczniami i sługami? Oni nie mogą uciec. Wybacz mi, stary przyjacielu, ale ostrożność i obowiązek nakazuje mi pozostać tutaj i ufać Bogu. –

Doukas uśmiechnął się ze smutkiem. – Mówię do ciebie „stary przyjacielu”, choć wydajesz się nie zmieniać. Oczywiście masz też swoje lata.

– Przez pewien czas nie będę przyjeżdżał do Konstantynopola – powiedział Havig. – Obowiązki zatrzymają mnie gdzie indziej. Postaraj się być ostrożny. Nie zwracaj na siebie uwagi i ukryj swoje bogactwo.

Wychodź na ulice jedynie po zmroku. Uwierz mi! Znam Franków.

– Będę pamiętał o twoim ostrzeżeniu, Hauk, gdyby coś... Ale chyba przesadzasz. To jest przecież Nowy Rzym.

Anna dotknęła ich dłoni z niepewnym uśmiechem.

– Starczy tej polityki, panowie. Rozchmurzcie się. Mamy przecież przyjęcie urodzinowe. Zapomnieliście o Xeni?

\*

Schowawszy się w zaułku, Havig zrobił krótki wypad w czasie w przyszłość. W czasy pierwszego ataku krzyżowców. Nic złego temu domowi się nie zdarzyło. Wrócił w spokojniejsze czasy, wynajął pokój w dobrej gospodzie, zjadł obfitą kolację i zafundował sobie długi sen. Rano zrezygnował ze śniadania. Ogólnie był to dobry pomysł w każdej epoce, jeżeli ktoś szykował się do walki.

Przeniósł się do dwudziestego kwietnia 1204 roku.

\*

**W tych dniach i nocach pełnych okrucieństwa mógł być tylko obserwatorem. Miał jasne i logiczne rozkazy. Za wszelką cenę unikać ryzyka i trzymać się z dala od niebezpieczeństwa. Pod żadnym pozorem nie mieszać się do oglądanych wydarzeń, a już za żadną cenę nie starać się ich zmieniać. Nigdy, pod groźbą surowych kar, nie wolno mu było zbliżyć się do miejsc, w których toczyły się walki. Oczekiwano od niego raportów, więc musiał przeżyć.**

**Wszędzie było pełno pożarów. Kwaśny dym unosił się dookoła.**

**Ludzie jak szczury kulili się w domach lub próbowali uciekać na oślep.**

**Niektórym to się nawet udało, ale tysiące innych zostało złapanych i zastrzelonych, posiekanych, zatłuczonych, stratowanych, torturowanych, okradzionych, zgwałconych przez umorusanych krwią i będących w szale bitewnym mężczyzn odzianych w ukradzione z kościołów jedwabne szaty.**

**Ciała spychano do rynsztoków sphywających krwią. Wiele z tych ciał było bardzo małych. Matki czolgały się w stronę piszczących dzieci. Dzieci próbowały dostać się do matek. Ojcowie na ogół leżeli martwi. Kapłani w świątyniach byli poddawani nieludzkim torturom, dopóki nie powiedzieli, gdzie znajduje się skarbiec świątynny. W którym z reguły nic już nie było. Wtedy zwyczajowo oblewano im brody olejem i podpalano. Gwałcono kobiety, zakonnice, dziewczęta jęczały bądź lkały. Wymyślano coraz bardziej wyrafinowane tortury.**

**Pijana kurtyzana zasiadła na tronie w Bazylice Mądrości Bożej, a na ołtarzu grano w kości o zdobyte łupy. Konie z brązu zdobiące Hippodrom zostały przewiezione do Wenecji do Katedry Świętego Marka. Dzieła**

**sztuki, biżuteria i naczynia liturgiczne miały się znaleźć w całej Europie, i w ten sposób zostały ocalone dla potomności. Inne przetopiono na metal lub spalono dla zabawy. W taki sposób zniszczono większość dzieł sztuki klasycznej i prawie wszystkie książki, które przetrwały aż do tej chwili. Nie jest prawdą, że wszystko zniszczyli Turcy. Krzyżowcy ich w tym dziele ubiegli.**

**Potem zapadła cisza. W mieście zapanowały smród, choroby i głód.**

**Tak oto w epoce, którą katolicycy historycy nazwali apogeum cywilizacji, zachodnie chrześcijaństwo zniszczyło swoją wschodnią flankę. Półtora wieku później Turcy polknęli Azję Mniejszą i wkroczyli do Europy.**

**\***

**Havig znowu przeniósł się w czasie.**

**Wrócił do spokojnych czasów i przeszedł do wybranych wcześniej lokalizacji. Za każdym razem robił wypad w przyszłość, oceniając siły i wyszkolenie Franków. W większości przypadków wpadali do wybranych przez niego domów na krótko i zadowalali się tylko mordowaniem mieszkańców bądź braniem jeńców, za których mieli nadzieję otrzymać okup. Te budynki skreślał ze swojego spisu. Nie wolno było zmieniać historii.**

**W niektórych miejscach widział jednak, że krzyżowcy zostali przestraszeni hukem wystrzałów karabinów maszynowych. Nie napawało go to radością, ale odczuwał jednak pewną satysfakcję. Z takich domów agenci Orlego Gniazda sami zabierali cenne przedmioty. Wszyscy**

nosili stroje krzyżowców, chociaż w tym całym zamieszaniu było mało prawdopodobne, żeby ktokolwiek na nich zwrócił uwagę. Zakotwiczony w zatoce statek miał wywieźć skarby w bezpieczne miejsce.

Krasicki obiecał, że zajmą się również ludźmi. Zależnie od okoliczności. Niektóre rodziny po prostu pozostawiono przy życiu z odpowiednim zapasem pieniędzy na ucieczkę. Innym pomagano znaleźć nowe miejsce zamieszkania.

Nie musiano obawiać się paradoksów. Opowieści o tym, jak dobre duchy uratowały niektórych ludzi, miały szybko ulec zapomnieniu. Z pewnością nie dostały się do podręczników historii. Zresztą po zjednoczeniu chrześcijan przez Michała VIII Paleologa nawet pamięć o tej rzezi uległa zatarciu.

Havig nie przyglądał się zbyt dokładnie każdej akcji. Nie tylko z powodu zakazu. Wszystko to kosztowało go mnóstwo wysiłku i nerwów. Wiele scen, których był świadkiem, wywołało u niego szok. Musiał cofać się w przeszłość, żeby się uspokoić i zregenerować. Dopiero kiedy się porządnie wyspał, wracał do swojego zajęcia.

Dom Manassesa był jednym z pierwszych, które obserwował. Nie pierwszym, bo chciał najpierw zdobyć trochę wprawy, ale jednym z pierwszych. Wiedział, że później będzie zbyt zmęczony.

Z początku miał nadzieję, że to domostwo ocaleje. Niektóre domy najeźdźcy omijali z niezrozumiałych powodów. Nie miało sensu sprawdzanie zachowania krzyżowców w najbardziej znanych miejscach, bo Wallis nie miał dość ludzi, żeby z nimi walczyć. Skoncentrował się

więc na mniejszych rezydencjach, których łączne bogactwo i tak było niewyobrażalne. Konstantynopol był za dużym miastem, zbyt bogatym i było w nim zbyt wiele zaułków, żeby krzyżowcy dotarli wszędzie.

Nie obawiał się zbytnio. W tym konkretnym przypadku wiedział, że coś na pewno się stanie. Włączą się inni albo on sam. Albo nawet Caleb Wallis. Kiedy jednak dostrzegł dziesięcioosobową bandę kierującą się w stronę domu Manassesa, serce zaczęło mu bić szybciej. Gdy przywódca bandy i trzech jego kompanów padło bez życia, a dwóch kolejnych wierzgało na ziemi, wijąc się z bólu, wyrwał mu się krzyk radości.

Pozostali uciekli.

\*

Powrót do Orlego Gniazda nie był łatwym przedsięwzięciem. Havig musiał się liczyć z promieniowaniem i brakiem możliwości dokładnego określenia daty. Nie mógł wylądować w zniszczonym Istambule i potem próbować jakoś dopasować datę i godzinę, kiedy miał czekać na niego samolot. Nie mógł też pojawić się zbyt wcześnie, bo ludzie z Orlego Gniazda nie dysponowali wtedy samolotem. Później z kolei miasto zostało ponownie zasiedlone i wyglądałoby bardzo podejrzanie w swoim przebraniu. I dalej miałby problem ze znalezieniem się w odpowiednim miejscu.

– No właśnie – mruknął wreszcie do siebie. Że też wcześniej na to nie wpadł, kiedy omawiali całą sprawę z Krasickim.

Przez chwilę podziwiał genialną prostotę swojego pomysłu. Mógł przecież zwyczajnie skorzystać ze swojej tożsamości z dwudziestego



wieku. Złożyć w hotelowym sejfie trochę gotówki oraz zapasowe ubranie i wyjaśnić w recepcji, że bierze udział w zdjęciach do kolejnego filmu historycznego. To by rozwiązało wszystkie jego problemy.

Cóż, miał za dużo spraw na głowie i dlatego teraz musiał się martwić. A tego nie mógł wymyślić nikt inny. Wallis, mimo że używał wielu urządzeń z czasów szczytowego rozwoju cywilizacji, wciąż miał mentalność człowieka dziewiętnastowiecznego. I tak właśnie organizował swoje wyprawy.

Plan wymagał niestety ponownej podróży w przeszłość i zdobycia funduszy. Havig wynajął statek, którym dopłynął na Kretę, gdzie ukrył swoje kosztowności, i ponownie przeniósł się w przyszłość.

Nie przeszkadzały mu ani smród, ani dziwni pasażerowie, ani kołysanie morza. Wręcz pomagały mu zapomnieć o potwornościach, których był świadkiem.

\*

– Wspaniała robota – ucieszył się Krasicki, czytając jego raport. –

Doskonała. Jestem pewien, że Wódz pochwali cię przed wszystkimi i wynagrodzi, kiedy wasze linie czasowe znowu się skrzyżują.

– Co? A, taaak... – mruknął Havig.

– Jesteś zmęczony? – Krasicki przyjrzał mu się uważniej.

– Padnięty.

– To normalne. – Krasicki dostrzegł podkrążone oczy i mętne spojrzenie. – Należy ci się urlop. Najlepiej w twoich czasach. Na razie zapomnij o Konstantynopolu. Jeżeli będziemy cię potrzebować, to się

skontaktujemy. – Uśmiechnął się prawie ciepło. – Teraz idź, odpocznij.

Później porozmawiamy.

Sądzę, że możemy dać urlop również twojej dziewczynie. Havig?

Havig! Havig zasnął na krześle.

Jego problemy zaczęły się później. Zamiast odpoczywać, zaczął się zastanawiać.

## Rozdział 10

Obudził się wczesnym letnim rankiem 1965 roku w Paryżu. Było jeszcze

chłodno i cicho, ponieważ ruch uliczny dopiero budził się do życia. W

pokoju hotelowym panował półmrok. Ciepły oddech Leoncji grzał mu

ramię. Poprzedniej nocy do późna zwiedzali kluby nocne na bulwarach.

Kiedy już jej pragnienie oglądania błyszczących strojów tancerek zostało

zaspokojone, powrócili do hotelu. Kochali się czule i leniwie. Ledwo

drgnęła, kiedy kelner zapukał do drzwi, niosąc kawę i croissanty.

Havig był zdziwiony własną determinacją. W poprzednich

tygodniach wielokrotnie zdawał sobie sprawę, że musi do tego dojść. Jego

podświadomość wreszcie zwyciężyła i nie potrafił się jej oprzeć.

Mimo niebezpieczeństwa był spokojny. Po raz pierwszy od długiego

czasu.

Wstał, umył się i ubrał. Potem przygotował swoje rzeczy. W

bagażach miał dwa zestawy podstawowego wyposażenia każdego agenta.

Dział dokumentacji Orlego Gniazda przygotował mu nawet dokumenty

zezwalające na ich przewożenie przez granice. Nie ruszył niczego z

bagażu Leoncji, ponieważ musiał zaoszczędzić miejsce na chronolog.

Nawet pytała go, po co mu takie dziwne urządzenie. Odpowiedział jej, że to specjalne wyposażenie elektroniczne. Nie rozumiała oczywiście, o czym mówi, ale to ją właśnie uspokoiło. Spakował jeszcze paszport, książeczkę szczepień i grubą kopertę z czekami podróznymi.

Przez chwilę przyglądał się w milczeniu śpiącej kobiecie. Jest kochana, pomyślał. Cieszyła się z ich wspólnego wyjazdu. A on musiał zrobić jej świństwo. Czy powinien zostawić liścik?... Raczej nie. Mógł wrócić minutę później. Gdyby nie wrócił, to przecież znała współczesny angielski i procedury wystarczająco dobrze, żeby przenieść się do Orlego Gniazda (jej amerykański paszport był jak najbardziej autentyczny, miała nawet świadectwo urodzenia załatwione przez jednego z agentów). Co prawda gdyby zginął, pewnie by cierpiała.

Przy odrobinie szczęścia mógł co najwyżej dostać naganę. Wtedy opowiedziałby jej wszystko, odwołując się do lojalności, którą rozumiała bardzo dobrze.

Wprawdzie mówiła o miłości, kiedy się kochali, ale to mógł być po prostu sposób podejścia do tych spraw. Chociaż ostatnio ciągle trzymali się za ręce, kiedy chodzili po mieście. Czasami dostrzegał, jak się do niego uśmiecha, kiedy sądzi, że on nie widzi... Chyba trochę się w niej podkochiwał. Nie mogło to trwać wiecznie, ale dopóki trwało...

– Żegnaj, moja piękna – szepnął. Musnął jej usta wargami i wyszedł z pokoju, zabierając swój bagaż. Wieczorem był już w Istambule.

\*

Podróż pochłonęła wiele godzin jego osobistego życia spędzonych

**głównie w samolotach i autobusach. Skoki czasowe między różnymi agencjami podróży w celu zdobycia właściwych biletów sprawiły, że w sumie podróżował kilka dni.**

**– Wiesz, jakie jest najlepsze miejsce do dyskretnego zrobienia skoku czasowego we współczesnym świecie? – spytał mnie gorzkim tonem. – Wcale nie budka telefoniczna, jak to robił Superman. Kibel w publicznej toalecie. Wyjątkowo romantyczne, prawda?**

**Wynajął luksusowy pokój w hotelu. Zjadł doskonałą kolację w samotności i wieczorem zażył pigułkę na sen. Musiał być przecież w dobrej formie.**

**\***

**Wreszcie późnym popołudniem trzynastego kwietnia 1204 roku zjawił się w Konstantynopolu. Pojawił się w alejce poniżej swojego celu. Panowała ciężka cisza – żadnych odgłosów zabijania komarów, stukotu kopyt, skrzypienia wozów, dźwięku dzwonów, rozmów, targowania się, śmiechów ani dziecięcych zabaw. Ta cisza miała swoje tło: odległe jęki, krzyki mordowanych, huk pożarów i ujadanie psów.**

**Był gotowy. Wyjął smith&wessona, który nosił w kaburze pod pachą. Zapasową amunicję miał w kieszeniach kurtki. Zestaw i chronolog nosił na plecach w aluminiowym pojemniku.**

**Większość domów była zamknięta na glucho. Ich mieszkańcy się zabarykadowali, głodni, spragnieni, nieustannie modlili się o zbawienie.**

**Przeciętne domy nie były warte zachodu. Chyba że chodziło o przyjemność gwałtu, mordowania, torturowania czy podpalania. To była**

co prawda dzielnica złotników, ale większość budynków nie należała do nich. Dzielnica mieszkalna nie gwarantowała bogatych łupów. Biedacy mogli być wszędzie. Ponieważ stragany i wystawy zostały pochowane, trudno było określić, za którą ścianą kryją się prawdziwe skarby...

Chyba że trafiło się na kogoś, kto na torturach podał konkretny adres.

Banda, która kierowała się do posiadłości Manassesesa, wyprzedzała swoich pobratymców, którzy zajęci byli plądrowaniem pałacu i kościołów. Czy już tu byli (a może jeszcze?). Havig nie znał dokładnej godziny ich nadejścia.

Dobiegł do rogu. Jakiś mężczyzna leżał martwy z nożem w plecach.

Prawą rękę miał wylamaną ze stawu. Klęczała przy nim kobieta w lachmanach.

– Mało wam było, że zmusiliście go do zdrady sąsiadów?! –

krzyknęła, kiedy Havig ją mijał. – Na Chrystusa! Musieliście go zabijać?!

Musieli, pomyślał. To dawało im podniecie do dalszych zbrodni.

Minął klęczącą kobietę. Potworności, których był świadkiem poprzednio, wróciły teraz ze zdwojoną siłą. Nic nie mógł dla tej kobiety zrobić. Kiedy się urodził, jej cierpienie i gniew miały już siedemset lat i nikt o tym nie pamiętał.

Teraz przynajmniej wiedział, w jaki sposób krzyżowcy znaleźli dom

Doukasa. Wiedział też, że trafił we właściwy czas. Wrzaski, huk i jęki odbijały się echem od ścian, bruku i sięgały obojętnych dziś niebios.

– Tak – mruknął do siebie. – Trafilem dokładnie na właściwą

chwile.

Przyśpieszył kroku. Jego młodszy „ja” miał zniknąć, zanim on się pojawi, bo przecież nie widział siebie poprzednio. Nie chciał zostawić domu bez nadzoru zbyt długo.

Zwłaszcza kiedy poznał bliżej przeciętnych wojowników Orlego Gniazda.

Musiał podejść stromo w górę. Czuł, jak grawitacja spowalnia jego kroki. Jego obcasy stuknęły równie głośno co serce. Zaszło mu w gardle, dym drażnił nos.

Wreszcie doszedł na miejsce.

Dostrzegł go ranny krzyżowiec. Z trudem podniósł się na kolana i wyciągnął ręce. Jego biała peleryna była cała zbrukana krwią, czerwone plamy zasłaniały umieszczony na niej krzyż.

– *Ami* – wyjąkał. Twarz miał wykrzywioną z bólu. Nawoskowana broda sterczała mu jak rżysko. – *Frère par lesu...*

Drugi ranny krzyżowiec mógł tylko pojękiwać. Bez końca.

Havig powstrzymał się od wbicia im resztek zębów w gardło i zaraz zawstydzil się swojego odruchu. Walka na śmierć i życie deprawuje ludzi.

Wojna deprawuje ich absolutnie. Obojętnie minął klęczącego, który zaraz zwałił się na bruk. Podniósł obie ręce do góry i krzyknął po angielsku:

– Wstrzymać ogień! Jestem z Orlego Gniazda! Inspekcja!

Wstrzymać ogień! Wchodzę do środka! – Podeszedł do drzwi, czując, jak jego żołądek kurczy się ze strachu.

Wóz zaprzężony w woły stał niedaleko drzwi wejściowych.

Zwierzęta były przywiązane do słupa, na którym jeszcze niedawno wisiał szyld Doukasa. Leniwie machały ogonami, oganiając się od much, i z nikłym zainteresowaniem obserwowały konających krzyżowców.

Musiano to zaaranżować o wiele wcześniej, żeby móc przewozić zdobyte srebro, złoto, kamienie szlachetne, ikony i zdobienia oraz wyprawy ślubne na czekający statek. Havig nie był jedynym podróżnikiem w czasie, który miał bardzo wiele zajęć w tej epoce. Ta operacja wymagała mnóstwa pracy.

Nikt nie pilnował wejścia. Przy swoim uzbrojeniu agenci nie musieli się obawiać maruderów. Nikt zresztą nie zamierzał im przeszkadzać.

Havig zatrzymał się w progu. Spojrzał ze złością na drzwi. Były masywne i z pewnością je zabarykadowano. Krzyżowcy najwidoczniej zamierzali je wyważyć. Teraz jednak stały otworem. Tego właśnie się obawiał.

Ze sposobu, w jaki zwisały na zawiasach, częściowo wyrwanych i zadymionych, wywnioskował, że chłopcy Wallisa użyli dynamitu. Musiało to być zrobione bardzo szybko, skoro Havig ich nie dostrzegł, a zauważył jedynie bandę krzyżowców.

Dlaczego musieli wejść siłą? Coś musiało wystraszyć domowników i z pewnością uniemożliwiło przekonanie ich o pokojowych zamiarach.

– Nie! Nieee! – dobiegł go krzyk po grecku. Krzyczała Xenia. Skulił się, jakby dostał cios w głowę.

**Spóźnił się. Jeszcze przed jego przybyciem agenci wysadzili drzwi i weszli do środka. Zostawili na straży tylko jednego człowieka, żeby odpędził maruderów, o których wspominał w raporcie. Teraz postanowił dołączyć do zabawy.**

**Przez chwilę, która dla niego trwała jak wieczność, przeklinał własną głupotę. Lub naiwność... jak kto woli. Był zbyt świeży w tej branży i przeoczył rzecz oczywistą. Do diabła z nimi. Był tutaj (tu i teraz) i jego obowiązkiem było uratować co się da.**

**Jego okrzyki najwyraźniej nie dotarły do agentów. Mimo że wołał ich, nawet wchodząc do środka. Głos dziewczyny dochodził z największego pomieszczenia, w którym mieściły się warsztaty i magazyn.**

**Rodzina, uczniowie i służba zostali tam zapędzeni jak bydło. Było tam więcej światła i powietrza niż w podobnych pomieszczeniach w Bizancjum, ponieważ szerokie okna i drzwi wychodziły na patio.**

**Widoczna w głębi fontanna wciąż działała, pomarańcze lśniły na drzewach pośród ciemnozielonych liści. Wielkanocne wiązanki kwiatów tworzyły wielobarwne wzory, a popiersie Konstantyna wciąż stało z wiecznym zakłopotaniem na twarzy. Na półkach i stołach w środku piętrzyły się kosztowności.**

**Doukas Manasses leżał nieopodal wejścia z rozplataną czaszką. Jego krew tryskała daleko i podłoga zrobiła się przez to śliska, brudząc buty, które później zostawiały karmazynowe ślady. Większość krwi chyba jednak wsiąkła w jego płaszcz i brodę. W ręku wciąż ścisnął kowadełko złotnicze, którym próbował bronić swojej rodziny.**



Było tu czterech agentów przebranych za krzyżowców. Havig przypomniał sobie ich nazwiska. Dowodził Mendoza z półświatka Tijuany. Teraz kazał wszystkim pakować kosztowności. Moriarty, dziewiętnastowieczny gangster z Brooklynu, stał na straży z karabinem maszynowym w ręku. Hans, szesnastowieczny knecht, i Coenraad z Brabancji, który w Jerozolimie wyciągał miecz w obronie swego Pana, teraz szamotał się z Xenią.

Dziewczyna wyrywała się i krzyczała. Miała ledwo czternaście lat.

Włosy rozsypały jej się w nieładzie. Pot i łzy ściekały po twarzy. Coenraad trzymał ją jedną ręką, drugą zdierał tunikę. U pasa dyndał mu młot bojowy.

– Drugi! – wrzeszczał Hans. – Ja po tobie!

Coenraad zdołał wreszcie pchnąć Xenię na posadzkę i zaczął szarpać swoje spodnie, próbując je rozpiąć jedną ręką. Anna, która dotąd stała jak ślepa i głucha obok ciała męża, wreszcie drgnęła. Skoczyła na pomoc córce. Hans odtrącił ją jednym ciosem ręki.

– Ty może nadasz się później – powiedział.

– Twardziele – zarechotał Moriarty. – Naprawdę jesteście twardziele, co?

Wszystko to trwało kilka sekund. Głos Haviga znowu utonął w ogólnym harmidrze. Pierwszy zauważył go Mendoza. Krzyknął i reszta zamarła w bezruchu. Coenraad puścił Xenię i wstał z podłogi.

– Hauk! – krzyknęła Xenia na jego widok.

Havig nigdy jeszcze nie widział takiego żaru w niczyich oczach.

**– O co chodzi? – Mendoza odwrócił się z pistoletem w dłoni i**

**dopiero wtedy Havig zorientował się, że własną broń ma w kaburze. Nie**

**odczuwał jednak cienia strachu. Właściwie nie odczuwał żadnych emocji.**

**Był tylko spięty jak jaguar przed skokiem. Gdzieś w głębi duszy gotowała**

**się w nim furia, odraza, przerażenie, ale musiał być zimny i zdecydowany.**

**– Mógłbym spytać o to samo – odparł spokojnie.**

**– Zapomniałeś swoich rozkazów? Ja je przypadkiem znam. Twoja**

**rola to wywiad. Nie wolno ci się narażać w bezpośrednich akcjach jak ta.**

**– Skończyłem swoje zadanie. Wróciłem tu z powodów osobistych.**

**– To zabronione. Wynoś się stąd. Później porozmawiamy, czy mam**

**to zgłosić w raporcie, czy przemilczeć.**

**– A jeżeli tego nie zrobię? – Mimo starań Havig mówił**

**podniesionym tonem. – Miałem to wszystko poznawać po kawalku? Krok**

**po kroku? Aż wreszcie stałbym się taki jak wy albo musiałbym sobie**

**palnąć w łeb. Teraz rozumiem.**

**Mendoza wzruszył ramionami, nie przestając celować karabinem**

**maszynowym w brzuch Haviga.**

**– A czego się spodziewałeś? Korzystamy z takich ludzi, jakich**

**znajdujemy. Ci chłopcy nie są gorsi od krzyżowców ani od innych**

**żołnierzy w historii. Sam to przyznaj, Jack.**

**– Są gorsi. Bo potrafią przenieść się w dowolny czas i miejsce i**

**zrobić, cokolwiek im przyjdzie do głowy, bez obawy przed**

**konsekwencjami. Ciekawe, jak spędzają wakacje. Sądzę, że takie**

**zamiłowanie do tortur i mordów wyrabia się w człowieku dzięki praktyce.**

**– Posłuchaj...**

**– A Wallis ani myśli ich hamować.**

**– Havig! Za dużo gadasz! Wynoś się, zanim cię aresztuję!**

**– Trzymają takich jak ja w nieświadomości, aż całkiem przesiąkną tymi bzdurami o misji Orlego Gniazda i poświęcaniu życia dla dobra ludzkości i cywilizacji. Tak to się dzieje, prawda?**

**– Dobra, chłopie. Wygadałeś się za wszystkie czasy. – Mendoza splunął na podłogę. – Jesteś aresztowany. Zostaniesz przeniesiony pod eskortą w przyszłość i Wódz sam cię osądzi. Nie stawiaj oporu, to może jakoś się z tego wywiniesz.**

**Przez chwilę wszyscy zamarli w bezruchu. Słyszeć było jedynie szloch Xenii, która trzymała na kolanach głowę nieprzytomnej Anny. I nie spuszczała oczu z Haviga. Podobnie jak kilkunastu mieszkańców domu. Młody Bardas – nadzieja mistrza. Uzdolniony Ioannes, stara Maria – niania Xenii, i cała reszta.**

**Hans zawył jak zwierzę, a Coenraad skulił się jak tygrys gotujący się do skoku.**

**Havig podjął decyzję, stworzył plan i zapamiętał pozycje każdego z przeciwników. Wszystko to trwało ułamek sekundy.**

**Nagle pojawił się w sześciu postaciach w różnych punktach sali.**

**Zaczęła się strzelanina. Cofnął się w czasie o kilka minut i przesunął w bok, wyciągając jednocześnie broń. Potem ponownie skoczył w przyszłość, pojawiając się za plecami Hansa. Pistolet wystrzelił i kopnął odrzutem. Głowa landsknechta rozleciała się na kawałki. Havig ponownie**

**cofnął się w czasie.**

**Potem z trudem potrafił sobie przypomnieć przebieg wydarzeń.**

**Walka trwała krótko i była zacięta. Inni potrafili to samo co on, i z tego**

**korzystali. Coenraad nie był wystarczająco szybki i zginął. Moriarty**

**zniknął z pola widzenia Haviga, kiedy próbował przenieść się w**

**przyszłość. Mendoza otworzył ogień i Havig w ostatniej chwili uciekł.**

**Wtedy dostrzegł cień Moriarty'ego. Cofnął się w czasie jego śladem.**

**Zastrzelił go i znowu ledwo uciekł Mendozie.**

**Potem Meksykanin zniknął. Havig cofnął się w przeszłość, do czasu**

**kiedy cała rodzina spała, i tam zatrzymał się, żeby uspokoić nerwy i**

**opanować drzenie nóg. Dopiero po dłuższej chwili odważył się ponownie**

**wrócić na miejsce walki i sprawdzić wszystko w szczegółach. Po**

**przekroczeniu pewnego punktu (zaraz po zakończeniu strzelaniny) nie**

**mógł znaleźć żadnych śladów Mendozy.**

**Facet musiał uciec w przyszłość. Może nawet od razu do Orlego**

**Gniazda po posiłki. Oznaczało to, że Havig miał niewiele czasu, a jego**

**podopieczni nie potrafili podróżować w czasie. Ale i jego przeciwnicy**

**będą mieli problemy z ponownym dotarciem w odpowiednim momencie.**

**Nie dysponowali przecież chronologiem. Mogli jednak pojawić się w**

**okolicy i zacząć ją przeczesywać dzień po dniu.**

**Havig pośpiesznie wrócił do chwili końca strzelaniny. Bizantyjczycy**

**stali stłoczeni w grupie. Bardas zginął od przypadkowej kuli. Dwóch**

**innych było rannych. Moriarty leżał ciężko ranny i jęczał podobnie jak**

**krzyżowcy przed wejściem. Może to on ich zastrzelił.**

**– Przyszedłem was uratować – oznajmił Havig po grecku. Byli w**

**szoku, nic nie rozumieli. Zrobił znak krzyża w powietrzu.**

**– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, w imię Świętej Marii**

**Dziewicy i wszystkich świętych. Chodźcie ze mną. Inaczej zginiecie.**

**Pomógł Xeni podnieść się z podłogi. Przywarła do niego, zaciskając**

**pięści. Poglądził ją po włosach, pamiętając, jak sam przeżywał śmierć**

**ojca. Znad jej ramienia powiedział:**

**– Ioannesie, Nikeforusie, jesteście w najlepszej formie. Będziecie**

**nieśli waszą panią Annę. Reszta niech pomoże rannym. – Potem dodał już**

**po angielsku: – Do cholery! Musimy się stąd wynosić!**

**Ruszali się jak kukły. Na ulicy zatrzymał się i ściągnął pelerynę z**

**martwego krzyżowca. Innemu trupowi zabrał miecz. Nie tracił czasu na**

**odpinanie pochwy. Taka broń wskazywała na wysoką rangę, więc miał**

**nadzieję, że jego grupa ma szansę.**

**Kilka ulic dalej dopadły go nerwy i poczuł, że drży. Musiał usiąść i**

**poczekać, aż wróca mu siły. Xenia klęczała przed nim, trzymała go za rękę**

**i powtarzała:**

**– Hauk! Co ci jest? Najdroższy! Hauk?**

**– Jesteśmy bezpieczni – odparł wreszcie.**

**Przynajmniej od bezpośredniego zagrożenia. Nie podejrzewał**

**Orlego Gniazda, żeby poświęciło lata życia swoich agentów na szukanie go**

**w tej masie ludzi uciekających z Konstantynopola. Musiał jednak jakoś**

**zabezpieczyć ich przyszłość. I własną. Ta świadomość dodała mu energii.**

**Wstał i poprowadził ich dalej tą niepewną drogą.**

\*

– Zostawiłem ich w pewnym klasztorze – powiedział mi (długo

później w jego linii czasu). – Był cały zapchany uciekinierami.

Sprawdziłem jednak w przyszłości, że nikt nie będzie go niszczył. W ciągu

kilku lokalnych dni musiałem załatwić wiele spraw. Niektóre były proste

– skrzywił się z niesmakiem – jak kradzież łupów kilku krzyżowcom.

Ofiarowałem część klasztorowi jako darowiznę za opiekę nad służbą i

uczniami, a resztę zakonowi żeńskiemu, który później udzielił

schronienia kobietom. Dzięki temu zapewniłem im lepszą opiekę niż

pozostałym uchodźcom. Dzięki mojemu darowi mnisi i zakonnice mogli

kupić żywność.

– A reszta tej masy uciekinierów? – spytałem.

– Co miałem zrobić? – Zasłonił twarz dłońmi. – Były ich tysiące.

– Zawsze są ich tysiące, Jack – powiedziałem i poklepałem go po

ramieniu, starając się dodać otuchy.

– Dzięki, doktorze. – Uśmiechnął się z wdzięcznością.

Wypaliłem już swoją dzienną dawkę tytoniu, ale tym razem

potrzebowałem czegoś na uspokojenie. Mimo późnej pory wyjąłem fajkę i

zacząłem rytuał jej czyszczenia.

– Co było dalej?

– Wróciłem w dwudziesty wiek i dużo spałem. Zmieniłem tylko

hotel. Potem... Cóż, i tak niewiele mogłem na razie dla nich zrobić...

Ostrzegłem tylko, żeby nikomu nie mówili, co się stało. Kazałem

opowiadać, że po prostu uciekli z pogromu dzięki pomocy anioła, który

uratował ich od demonów. Sądzę, że tego akurat się trzymali. Na wszelki wypadek nikomu nie powiedziałem, gdzie umieściłem kobiety. Z braku transportu niewiele więcej mogłem dla nich zrobić bez zwracania na siebie uwagi. Najlepszą taktyką było pozostawienie ich samych. W tamtych czasach istniały instytucje kościelne, które lepiej potrafiły sobie radzić z takimi uchodźcami niż ja. Poza tym musiałem się zająć własnym bezpieczeństwem.

– To prawda – przyznałem, nabijając fajkę. – I co potem zrobiłeś?

Powoli sączył drinka. Nie chciał zaćmiewać swojego umysłu i zmysłów, ale odrobina scotcha działa uspokajająco.

– Pamiętałem datę swojego ostatniego pojawienia się jako J.F.

Havig – powiedział. – To było w 1965 roku w czasie spotkania z moimi bankowcami. Później odwiedzałem dwudziesty wiek kilkakrotnie. Na przykład Istambuł w 1969 roku, ale były to krótkie pobyty. Rok 1965 stanowił prawdziwy koniec ciągłości mojej postaci w dwudziestym wieku. Bankierzy twierdzili, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Moje zabezpieczenia prawne i finansowe były bardzo skomplikowane i trudne do wykrycia. Uznałem więc, że do tego momentu moja postać była bezpieczna.

– Orle Gniazdo nie mogło zaatakować cię wcześniej? Dlaczego?

– Mogli się oczywiście przenieść w ten okres i przygotować jakąś pułapkę. Ale uruchomić ją musieliby dopiero później. Prawdę mówiąc, wątpiłem, żeby sobie tym zawracali głowę. Żaden z nich nie potrafił się sprawnie poruszać po dwudziestym wieku. A już z pewnością nie potrafili

**rozmawiać z pracownikami wyższego szczebla z bankowości.**

**– Chcesz przez to powiedzieć, że raz zaistniałe zdarzenie nie może zostać zmienione?**

**– Podejrzewam, że nic nie może zostać zmienione – odparł z uśmiechem, który nieco mnie zmroził. – Wiem, że żaden podróżnik nie może stworzyć paradoksu. Próbowalem. Inni również. Nawet sam Wallis.**

**Mogę wyjaśnić ci to na swoim przykładzie. Kiedy byłem dzieckiem, postanowiłem kiedyś zapomnieć o naukach mojego „wujka” i wyjawzić ojcu, kim jestem i dlaczego nie powinien się zaciągać do wojska.**

**– No i...?**

**– Pamiętasz doktorze, kiedy złamałem nogę?**

**– Owszem. To było... Zaraz!...**

**– No właśnie. Potknąłem się o leżący przewód elektryczny, który ktoś przez nieuwagę zostawił na schodach, dzień przed zaplanowaną rozmową z ojcem... Kiedy po kilku latach już otrząsałem się z różnych problemów i postanowiłem wrócić do tematu, nagle zadzwonił telefon z mojego banku i spędziłem kilka godzin na omawianiu i negocjowaniu nudnych szczegółów. Po powrocie do Senlac okazało się, że mama wreszcie rozstała się z Birkelundem i potrzebowała mojej pomocy. Kiedy patrzyłem na jej dwie niewinne córeczki, dotarło w końcu do mnie, że to jest przesłanie.**

**– Myślisz, że to była boska interwencja?**

**– Nie, skądże! Sądzę, że zmienianie przeszłości jest po prostu logiczną niemożliwością. Podobnie jak jest niemożliwe, żeby coś było**



**pomalowane jednocześnie tylko na żółto i tylko na czerwono. Każde zdarzenie w czasie jest przeszłością nieskończonej liczby innych zdarzeń. To ma sens. Taki ogólny wzorzec jest logiczny. Nasze próby jego złamania i nasze niepowodzenia stanowią już jego integralną część.**

**– Czyli jesteśmy tylko marionetkami?**

**– Tego nie powiedziałem, doktorze. Tak naprawdę sam w to nie wierzę. Wydaje mi się, że wolna wola musi być jakoś wpleciona w ten ogólny wzorzec. I chyba lepiej się powstrzymać od prób rozwikłania tej zagadki. Może na tym właśnie polega nasza wolność?**

**– Trochę mi to przypomina branie narkotyków – stwierdziłem. –**

**Każdy samodzielnie decyduje się na ich zażywanie. Kiedy już się znajdzie pod ich działaniem, nie ma szans na samodzielną decyzję.**

**– Może. Kto wie? – Havig zaczął się wiercić na krześle. W końcu zerknął raz jeszcze przez okno i nalał sobie drugą kolejkę. – Nie jestem pewien, czy znajdziemy jeszcze czas na takie filozoficzne dywagacje.**

**Ogary Wallisa są na moim tropie. Z pewnością nie zlekceważą żadnej wzmianki na mój temat. Jeżeli się czegoś dogrzebią, zaczną przynajmniej rutynowe sprawdzanie.**

**– To dlatego unikałeś mnie w ostatnich latach mojego życia?**

**– Właśnie. – Położył mi dłoń na ramieniu. – Dopóki żyła Kate...**

**Rozumiesz?**

**Pokiwałem głową.**

**– Wróciłem więc do 1965 roku – kontynuował pośpiesznie, skupiając się na suchych faktach. – Tej daty byłem mniej więcej pewien.**

**Następnie cofałem się w czasie w różne miejsca, zacierając ślady.**

**Włożyłem w to sporo wysiłku. Musiałem się upewnić, że moje działania będą na tyle skomplikowane, żeby Wallisowi nie opłacało się marnować indywidualnego czasu swoich agentów na prowadzenie śledztwa.**

**Działalem przez banki szwajcarskie i mnóstwo pośredników. Ostatecznie majątek Johna Haviga został rozdysponowany po całym świecie na różne nazwiska i firmy, które należą do mnie. Sam John Havig, nieśmiały playboy, wyjaśnił swoim prawnikom, że musi... Zresztą nieważne.**

**Wymyśliłem bajeczkę, która wyglądała jak przekręt finansowy. Bankierzy rozstawali się ze mną z ulgą, nie mając zamiaru poznawać szczegółów.**

**John Havig, którego znałeś, oficjalnie przestał istnieć. Nikt po nim nie płakał, bo jego jedynymi bliskimi w dwudziestym wieku byli matka i stary lekarz rodzinny, którym łatwo było przesłać czasami list lub kartkę pocztową.**

**– To wyjaśnia te wszystkie kartki do mnie – stwierdziłem. – Już zaczynałem się zastanawiać, czy to coś oznacza. A właściwie to gdzie się schowałeś?**

**– Po zatarciu wszystkich śladów, jakie udało mi się zidentyfikować, wróciłem do Konstantynopola.**

**\***

**W tym wypalonym kikucie perły Nowego Rzymu znowu zapanował porządek. Z początku żołnierze potrzebowali głównie wody i żywności. Oznaczało to ponowne sprowadzenie pracowników cywilnych i jakąś formę rządu. To z kolei pociągało za sobą konieczność zaprzestania**

traktowania cywilów jak robactwa. Później Baldwin I Flandryjski, który rządził miastem i okolicami, zapragnął od swoich poddanych czegoś więcej niż tylko zaopatrzenia wojska. Wkrótce jednak poszedł na wojnę przeciwko Bułgarom, został wzięty do niewoli i umarł. Jego brat i następca, Henryk I, kontynuował to dzieło. Katolicki król mógł Greków poniżać na każdym kroku, wyciskać z nich podatki, mógł nawet ich więzić i siłą wcielać do swojej armii. Najpierw jednak musiał im zapewnić minimum bezpieczeństwa i gwarancje pracy.

Zakonnice przestrzegały reguły nawet w stosunku do swoich gości. Dlatego Xenia mogła się spotkać z Havigiem jedynie pod uważnym spojrzeniem towarzyszącej jej siostry. Była ubrana w prostą suknię w kolorze brązu. Na głowie nosiła kornet z welonem i nie wolno jej było dotykać żadnego mężczyzny bez względu na wysokość darów, jakie złożył w zakonnym skarbcu. Widać było jednak jej wielkie oczy, a strój nie zdołał ukryć faktu, że dorosła i zaokrągliła się we właściwych miejscach. Ton jej głosu nie uległ zmianie, co sprawiło, że Havigowi przypomniały się szczęśliwe dni w ogrodzie domu jej ojca.

– Hauk! Kochany Hauk! – odskoczyła od niego, łapiąc zwisający na piersi krzyż. Potem uklękła na ziemi i zaczęła drżeć. – Ja... błagam o wybaczenie... świątobliwy.

Stara zakonnica wykrzywiła twarz w grymasie niezadowolenia i ruszyła w ich stronę. Havig powstrzymał ją gestem.

– Przestań, Xenia – powiedział. – Jestem takim samym śmiertelnikiem jak ty. Przysięgam. Wtedy działy się dziwne rzeczy. Może

**wyjaśnię ci je kiedyś. Ale uwierz, zawsze byłem tylko człowiekiem.**

**Przez chwilę szlochala.**

**– Tak się cieszę! To znaczy... pójdziesz do nieba po śmierci. Czyli**

**była zadowolona z faktu, że nie należy do nietykalnych świętych**

**Bizancjum.**

**– Jak się czuje matka? – spytał.**

**– Postanowiła wstąpić do klasztoru – wyszeptała ledwo słyszalnie. –**

**Błaga mnie, żebym uczyniła to samo. – Zacisnęła palce tak silnie, że aż**

**zbielały jej paznokcie. Patrzyła na niego z przerażeniem. – Mam to**

**zrobić? Czekałam na ciebie... żebyś mi powiedział...**

**\***

**– Nie zrozum mnie źle, doktorze. Siostry chciały dobrze. Reguła**

**zakonna była surowa, ale trzeba było brać pod uwagę niepewne czasy. Ich**

**zwierzchnicy, zarówno świeccy, jak i kościelni, byli katolikami. Mam**

**nadzieję, że możesz to sobie wyobrazić. Xenia kochała Boga i czytała**

**książki, ale jej dusza należała do klasycznego antyku, o którym śniła od**

**dzieciństwa. Nigdy nie miałem sumienia, żeby ją wyprowadzić z tego**

**błędu. Całe jej wychowanie było skierowane na poznawanie świata**

**zewnątrznego. Świat pełen nieustannych modlitw i życie w zamknięciu aż**

**do śmierci nie było jej przeznaczeniem. Tragedia, która ją spotkała, nie**

**odebrała jej przecież prawdziwego powołania, którym było zostanie**

**dzieckiem światła.**

**– No i co postanowiłeś?**

**– Znalazłem starsze małżeństwo, które zgodziło się nią**

**zaopiekować. Byli biedni, ale im pomagałem finansowo. Nie mieli własnych dzieci, więc tym bardziej ją pokochali. Poza tym mąż był skrybą, czyli miał pewne wykształcenie. A więc wszystko się dobrze układało.**

**– Ale chyba sprawdzałeś wszystko od czasu do czasu?**

**Havig przytaknął w milczeniu. Na twarzy pojawił mu się wreszcie uśmiech zadowolenia.**

**– Miałem kilka własnych projektów w toku – powiedział – ale i tak w ciągu kolejnego roku mojego życia, co dawało jakieś trzy lata jej życia, odwiedzałem ich od czasu do czasu. Robilem to coraz częściej.**

## **Rozdział 11**

**Płynął na pokładzie wielkiego trimaranu. Z wysokości mostka spoglądał na pięknie wypolerowany pokład z doskonale dobranego drewna, na którym luki wejściowe, bomby towarowe, silniki pomocnicze, baterie paneli słonecznych i olinowanie tworzyły doskonale zharmonizowaną całość. Brakowało wymyślnych okuć. Cywilizacja Mauraiów cierpiała na brak metali i rezerwowała je jedynie na najbardziej niezbędne do przetrwania cele. Kabiny były pokryte gontami. Bugenwille i datury ocieniały ich ściany. Na dziobie każdego z kadłubów umieszczono figurę jednego ze Świętej Trójcy, pośrodku stał Tanaora Stwórca w formie abstrakcyjnego symbolu; na sterburcie Lesu Haristi z krzyżem w dłoni; na bakburcie Nan z paszczą rekina, symbolizujący śmierć i ciemną stronę życia.**

**Budowniczy tego statku nie byli jednak barbarzyńcami. Potrójny kadłub został zaprojektowany z uwzględnieniem zasad hydrodynamiki.**

Trzy wielkie maszty w kształcie litery A dźwigały żagle, które zaprojektowano według najlepszych wzorców. Każdy z nich posiadał specjalne klapy regulowane komputerowo, sterowane silniczkami napędzanymi biologicznym paliwem. Załogę stanowiło sześciu ludzi, którzy nie wyglądali na przepracowanych. Kapitan Rewi Lohannaso miał tytuł inżyniera z Uniwersytetu Wellantoa z N'Zealann. Władał kilkoma językami, a jego ingliss nie był zlepkiem słów używanych przez prymitywne plemiona Mericanów, ale bogatym i precyzyjnym dialektem nieustępującym angielskiemu używanemu przez Haviga.

Był krępy ciemnoskórym mężczyzną ubranym w sarong. Chodził boso. Mówił powoli, by zrozumieli go pasażerowie, którzy dopiero uczyli się współczesnego języka.

– Kiedy upadła cywilizacja maszyn, staraliśmy się zachować wiedzę.

Naszym celem było znalezienie nowych sposobów jej wykorzystania w świecie, który został skażony i pozbawiony surowców. Nie do końca nam się to udało, ale wiele osiągnęliśmy i wierzę, że wiele jest jeszcze przed nami.

Ocean mienił się kolorami. Od błękitu, turkusowego, czystej zieleni po krystaliczny połysk. Fale przetaczały się dostojnie, czasami się załamując o burty. Słońce oświetlało żagle i skrzydła unoszącego się nad nimi albatrosa. Stado wielorybów majestatycznie pojawiło się na horyzoncie. Wiatr nie gwizdał w uszach, ponieważ wiał od rufy, ale czuć było zapach soli i chłodniejsze powiewy na rozgrzanej skórze. Na pokładzie młody marynarz zaczął grać na bambusowym flecie smętną melodyjkę, a jakaś

**dziewczyna zaczęła tańczyć. Widok ich nagich ciał działał jakoś uspokajająco.**

**– Właśnie dlatego dokonałeś wielkiej rzeczy, bracie Tomaszu – stwierdził Lohannaso. – Będą się radować na twoje przybycie... – Zawahał się na chwilę. – Nie wzywałem przez radio samolotu, żeby szybciej dowieść do federacji ciebie i twoje towary, bo admiralicja mogłaby się poczuć obrażona. Mówiąc szczerze, sterowce są szybsze, ale mniej bezpieczne niż statki. Mają słabe silniki i ich katalizatory paliwa wodorowego są w stadium doświadczalnym.**

**( – Sądzę, że ta podróż uświadomiła mi prawdziwą naturę cywilizacji Mauraiów – powiedział Havig, kiedy znów się spotkaliśmy. – Byli... nie będą zacofanymi fanatykami. Wprost przeciwnie. Za maską ich uprzejmości kryła się większa wiara w potrzebę rozwoju, niż obserwujemy w dzisiejszych Stanach Zjednoczonych. Nie będą mieli paliwa do samolotów. Przynajmniej w początkowym stadium rozwoju. Brakować im będzie także helu do sterowców. Trwoniliśmy wszystko, co nam wpadło w ręce).**

**– Twoje odkrycie czekało ładnych kilkaset lat – mówił dalej Lohannaso. – Nic się nie stanie, jeżeli poczeka jeszcze kilka tygodni, zanim dotrzemy do Wellantoa.**

**( – Skoro postanowiłem zbadać dokładnie kulturę Mauraiów, sprawdzić, w jakim stopniu Wallis kłamał, a co było wynikiem jego uprzedzeń, musiałem jakoś między nich wejść. Najpierw zacząłem więc sprawdzać rozwój początków tej cywilizacji, ale potem należało zająć się**

szczegółami. Mogłem z łatwością udawać Mericana. Mój angielski również nie wzbudzał podejrzeń, ponieważ z upływem stuleci nasz język podzielił się na setki dialektów. Pozostawało znaleźć odpowiedź na najważniejsze pytanie: dlaczego mieli się zainteresować kolejnym barbarzyńcą. Nie mogłem udawać, że pochodzę z jakiegoś bardziej cywilizowanego rejonu, bo handlowali, z kim się dało... I wreszcie wpadłem na właściwy pomysł. – Havig się uśmiechnął. – Nigdy nie zgadniesz, doktorze! Poprzez swoje kontakty w dwudziestym wieku zakupiłem mnóstwo izotopów, jak na przykład węgiel C14. Ukryłem je w bezpiecznym miejscu, bo przecież ich rozpad musiał się pokrywać z realnym upływem czasu, i przenieśliem się w przyszłość. Tam stałem się bratem Tomaszem z jakiegoś starego centrum w środkowych stanach, który zachował częściową wiedzę o świecie. Następnie odkryłem to składowisko i zdecydowałem, że powinni je otrzymać Mauraiowie...

Proste? Ich głównym obszarem badań była biologia, oczywiście, ponieważ Ziemia była w potwornym stanie, a życie jest naturalnym przetwornikiem energii słonecznej. Oni nie mieli reaktorów atomowych, w których mogliby sami wytwarzać potrzebne izotopy. Moje „znalezisko” potraktowali jako dar niebios).

– Myślisz, że pozwolą mi studiować? – zapytał niepewnie Havig. –

To byłaby wielka sprawa dla mojego ludu i dla mnie samego. Ale jestem obcym...

Lohannaso objął go ramieniem, jak to było w zwyczaju Mauraiów.

– Nigdy w życiu, przyjacielu. Po pierwsze, jesteśmy handlowcami.



**Zawsze płacimy za otrzymany towar, a ten akurat jest bezcenny. Po drugie, pragniemy, żeby wszyscy korzystali z naszej wiedzy i cywilizacji. Chcemy, żeby nasi sojusznicy również mieli własnych naukowców i techników.**

**– Naprawdę chcecie nawrócić całą ludzkość?**

**– Co za pomysł? Jeżeli chcesz przez to powiedzieć, że pragniemy, żeby każdy stał się kopią nas samych, to nie. W żadnym razie. Nie jestem w parlamencie ani w admiralicji, ale śledzę dyskusje i czytam filozofów. Jednym z problemów starej cywilizacji było to, że zmuszała wszystkich ludzi do stawania się podobnymi do siebie. Nie tylko doprowadziło to do upadku tej cywilizacji. Tam, gdzie się udało ulepić wszystkich na jedną modłę, doszło do jeszcze większej katastrofy. – Lohannaso walnął pięścią w reling. – Człowieku! Potrzebujemy różnorodności. Jak największej i niepohamowanej. – Potem się zaśmiał. – W pewnych granicach oczywiście. Na przykład należy pozbyć się piratów. Ale poza tym... chyba za bardzo mnie poniosło. Już prawie południe. Muszę wziąć namiar i trochę policzyć. Potem wachtę przejmie Terai, a my zjemy razem lunch. Nie będziesz niczego wiedział o prawdziwym życiu, dopóki nie skosztujesz mojego piwa.**

**( – Spędziłem ponad rok wśród Mauraiów – powiedział mi Havig. –**

**Bardzo pragnęli szerzyć wiarę, więc obdarzyli mnie dokładnie taką wiedzą, której potrzebowałem. Byli mili i weseli. Mieli oczywiście swoją działkę wyrzutków, przegranych i ubóstwa. Patrząc jednak obiektywnie, federacja w tym okresie była wspaniałym miejscem do życia.**

Nie odnosiło się to do reszty świata. Ani do przeszłości. Przenosiłem się w czasie do dwudziestowiecznych Wellington i Honolulu. Zbierałem plany Istambułu i odwiedzałem Xenię. W końcu zacząłem ograniczać te wizyty, zwłaszcza w przyszłości, i wróciłem do Konstantynopola. Xenia miała wtedy osiemnaście lat. Pobraliśmy się).

\*

Niewiele mi opowiadał o swoim pięcioletnim pożyciu z Xenią.

Więcej im nie dano być razem. Cóż, ja także nikomu nie zwierzałem się z tego, co naprawdę było między mną a Kate.

Wspominał jednak o kilku aspektach praktycznych. Składały się na nie trzy sprawy. Zapewnienie godziwego życia, wtopienie się w środowisko, do którego przywykła, i ukrycie się przed zemstą Orlego Gniazda.

Pierwsza sprawa była najłatwiejsza, chociaż wymagała wielkiego wysiłku. Nie mógł po prostu prowadzić jakiegoś interesu, bo w tamtych czasach wszystkim rządziły gildie, monopole i skomplikowane przepisy.

Nie mówiąc już o tym, że mimo braku telefonów, radia i poczty elektronicznej plotki rozchodziły się z szybkością błyskawicy. Kosztowało go naprawdę wiele wysiłku stworzenie sobie odpowiednio wiarygodnej przykrywki. Zaczął się podawać za agenta świeżo utworzonej grupy duńskich kupców, który skupiał się bardziej na obserwowaniu rynku niż na działalności handlowej. W ten sposób nie stwarzał zagrożenia dla istniejących struktur. Pieniądze nie stanowiły problemu, ponieważ zawsze mógł je zdobyć dzięki podróżom w czasie. Musiał mieć jednak

**jakieś logiczne wytłumaczenie na ich pochodzenie.**

**Druga sprawa była bardziej złożona. Zastanawiał się nawet nad przeniesieniem gdzieś dalej. Do Rosji czy do Europy Zachodniej. Myślał o Nikai, gdzie panowali władcy bizantyjscy, którzy z czasem mieli odzyskać Konstantynopol. Było tam jednak zbyt niebezpiecznie. Z jednej strony nadciągały hordy Tatarów, z drugiej Świąta Inkwizycja. Mimo zubożenia i podboju, miasto, w którym miał obecnie siedzibę, dawało mu takie same możliwości co inne rejony Orientu. Poza tym tutaj Xenia znalazła środowisko, mogła się spotykać z przyjaciółmi i odwiedzać matkę. Zresztą gdziekolwiek by się przeprowadzili, i tak każde z nich byłoby naznaczone. Ona jako Bizantyjka i chrześcijanka, a on trochę gorzej. Z powodu tego maskowania zmuszeni byli kupić sobie dom w Perze, gdzie mieszkali wszyscy cudzoziemcy. Pera leżała na przeciwnym brzegu Złotego Rogu, ale liczne promy łączyły ją z Konstantynopolem.**

**Co do trzeciej sprawy, to starał się nie być ani zbyt aktywny, ani podejrzanie spokojny. Przybrał nowy pseudonim: Jon Andersen. Nauczył Xenię, żeby teraz tak się do niego zwracała nawet prywatnie i nigdy nikomu nie opowiadała o przeszłości. Na szczęście jego katoliccy znajomi się nią nie interesowali. Dziwili się jedynie, dlaczego Ser Jon złamał sobie karierę, poślubiając heretyczkę, i to Greczynkę zamiast wziąć ją sobie na konkubinę.**

**– Ile prawdy jej powiedziałaś? – zainteresowałem się.**

**– Ani słowa. – Uniósł brwi. – Bolało mnie, że ją oszukuję. Ale dla jej bezpieczeństwa nie powinna znać prawdy. Zawsze była łatwowierna. I tak**

**miałem trudności z przekonaniem jej do zmiany imienia i nazwiska.**

**Musiałem jej wmówić, że to dla dobra moich interesów z Duńczykami.**

**Zaakceptowała moje tłumaczenia, kiedy się zorientowała, że będąc z nią, o niczym innym nie myślę. Bo to była prawda.**

**– A jak się wytłumaczyłeś z akcji ratunkowej?**

**– Powiedziałem, że gorąco się modliłem do swego świętego, który odpowiedział na moje modlitwy w piorunujący sposób. Jej pamięć o tych zdarzeniach była na szczęście zamglona przerażeniem i nie chciała wierzyć w nic innego. – Skrzywił się ze smutkiem i dodał: – Bolało mnie również, kiedy patrzyłem, jak zapala świeczki i modli się o dziecko, którego przecież nie mogła mieć.**

**– Mhm. À propos religii. Przeszła na katolicyzm czy ty nawróciłeś się na jej wiarę?**

**– Nie. Nie prosiłem jej o nic. Nikt nie był bardziej szczery niż ona.**

**Dla mnie to by była zwykła sprawa, ale musiałem dbać o reputację w oczach Włochów, Normanów i Franków. Inaczej nie moglibyśmy mieszkać obok nich. Znalazłem miejscowego księdza, który odprawił ceremonię według obrządku wschodniego. Potem za drobną łapówkę uzyskałem dyspensę od katolickiego biskupa. Xeni było wszystko jedno. Miała swoje zasady, ale była tolerancyjna. I nie wierzyła, że spalę się w piekle, skoro już raz mój święty odpowiedział na moje wezwanie. Poza tym była nieprzytomnie szczęśliwa. – Uśmiechnął się z rozmarzeniem. – Ja również. Na początku, ale i później.**

**Ich dom był skromny, lecz powoli udało jej się go urządzić i udekorować ze smakiem, który odziedziczyła po ojcu. Z dachu można było oglądać kipiącą życiem Perę i statki płynące przez Złoty Róg. W oddali wznosiły się mury, wieże i kopuły Konstantynopola, który z tej odległości wydawał się nietknięty. Po przeciwnej stronie widoczne były tereny wiejskie, gdzie uwielbiała jeździć na pikniki.**

**Mieli trójkę służących. Niewiele – w dobie obfitości siły roboczej i niskich płac. Havig zadowolił się własnym lokajem, który był łobuzerskim Kapadocjańczykiem ożenionym z ich kucharką. Xenia rozpieszczała ich dzieci. Pokojówki ciągle się zmieniały, zajmując mnóstwo uwagi młodej żonie. Często zapominamy, że współczesne urządzenia uwalniają nas nie tylko od fizycznej pracy. Xenia sama zajmowała się ogrodem, dopóki patio i niewielki placzyk za domem nie zamieniły się kwiatowe cudeńko. W wolnych chwilach szyla, do czego miała niesłychany talent, i czytała książki przynieszone przez męża. Sporo czasu poświęcała też przesądom i zabobonom.**

**– W Bizancjum znalazłbyś wszystkie możliwe przesady – stwierdził Havig. – Co tylko ci przyjdzie do głowy, oni już na pewno to znali. Magia, przepowiadanie przyszłości, ochrona przed czarami, przed duchami, przed chorobą, znaki wróżebne, medycyna magiczna, napary miłosne... Pasją Xeni była astrologia. Cóż, nikomu to nie szkodziło. Wychodziliśmy często nocą obserwować gwiazdy. Ona miała wiele rozsądku przy interpretacji horoskopów. Łatwiej było to robić bez latarni i smogu. A nocą wyglądała jeszcze piękniej niż za dnia. Boże, jak musiałem walczyć**

ze sobą, żeby nie sprowadzić jej jakiegoś teleskopu. Niestety, zbyt bym ryzykował.

– Dokonałeś i tak niesamowitej rzeczy. Udało ci się zniwelować przepaść intelektualną między wami – stwierdziłem.

– To nic nadzwyczajnego, doktorze – stwierdził z rozmarzeniem. –

Była młodsza o jakieś piętnaście lat, jeżeli dobrze policzyłem. Nie miała pojęcia o wielu sprawach, które były dla mnie oczywiste, ale to działało w obie strony, pamiętaj o tym. Ona знаła wszystkie niuanse największej metropolii w historii ludzkości. Znała ludzi, zwyczaje, tradycje, budowle, sztukę, książki, pieśni. Czytała grecką klasykę, o której wiemy tylko z przekazów, bo została zniszczona w różnych wojnach. Wieczorami recytowała mi Ajschylosa, Sofoklesa, Safo i Arystofanesa, aż zapadła ciemna noc. Kiedy już wiedziałem, czego szukać, często kupowałem jej te tytuły „na bazarze”, cofając się w odpowiednią przeszłość.

Zamilkł na chwilę, a ja spokojnie czekałem.

– Życie codzienne było wspaniałe – stwierdził wreszcie.

– Kiedy kończyłeś przyjmować w gabinecie, to interesowałeś się sprawami Kate, prawda? Poza tym – odwrócił wzrok – chodziło o nas.

Wciąż byliśmy zakochani. Ona miała zwyczaj śpiewać podczas prac domowych. Kiedy wracałem i prowadziłem konia do stajni, słyszałem jej głosik, który stawał się nagle jeszcze bardziej radosny.

W zasadzie obydwójce nie lubili się udzielać towarzysko. W celu podtrzymania swojej przykrywki musiał od czasu do czasu urządzać przyjęcia dla zachodnich kupców albo na nie chodzić. Nie przeszkadzało

mu to. Kupcy byli porządnymi ludźmi jak na tamte czasy i potrafili ciekawie opowiadać. Xenia jednak czuła się przy nich obco. Na szczęście nikt od niej nie oczekiwał zachowania typowego dla dwudziestowiecznej pani domu.

Kiedy odwiedzali ich jej starzy przyjaciele, wtedy dopiero błyszczała. Było to możliwe, ponieważ Jon Andersen, jako reprezentant odległego kraju, musiał zbierać informacje, skąd się dało, nie tylko z Wenecji czy z Genui. Sam zresztą lubił tych gości. Uczonych, kupców, artystów, rzemieślników, kapłana Xeni, emerytowanego kapitana statku, dyplomatów i kupców z Rusi, Żydów różnego pochodzenia, a czasami Turków czy Arabów.

Musiał wyjeżdżać. Lubił odmianę, którą niosły ze sobą podróże, ale nienawidził tracić cennych chwil z Xenią. Jego nieobecności były niezbędne w podtrzymaniu pozorów. W tamtych czasach biura organizowano z reguły we własnych domach, ale interesy Jona Andersena wymagały od niego częstych podróży nie tylko do miasta, ale również krótkich wypraw lądowych lub morskich do innych krajów.

– Podróży nie mogłem unikać. Poza tym od czasu do czasu każdy, choćby nie wiem jak szczęśliwy, potrzebuje chwili samotności. Głównie jednak podróżowałem w przyszłość. Nie miałem pojęcia, dalej nie wiem, po co. Czulem jednak jakiś przymus odkrycia prawdy. Najpierw więc wracałem do Istambułu, gdzie miałem fałszywe dokumenty i spory rachunek bankowy. Stamtąd leciałem w okolice, które mnie interesowały, i przenosiłem się w przyszłość. Wciąż badałem Federację Mauraiów i ich

**cywilizację. Jej wzrost, schylek, upadek i to, co nastąpiło później.**

**\***

**Nad wyspą szybko zapadał zmrok. Poniżej zwieńczających ją wzgórz  
ziemia była pogrążona w ciemnościach rozświetlanych latarniami  
migoczącymi przed domami rybaków. Tylko morze wciąż jeszcze  
połyskiwało srebrzyście. Jasna plama na tle królewskiego błękitu  
widocznego jeszcze na zachodzie, gdzie leżała Azja, ukazywała konary  
stuletnich sosen ukształtowanych przez wiejące tu wiatry w fantastyczne  
bonsai, przez które prześwitywała Wenus. Na werandzie domu Carela  
Keajimu unosił się mdlawy dym kadzidła. Na gałęzi siedział ptak i  
wyśpiewywał swoje trele, które ludzie czasami próbowali naśladować.  
Ten ptak nie musiał siedzieć w klatce, bo miał dla siebie cały las.**

**– Chyba doszedłem do kresu – mruknął stary człowiek. – Umieranie  
boli. Nasi przodkowie byli mądrzy, zrównując w mitach Nana i Lesu.  
Wieczność byłaby nie do zniesienia.**

**Śmierć otwiera nowe możliwości dla ludzi, ale także dla człowieka.**

**– Zamilkł na chwilę, rozkoszując się obecnością przyjaciela. – To, co mi  
powiedziałeś, sprawia, że zaczynam się zastanawiać, czy nie odcisnęliśmy  
naszego piętna zbyt głęboko.**

**( – Śledziłem jego losy od początku do końca – powiedział mi Havig.**

**– Zaczynał jako błyskotliwy filozof w administracji państwowej. Skończył  
jako stary polityk, który wycofał się z życia publicznego i poświęcił  
filozofii. Wtedy postanowiłem, że może się on stać drugim po tobie  
śmiertelnikiem, któremu odważę się zaufać.**



**Sam wiesz, że nie jestem mędrce. Potrafię podróżować w czasie i zbierać informacje, ale czy umiem je zinterpretować poprawnie? Czy w ogóle je rozumiem? Skąd mam wiedzieć, co powinno się zrobić, a co można zrobić? Pędziłem przez setki lat różnych epok, ale Carelo Keajimu żył, pracował i głęboko wszystko przemyślał w ciągu dziewięćdziesięciu lat życia. Potrzebowałem jego pomocy).**

**– Czyli uważasz, że któryś element waszej kultury zbyt silnie oddziałuje na następne pokolenie? – zapytał Havig.**

**– Z tego, co mi opowiedziałeś, tak to właśnie wygląda. – Jego gospodarz pogrążył się w zadumie. Na szczęście niezbyt dłużej. – Czy nie odniosłeś wrażenia jakiejś dziwnej dychotomii... w tej twojej przyszłości... pomiędzy dwiema koncepcjami, które nasza filozofia starała się utrzymać w równowadze?**

**Nauka, racjonalność, planowanie i kontrola. Mit o uwolnionej psyche, człowiek jako integralna część ekosystemu, który staje się nadrzędny nad zwykłą ludzką wiedzą i mądrością.**

**– Z twojej opowieści wynika, że obecny zachwyty nad maszynami stanowi chwilowe szaleństwo. Zwykłą reakcją na przeszłość. Choć niepozabawioną podstaw. My, Mauraiowie, staliśmy się zbyt apodyktyczni. Gorzej. Zaczęliśmy uważać się za nieomylnych. Zamieniliśmy ideały, które ongiś były słuszne, w monopolistycznego idola. Tym samym pozwoliliśmy, żeby wszystko, co dawniej było dobre, legło w gruzach. W imię zachowania kulturalnej różnorodności pozwalaliśmy, żeby całe narody zastygały w swoim rozwoju na różnych etapach cywilizacyjnych.**

**Od po prostu osobliwych po niebezpieczne anachronizmy. W imię ratowania równowagi ekologicznej zabranialiśmy badań, które mogły nas doprowadzić do gwiazd. Dlatego nie powinniśmy się dziwić, że**

**Ruwenzoryanie zaczęli otwarcie budować elektronicznie termojądrowe.**

**Podobnie jak nie powinniśmy się dziwić, że nie potrafimy ich**

**powstrzymać,**

**skoro**

**nasz**

**własny**

**naród**

**zaczyna**

**okazywać**

**niezadowolenie. Ponownie zamyślił się, szukając słów.**

**– Z twojego raportu, Jack, wynika, że to jest tylko spazm historii.**

**Później większość ludzkości odrzuci podejście naukowe, nawet samą**

**naukę i zachowa jedynie jej elementy konieczne do podtrzymania**

**cywilizacji. Ludzie zamkną się jeszcze bardziej w sobie, staną się**

**mistykami, myślicielami, zaczną szukać oświecenia u mędrców, którzy z**

**kolei będą szukać natchnienia w głębi swoich dusz. Dobrze cię**

**zrozumiałem?**

**– Nie wiem – stwierdził Havig. – Odnoszę takie wrażenie, ale to**

**tylko wrażenie. Mam problemy ze zrozumieniem ich języka. Kilku**

**dialektów nie potrafię odszyfrować w ogóle. Nigdy nie miałem dość czasu,**

**żeby któregoś nauczyć się biegle. Wiele lat zajęło mi zrozumienie waszej**

federacji. Tamci ludzie w przyszłości są jeszcze trudniejsi do zrozumienia.

– I paradoksy wydają się głębsze dzięki kontrastom, które widziałeś  
– pokiwał głową Keajimu. – Dziwne spirale wydzielające tajemniczą energię pośród zwykłych pól uprawnych. Bezgłośnie poruszające się po niebie ogromne statki, które wyglądają, jakby je zbudowano z pól silowych, a nie z metali. No i... te symbole na postumentach pomników i w książkach, które uruchamiają się od ruchu dłoni... to przerasta twoje rozumienie... Mam rację?

– Właśnie – przyznał Havig. – Carelo, co mam teraz zrobić?

– Sądzę, że jesteś na etapie, w którym powinieneś się zastanowić nad tym, czego się musisz nauczyć.

– Carelo, jestem tylko człowiekiem. Próbuję poznać historię tysiąca lat. Nie jestem w stanie! Mam dziwne przeczucie, że ludzie z Orlego Gniazda mogli przyczynić się do powstania tych dziwnych maszyn... A jeżeli mam rację?

– Uspokój się. – Keajimu dotknął delikatnie jego ramienia. – Jeden człowiek nigdy nie może wiele zrobić. Wystarczy, żeby to, co robi, było słuszne.

– Ale co jest słuszne? Czy ta przyszłość jest wynikiem tyranii? Może jakaś grupka przejęła technologię, która zdominowała te wyniosłe, choć bierne umysły pogodzone z faktem, że Ziemia jest wyjałowiona? Co można zrobić, jeżeli okaże się to prawdą?

– Jestem politykiem, choć na emeryturze – stwierdził Keajimu

smutnym głosem, który zwykle wyrывał Haviga z depresji. – Obawiam się, że zapomniałeś o bardziej przyziemnych możliwościach. Zwykły despotyzm jest do przeżycia, bo zawsze kiedyś się kończy. Zapominasz, że my, Mauraiowie, mogliśmy pozostawić po swoich badaniach nad biologią o wiele gorszą spuściznę.

– Co? – Havig rzeczywiście się obudził z odrętwienia.

– Zaostrzony metal może służyć do rozgarniania żaru albo do zadawania ran – oznajmił Keajimu. – Materiały wybuchowe mogą oczyścić drogę ze spiętrzonych skał albo z niewygodnych ludzi.

Narkotyki... cóż, to jest zagadnienie, które zaprzęta umysły naszego rządu na supertajnych naradach. Opracowano narkotyki, które działają nie tylko stymulująco, czy halucynogennie. Pod ich wpływem człowiek zaczyna wierzyć we wszystko, co mu się wmówi. Zupełnie jak we śnie, kiedy umysł tworzy złudzenie kolorów, dźwięków, szczęścia czy strachu, przeszłości lub przyszłości... Zastanawiamy się, do jakiego stopnia możemy stosować ten preparat w celu uspokojenia naszych najgorszych rebeliantów. I prawie się cieszę z wiadomości, że hegemonia federacji upadnie, zanim ten problem stanie się powszechnie znany. Oznacza to, że sytuacja w przyszłości nie powstała z naszej winy. – Keajimu pochylił się do Haviga. – Ale ty, mój biedny podróżniku w czasie, musisz wybiegać myślami o wiele dalej niż marne sto lat do przodu. Dzisiaj wieczorem zapomnij o tym. Obserwuj gwiazdy, wachaj kadzidło, wsłuchaj się w śpiew ptaków, poczuj zapach bryzy. Stań się jednością z Ziemią.

**Siedziałem samotnie za biurkiem w swoim domku w Senlac. Był**

**listopad 1969 roku, noc wyjątkowo pogodna i nadzwyczaj mroźna. Na szybach utworzyły się lodowe kwiaty. Z adaptera rozbrzmiewała symfonia Mozarta. Czytałem wiersze Yeatsa. W zasięgu ręki stała szklaneczka whiskey i czasami przypominało mi się pod wpływem tych wierszy coś miłego. Ogólnie było to miłe zajęcie dla starego człowieka.**

**Nagle ktoś zapukał do drzwi. Mruknąłem do siebie mało cenzuralne słowo i wstałem, żeby otworzyć. Po drodze układałem sobie jakąś ważną wymówkę, żeby pozbyć się intruza. Na dodatek pod nogami zaczął mi się plątać kot i o mało się nie przewróciłem. Trzymałem tego przekłętego kota jedynie dlatego, że był ulubieńcem Kate. Kiedy umarła, był jeszcze młody, a teraz jego żywot dobiegał już końca...**

**Otworzyłem drzwi i zaraz owiał mnie mróz. Przed domem stał mężczyzna trzęsący się z zimna, ponieważ był w stroju zupełnie nieodpowiednim na tę porę roku. Średniego wzrostu, szczupły, jasnowłosy, o kanciastych rysach. Trudno było kreślić jego wiek, chociaż twarz miał pobrużdżoną zmarszczkami. Mimo że pięć lat tego człowieka nie widziałem, nie mogłem go nie rozpoznać.**

**– Jack! – krzyknąłem i poczułem niepokój.**

**Wszedł do środka, zamknął drzwi i oznajmił cicho, bez emocji:**

**– Doktorze, musisz mi pomóc. Moja żona umiera.**

**Rozdział 12**

**– Dreszcze i gorączka, ból w klatce piersiowej, kaszel, lepka czerwona flegma... wygląda na płatowe zapalenie płuc – stwierdziłem. – Niepokoją**

mnie bóle głowy, pleców i sztywnienie szyi. To z kolei wskazuje na zapalenie opon mózgowych.

– Co można zrobić? – Havig siedział zniecierpliwiony na brzegu krzesła. – Są jakieś antybiotyki?

– Owszem. Niezbyt mi się podoba przepisywanie leków pacjentowi, którego nie widziałem, i pozostawienie leczenia w rękach laika.

Wolałbym, żeby ją umieszczono pod namiotem tlenowym.

– Mogę to sprowadzić... – zaczął i natychmiast popadł w desperację.

– Nie. Butla z gazem jest za ciężka.

– Xenia jest młoda – pocieszałem go. – Streptomycyna powinna dać sobie radę. – Wstałem i poklepałem go po plecach. – Spokojnie, synu, masz dość czasu. Możesz przecież wrócić natychmiast po tym, jak zniknąłeś.

– Tego właśnie nie jestem pewien – wyszeptał i dopiero wtedy opowiedział mi całą historię.

W trakcie tej opowieści sam zacząłem się bać i może to nieco zaciemnić moją opowieść. Dziesięć lat wcześniej, rozmawiając z jakimś pisarzem z Kalifornii, nie potrafiłem się powstrzymać i wspomniałem mu o Mauraiach, o których usłyszałem od Haviga. Ich kultura mnie fascynowała, mimo że niewiele w sumie wiedziałem. Sądziłem, że ten człowiek,

doświadczony

w

pracy

wyobraźnią,

będzie

potrafił

zinterpretować część zagadek, które mnie nurtowały. Nie muszę wspominać, że mówiłem o tym jak o wymyślonym świecie. Faktem jest, że mu o tym opowiedziałem, a kiedy spytał, czy może to wykorzystać w swoich książkach, wyraziłem zgodę.

– Napisał te książki – wyznałem ze wstydem. – W jednej z nich przewidział nawet, że Mauraiowie przeprowadzą tajną operację, żeby zniszczyć nielegalny reaktor jądrowy. A jeżeli agenci Orlego Gniazda potraktowali to jako ślad?

– Masz tę powieść? – spytał Havig.

Przyniosłem książkę, którą zaczął natychmiast przeglądać.

– Nie sądzę, żeby trzeba było się tym przejmować – powiedział wreszcie, a jego twarz się rozluźniła. – Pozmieniał imiona i inne szczegóły. Luki w twojej opowieści wypełnił własnymi pomysłami, w większości nietrafionymi. Każdy, kto zna przyszłość, uzna to za przypadkową zbieżność, która się często zdarza. – Zaśmiał się nerwowo.

– To prawo wielkich liczb... Wątpię jednak, żeby ktoś to czytał. Te książki nigdy nie miały wielkich nakładów i szybko popadały w zapomnienie.

Agenci Wallisa nie będą przecież czytać wszystkich powieści, które powstały w różnych epokach. Nikt nie jest w stanie tego zrobić. – Milczał przez moment. – To nawet jest pocieszające – stwierdził. – Może stałem się zbyt podejrzliwy. Zwłaszcza tej nocy. Skoro do tej pory nic złego nie

**spotkało ani ciebie, ani twoich bliskich, to nie sądzę, żeby ci coś groziło.**

**Prawdopodobnie sprawdzali cię, ale musieli uznać, że jesteś bez znaczenia dla mojego dorosłego „ja”. Dlatego właśnie tak długo cię nie odwiedzałem. Chciałem się upewnić, że będziesz bezpieczny... Tamten drugi Anderson... cóż, nigdy go nie spotkałem... to tylko pośrednik.**

**Znowu zapadła dłuższa cisza.**

**– Nie próbowali mnie dopaść również przez mamę. Żadnych pułapek z tamtej strony. Uważają chyba, że to jest zbyt oczywiste. Albo zbyt ryzykowne w epoce, której dobrze nie znają. Albo wymyślili coś zupełnie innego, a takie działania uznali za niewarte wysiłku. Ale teraz musisz mi pomóc.**

**– Dlaczego przyszedłeś z tym do mnie? – zapytałem po chwili zastanowienia. – Ci Muraiowie muszą mieć bardziej zaawansowaną medycynę.**

**– Owszem. Zbyt zaawansowaną. Bardzo rozwinęli profilaktykę. Uważają lekarstwa za środek pierwszej pomocy. Dlatego doszedłem do wniosku, że na chorobę Xeni ty będziesz lepszy.**

**Podrapałem się po brodzie. Miałem sztywny zarost, który wydawał dziwne dźwięki przy pocieraniu.**

**– Zawsze uważałem, że są jakieś granice chemioterapii – mruknąłem. – Strasznie chciałbym wiedzieć, jak sobie radzą z wirusami.**

**– Dobra. Daj mi te ampulki i strzykawki – powiedział Havig ze zniecierpliwieniem. – Muszę już zmykać.**

**– Spokojnie. Bez paniki – odparłem. – Pamiętaj, że już jakiś czas nie**



praktykuję. Nie trzymam antybiotyków w domu. Musimy poczekać, aż otworzą aptekę. Jeszcze nie odchodź. Potrzebuję chwili na sprawdzenie kilku rzeczy. Może lepszy będzie inny antybiotyk. Streptomycyna czasem wywołuje skutki uboczne, z którymi sobie nie dasz rady. Poza tym potrzebujesz kilku wyjaśnień. Założę się, że nigdy nie robiłeś zastrzyku ani nie opiekowałeś się chorym. No i przyda nam się odrobina scotcha i długi sen.

– Ale Orle...

– Spokojnie! – powiedziałem do tego twardego człowieka, który z powrotem zmieniał się w zdesperowanego dzieciaka. – Właśnie mi wyjaśniłeś, że te bandziory przestały się mną interesować. Gdyby widzieli, jak do mnie wchodzisz, już byłoby tu piekło, prawda?

– Chyba tak – przyznał.

– Podoba mi się, że dbasz o mnie, ale lepiej by było, gdybyś skontaktował się ze mną na samym początku choroby twojej żony.

– Wiem... ale myślałem, że to zwykłe przeziębienie. Oni są bardziej wytrzymali niż my dzisiaj. Dzieciaki umierają jak muchy. Rodzice zaczynają je naprawdę kochać, dopiero kiedy przeżyją pierwszy rok albo i dwa. Z tego samego powodu ci, którzy dorośli, są bardziej odporni na wszelkie choroby. Xenia dała się położyć do łóżka dopiero wczoraj...

– Sprawdzales jej osobistą przyszłość?

– Nie miałem odwagi – przyznał, walcząc ze zmęczeniem.

Nigdy się nie dowiem, czy jego strach przed sprawdzaniem przyszłości Xeni był uzasadniony. Czy niewiedza uratowała jego wolność,

czy jedynie jego iluzje wolności? Wiem tylko, że spędził u mnie kilka dni, regenerując siły i ćwicząc robienie zastrzyków, aż się upewniłem, że będzie potrafił je zrobić swojej żonie. Na koniec pożegnał się ze mną i żaden z nas nie był pewien, czy jeszcze się kiedykolwiek spotkamy. Odjechał wynajętym samochodem na lotnisko i wsiadł do samolotu lecącego do Istambułu. Stamtąd ruszył do przeszłości razem z moimi lekami. I został schwytany przez ludzi z Orlego Gniazda.

\*

Stało się to również w listopadzie, tylko 1213 roku. Havig wybrał ten właśnie miesiąc w 1969 roku, ponieważ uważał, że jego wrogom trudno będzie pilnować wtedy mojego domu. W okolicach Złotego Rogu nie było tak zimno, jednak wiał silny wiatr, niosąc ze sobą chmury deszczowe znad Morza Czarnego. W domach stały jedynie koksowniki, ogrzewanie piecowe było zbyt drogie w tym klimacie i w tych niepewnych czasach. Xenia drżała z zimna dzień po dniu, aż wreszcie zarazki rozwinęły się w jej płucach na dobre.

\*

Havig często zmieniał swoją siedzibę w Istambule. Zarówno w czasie, jak i przestrzeni. Jako dodatkowe zabezpieczenie zawsze się starał, żeby znajdowała się jak najdalej od jego domu w Konstantynopolu. Dlatego teraz musiał płynąć rozwalającym się promem na drugi brzeg i potem iść pieszo po opustoszałych uliczkach kawał drogi. Na lewym ramieniu zawiesił sobie chronolog, w prawej ręce trzymał walizeczkę z lekami. Z szarawego nieba zaczęły padać wielkie krople deszczu,

wkrótce ubranie zaczęło mu się lepić do ciała. Na ulicy brzmiały jedynie odgłosy jego kroków. Rynsztoki splywały wodą. W półmroku dostrzegł swoje „ja” biegnące do promu. Na szczęście był wtedy zbyt zdenerwowany, żeby zwracać na cokolwiek uwagę. Uznał, że nie będzie go w domu zaledwie kwadrans. Mimo że była dopiero trzecia po południu, na dworze zaczęło się ściemniać.

Drzwi zastał zamknięte, podobnie jak okiennice. Przez szczeliny przedostawało się światło lampek olejnych.

Zapukał, spodziewając się, że aktualna pokojówka, nazywała się chyba Eulalia, otworzy przed nim drzwi. Pewnie się zdziwi, widząc go tak szybko z powrotem. Trudno, niech się dziwi.

Szczęknęła zasuwka i błysnęło światło ze środka. W drzwiach stanął brodaty mężczyzna ubrany jak Bizantyjczyk. W ręku trzymał potężną strzelbę z uciętą lufą.

– Nie ruszaj się, Havig – rzekł po angielsku. – Nie próbuj uciekać.

Pamiętaj, że mamy twoją kobietę.

\*

Ich sypialnia była urządzona wesoło. Nie licząc ikony Świętej Dziewicy na ścianie. Światło lampek oliwnych padało na namalowane na ścianach kwiaty i zwierzęta. Nad głową leżącej Xeni migotała owieczka. Dziewczyna w koszuli nocnej wyglądała mizernie. Błada, aż przezroczysta, usta miała wyschnięte, popękane. Tylko jej rozrzucone wokół głowy włosy lśniły jak dawniej.

Havig nie znalazł człowieka w stroju bizantyjskim, który teraz

**sprawnie wykręcał mu lewe ramię. Prawym zajął się Juan Mendoza, który uśmiechał się za każdym razem, kiedy mocniej mu zakładał dźwignię na łokieć. Ubrany był na modłę zachodnią, podobnie jak Krasicki stojący przy łóżku.**

**– Coście zrobili ze służbą? – spytał Havig odruchowo.**

**– Zastrzeliliśmy ich – odpowiedział Mendoza.**

**– Co?!**

**– Nie rozpoznali broni, więc się jej nie przestraszyli. Nie mogliśmy pozwolić, żeby cię uprzedzili. Zamknij się.**

**Havig poczuł, jak jego świat się wali. Służba zabita. Może chociaż dzieci ocalały i mógłby dla nich znaleźć jakiś sierociniec? Kaszel Xeni przywrócił go do rzeczywistości.**

**– Hauk – wychrypiała. – Nie, Jon, Jon... Wyciągnęła ręce w jego stronę, ale oczywiście daremnie. Krasicki wyraźnie się postarzał.**

**Poszukiwanie, sprawdzanie przeszłości i przyszłości musiały go kosztować mnóstwo lat osobistego życia.**

**– Pewnie będziesz zainteresowany informacjami o tym, jak wiele lat poświęciliśmy na znalezienie ciebie – oznajmił z lodowatą satysfakcją w głosie. – Wiele nas kosztowałeś, Havig.**

**– Że też wam się chciało...**

**– Chyba nie sądziłeś, że puścimy wszystko płazem, prawda? Chodzi nie tylko o to, że zabiłeś naszych ludzi. Jesteś zbyt inteligentny i sprytny, więc bardzo niebezpieczny. Osobiście zajmowałem się twoją sprawą.**

**Mocno mnie przeceniają, pomyślał Havig.**

– Musimy wiedzieć, czym się zajmowałeś – ciągnął dalej Krasicki. –

Dlatego radzę ci dobrze, żebyś z nami współpracował.

– Jak mnie...?

– Mnóstwo detektywistycznej pracy. Doszliśmy do wniosku, że skoro grecka rodzina tyle dla ciebie znaczyła, to będziesz dalej interesował się jej losem. Sprawnie zatarłeś ślady, przyznaję. Zważywszy na nasze ograniczone zasoby i trudności w poruszaniu się w tej epoce, musieliśmy zacząć z innej strony. Nie byłeś taki sprytny, jak ci się wydawało, i zostawiłeś sporo informacji w ciągu tych pięciu lat. Kiedy cię wreszcie namierzyliśmy, to było naturalne, że skupimy się na tej chwili. Wszyscy sąsiedzi wiedzą, że twoja żona jest ciężko chora. Poczekaliśmy, aż wyjdiesz, wiedząc, że i tak tu wrócisz. – Krasicki zerknął na Xenię. – I będziesz współpracował, prawda?

Zadrżała i zakaszłała nieprzyjemnie. Na pościeli pojawiły się krwawe ślady flegmy.

– Na Boga! – jęknął Havig. – Pozwólcie mi podać jej lekarstwo!

– Co to za ludzie, Jon? – spytała błagalnym tonem. – Czego chcą od ciebie? Gdzie jest twój święty?

– Poza tym – wtrącił Mendoza – Pat Moriarty był moim przyjacielem.

Mimo wściekłości Havig poczuł potworny ból, bo Mendoza nacisnął na jego łokieć tak silnie, że prawie mu wylamał rękę. Słyszał jak przez mgłę głos Krasickiego.

– Jeżeli będziesz zachowywał się grzecznie i udasz się z nami,

**zostawimy ją w spokoju. Dam jej nawet zastrzyk z teczuszki, którą przyniosłeś.**

**– To... za mało... proszę...**

**– To wszystko, co może dostać. Straciliśmy przez ciebie cały rok życia. Nie stracimy ani dnia dłużej i nie będziemy podejmowali najmniejszego ryzyka. Jeżeli wolisz, możemy jej złamać rękę.**

**Havig zaszlochał i zgodził się na wszystko.**

**Krasicki dotrzymał słowa i zrobił jej zastrzyk, ale nie był delikatny i**

**Xenia krzyknęła z bólu.**

**– Wszystko będzie dobrze, Xenia! Święci nad tobą czuwają! –**

**krzyknął Havig z dna ogarniającej go pustki. – Jeżeli pozwolisz mi się z nią pożegnać, zrobię wszystko, co chcecie – dodał zaraz do Krasickiego.**

**– Dobra. – Krasicki wzruszył ramionami. – Tylko szybko. Mendoza i ten drugi cały czas trzymali go za ręce, kiedy pochylał się nad dziewczyną.**

**– Kocham cię – powiedział, całując jej spieczone wargi, które nie smakowały tak, jak je zapamiętał. Nie był nawet pewien, czy żona, w malignie i przerażeniu, w ogóle go słyszy.**

**– No dobra – stwierdził Krasicki. – Ruszamy.**

**W drodze ku przyszłości Havig kompletnie stracił świadomość**

**istnienia obu mężczyzn po jego bokach. Jedno go interesowało – cienie zmieniające się w pokoju. Dostrzegł ją, jak leży samotnie i płacze, starając się doczołgać do drzwi. Potem zauważył, że ktoś zaniepokoił się ich nieobecnością i włamał się do domu. Potem dostrzegł zamieszanie i pusty pokój. Potem zajęli go obcy ludzie.**

Teraz mógł już się im oprzeć, kiedy zatrzymali się, żeby nabrać powietrza. Jego bezwładność nie pozwoliłaby oprawcom ruszyć z miejsca. Ale istnieje wiele sposobów na złamanie czyjejś woli. Wolał nie pojawić się w Orlim Gnieździe pozbawiony czucia i woli, zdany na łaskę kaprysu Caleba Wallisa. Wolał zachować zdrowe zmysły, żeby planować zemstę. Nie miał żadnego planu, zaledwie nadzieję. Tak naprawdę jego dusza pogrążyła się w rozpacz. Ledwo zauważył, że cienie w jego dawnym domu się ciągle zmieniają. Dom znacznie się rozbudował, potem został spalony, kiedy miasto zdobyli Turcy. Następnie pojawiały się kolejne budynki jeden po drugim aż do ostatecznego błysku atomowego piekła i promieniowania. Nawet nie zwrócił uwagi na krótki postój w tych ruinach i lot przez ocean. Prawie nie zauważył ostatecznej podróży do czasów Wodza.

Miał przed oczyma tylko Xenię, która widziała, jak zniknął, i samotnie czekała na śmierć bez możliwości spowiedzi.

\*

W Orlim Gnieździe panowała pełnia lata. Było parno i duszno. Pokój w wieży, w którym umieszczono Haviga, był mimo to zimny i wilgotny. Znajdowały się w nim tylko dwa proste krzesła, toaleta, materac do spania i miska do mycia. Pojedyncze okno wychodziło na zabudowania fortecy, pola uprawne i pracujących tam chłopów. Oślepiające słońce nie pozwalało jednak długo podziwiać nawet takiego pejzażu.

Żelazny łańcuch zakotwiczony w ścianie łączył się z żelazną obręczą na jego kostce. To wystarczało. Podróżnicy w czasie przenosili z sobą

**wszystko, czego dotykali bezpośrednio. Havig musiałby więc podróżować z całą fortecą. Nawet nie próbował.**

**– Siadaj wreszcie – rozkazał mu Caleb Wallis.**

**Sam rozsiadł się na drugim krześle ustawionym poza zasięgiem więźnia. Ubrany był w czarny mundur z epoletami. Bokobrody miał gładko zaczesane na boki, a brak dystynkcji wskazywał na to, że jest tu władcą. Havig w pomiętym, archaicznym stroju był nieogolony, miał zaczerwienione i podkrążone oczy.**

**– Podziwiam twoją pomysłowość i energię – stwierdził Wallis, wymachując cygarem. – Chciałbym cię mieć po swojej stronie. Dlatego rozkazałem, żeby pozwolono ci odpocząć przed naszą rozmową. Mam nadzieję, że żarcie było dobre? Siadaj, mówię!**

**Havig usiadł. Wciąż czuł się jak manekin. Nocami śnił o Xeni.**

**Płynęli razem na trimaranie, unosili się w przestworzach ku gwiazdom.**

**– Tutaj nikt nas nie podsłucha – rzekł Wallis. Jego eskorta została za drzwiami. – Możesz mówić prawdę.**

**– A jeżeli nie? – odparł Havig.**

**Oczy, które na niego spojrzały, były jak ze stali.**

**– Będziesz mówił. Jestem cierpliwy, ale nie pozwolę ci dalej igrać z moim planem. Żyjesz jeszcze tylko dlatego, że jestem przekonany, że zrekompensujesz nam trud, jaki włożyliśmy w odszukanie ciebie.**

**Doskonale się na przykład orientujesz w realiach końca dwudziestego wieku. I masz tam schowane pieniądze. To mogłoby nam się przydać. I lepiej będzie dla ciebie, żeby tak się stało.**



Havig wsunął rękę pod tunikę. Jakie to mało dramatyczne, pomyślał. Świeżo upieczony wdowiec, uwięziony i zagrożony torturami. Na dodatek niemyty, cuchnący i drapiący się po całym ciele... Zwrócił kiedyś Xeni uwagę, że jej ukochani klasycy nigdy nie opisywali takich prozaicznych szczegółów. Ona zaś pokazała mu fragmenty Homera, wersy dramatów i urywki poezji, które udowodniały, że się mylił. Palcem wodziła po każdej linijce tekstu z osobna, a w jej ukochanym ogrodzie różanym brzęczały pszczoły.

– Rozumiem, że miałeś w Konstantynopolu jakąś kobietę, która zachorowała i trzeba było ją zostawić – oznajmił Wallis. – Szkoda. Przykro mi z tego powodu. Chociaż muszę powiedzieć, mój chłopcze, że sam to na siebie ściągnąłeś. I na nią też. Właśnie tak. Nie mówię, że to kara boska. Może tak było, ale z reguły natura sama daje ludziom to, na co zasługują. Poza tym nie uchodzi, żeby biały mężczyzna wiązał się z takimi kobietami. Ona była przecież Bizantyjką. A to oznacza, że miała w sobie krew Armeńczyków, Azjatów, Żydów, Palestyńczyków i prawdopodobnie Murzynów. – Znowu zaczął wymachiwać swoim cygarem. – Nie mam nic przeciwko temu, żebyście się trochę zabawiali. – Uśmiechnął się porozumiewawczo. – Bynajmniej. To stanowi część waszego wynagrodzenia. Możecie się zabawiać, z kim tylko przyjdzie wam ochota, ale bez tych bzdur o miłości i wierności. – Ciężko westchnął. – Po cholere ożeniłeś się z tą dziewczyną?!

Havig starał się nie słuchać, ale mu się to nie udało. Głos cały czas rozbrzmiewał w jego głowie.

**– To jest o wiele gorsze, niż może się wydawać na pierwszy rzut oka.**

**Ja to określam działaniem symbolicznym. Poniżasz się, ponieważ owoców takiej krzyżówki nie sposób wychować na twoje podobieństwo. Tym samym poniżasz całą rasę.**

**– Głos Wallisa stwardniał. – Nie rozumiesz? To zawsze było przekleństwem białych mężczyzn. Ponieważ są bardziej inteligentni i bardziej wrażliwi, otwierają się na tych, którzy ich nienawidzą. A tamci starają się ich skłócić, karmią ich kłamstwami i próbują przejąć nad nimi kontrolę. I okazuje się, że tacy ludzie nagle bratają się ze swoimi wrogami, a występują przeciwko swoim braciom. Badałem twoją epokę, Jack. Wtedy właśnie to wszystko się zaczęło. Czarni zaczęli przejmować władzę i otworzyli drogę Mongom i Maurauiom... Wiesz, co uważam za największą tragedię w dziejach ludzkości? Fakt, że dwóch największych geniuszy, jakich wydała ludzkość, zostało zaślepionych i zmuszonych do walki w przeciwnych obozach. To byli Douglas MacArthur i Adolf Hitler. Havig uświadomił sobie – najpierw ze zdumieniem, a później z poczuciem satysfakcji – że splunął na podłogę.**

**– Gdyby generał to usłyszał – warknął – to już byś nie żył, Wallis.**

**Zresztą i tak twoje życie nie jest wiele warte.**

**Ze zdziwieniem spostrzegł, że Wódz wcale się nie rozgniewał.**

**– Twoje słowa są doskonałym dowodem na to, co mówię – stwierdził Wallis z żalem. – Jack, muszę ci wreszcie otworzyć oczy na prawdę, bo wiem, że masz zdrowe instynkty. Są one jedynie ukryte pod tonami kłamstw, którymi cię karmiono. Widziałeś tę murzyńską**

federację z przyszłości i mimo to wciąż nie widzisz drogi wyjścia. Nie chcesz pogodzić się z tym, co należy zrobić, żeby ludzkość wróciła na właściwą ścieżkę ewolucji.

Zaciągnął się cygarem, wydmuchał dym i dodał niewinnym tonem:

– Oczywiście wiem, że dzisiaj nie jesteś w formie. Straciłeś dziewczynę, którą kochałeś. Mówiłem ci już, że jest mi z tego powodu przykro. Ale ona jest martwa od tysiący lat. – Jego ton stał się bardziej uroczysty. – Wszyscy umierają – z wyjątkiem nas. Nie wierzę, żeby to miało spotkać podróżników w czasie. Możesz być z nami i żyć wiecznie.

Havig miał ochotę mu odpowiedzieć, że nie pragnie tego, dopóki on żyje, ale się powstrzymał.

– W tej dalekiej przyszłości, którą wspólnie budujemy, muszą w końcu wynaleźć sposób na nieśmiertelność – ciągnął Wallis. – Jestem o tym przekonany. I coś ci powiem. To tajemnica, ale albo będę mógł ci zaufać, albo umrzesz. Ponownie sprawdziłem końcówkę fazy pierwszej. Tym razem bardziej szczegółowo, niż opisałem w mojej książce.

Pamiętasz chyba, że wtedy będę już stary. Będę miał obwisłe policzki, zamglone oczy i trzęsące się ręce... to nic miłego spotkać siebie w takim wieku... naprawdę nic miłego. – Zesztywniał nieco. – W czasie tej wizyty dowiedziałem się czegoś nowego. Na końcu tej fazy zniknę. Nigdy już się nigdzie nie pojawię z wyjątkiem tej krótkiej wizyty w fazie drugiej, którą już odbyłem. Nigdy. Podobnie jak większość moich adiutantów. Nie udało mi się zebrać wszystkich nazwisk – szkoda czasu na takie rzeczy – ale nie zdziwiłbym się, gdybyś i ty był na tej liście.

– Jak sądzisz, co się stało? – zapytał Havig, z trudem wyrywając się z apatii.

– To chyba jasne. Pisałem przecież o tym. To nagroda. Wykonaliśmy zadanie i zostaliśmy wezwani do przyszłości, gdzie uczyniono nas młodymi na zawsze. Jak bogowie.

Gdzieś na zewnątrz zaskrzeczał kruk.

– Mam nadzieję, że znajdziesz się w tej grupie, Jack – powiedział

Wallis już bez cienia patosu w głosie. – Naprawdę. Jesteś stworzony do tej roboty. Nie ukrywam, że twoje zainteresowanie Konstantynopolem podsunęło Krasickiemu pomysł tego rajdu. A ty sam odwalileś kawał dobrej roboty, zanim zwariowałeś na punkcie tej dziewczyny. To była nasza najlepsza operacja jak do tej pory. Zebraliśmy środki, które nam pozwolą rozszerzyć zakres działania na całą tę epokę. Uwierz mi, że Caleb

Wallis nie jest niewdzięcznikiem. – Przerwał na chwilę. – Jasne, że

doznałeś szoku, kiedy zetknąłeś się z pewnymi nieuniknionymi

konsekwencjami takich misji. Ale co byś powiedział, będąc w Hiroszynie?

Czy na miejscu jakiegoś biedaka z Hesji, który umiera z kulą w brzuchu w

imię amerykańskiej niepodległości? A co mam powiedzieć o twoich

kolegach, których zabiłeś? Z drugiej strony mamy tę dziewczynę, która cię

zbalamuciła. Możemy zbilansować jedno z drugim. Życie za życie. Pasuje?

Musiałeś być bardzo zajęty przez te pięć lat. Mógłbyś nam o nich

opowiedzieć. Przy okazji przekazałbyś nam swoje pieniądze w

dwudziestym wieku. Tym sposobem wkupiłbyś się ponownie w nasze

bractwo. – Zmienił ton na bardzo surowy. – Czy może wolisz gorące

żelazo, szczypce, borowanie zębów i inne profesjonalne usługi naszych specjalistów? Aż wreszcie zrobi mi się żal tego, co z ciebie zostanie, i pozwolę ci umrzeć?

\*

Ciemność zapadła najpierw w jego celi, a dopiero później za oknem.

Havig gapił się bezmyślnie na magnetofon i posiłek, który mu przyniesiono. W końcu przestał widzieć cokolwiek.

Pomyślał, że powinien się poddać. Wallis raczej nie kłamał na temat przyszłości Orlego Gniazda. Jeżeli nie można z nimi wygrać, to trzeba do nich dołączyć, z nadzieją, że będzie się miało jakiś wpływ na ich działania. Tyle przynajmniej mógł zrobić dla Xeni.

Czy Wallis zdobył informacje na temat tego narkotyku, którego obawiali się nawet Mauraiowie? Może już wysłał ludzi w przyszłość?

Cóż, Juliusz Cezar też musiał mordować i oszukiwać, żeby dojść do władzy. I dzięki temu stworzył podwaliny cywilizacji Zachodu. Przyczynił się do powstania katedry w Chartres, Franciszka z Asyżu, penicyliny, Bacha, praw obywatelskich, Rembrandta, Szekspira, skończenia z niewolnictwem, Goethego, genetyki, Einsteina, sufrażystek, śladu ludzkich kroków na Księżycu i wizji zdobycia gwiazd... ale także głowic atomowych, totalitaryzmu, samochodów i czwartej wyprawy krzyżowej. Chociaż w perspektywie wieczności bilans wypadł na zero...

Czy on, John Havig, odważy się stawić czoło przyszłości w imię prochów swojej ukochanej?

Czy potrafi to zrobić? Niedługo odwiedzi go kat, żeby sprawdzić, czy

nagrał coś na taśmę.

Powinien uświadomić sobie wreszcie, że John Havig nie liczył się w historii bardziej niż Doukas Manasses czy Xenia, czy ktokolwiek inny.

Tylko że nie musiał oddawać wrogom wszystkiego za darmo. Mógł ich zmusić do poświęcenia jeszcze wielu lat ich osobistego życia. Co chciałby udowodnić?

\*

Nagle poczuł, że ktoś nim potrząsa. Z trudem otworzył oczy. Czyjaś dłoń zasłoniła jego usta. – Siedź spokojnie, durniu – szepnęła Leoncja.

### Rozdział 13

Zabłysła mała latarka. Promień światła przeszukiwał pokój, aż wreszcie zatrzymał się na jego kostce.

– Aha – mruknęła – tak cię uziemili. Tak sądziłam. Potrzymaj to! –

Wcisnęła mu latarkę do ręki.

Półprzytomny, czując, że serce mu bije jak oszalałe, ledwo wierząc w to, co się dzieje, nie potrafił utrzymać latarki nieruchomo. Leoncja zaklęła, wzięła ją w zęby i kucnęła przy nim. Usłyszał zgrzyt pilki do metalu.

– Leoncjo, moja droga... nie powinnaś... – jęknął.

Tym razem zaklęła ostrzej, choć niezbyt wyraźnie. Zamilkł. Przez okno widać było migoczące gwiazdy.

Kiedy łańcuch puścił, pozostała mu na kostce tylko obręcz. Leoncja zgasła latarkę i schowała ją do kieszeni kurtki. Miała przy sobie nóż i pistolet. Pomogła mu wstać.

– Słuchaj – szepnęła mu do ucha. – Musisz się przenieść w

przyszłość do poranka. Niech ci przyniosą śniadanie, zanim wrócisz tutaj.

Rozumiesz? Muszą uwierzyć, że uciekłeś później. Dasz radę to zrobić?

Inaczej jesteś trupem.

– Postaram się – szepnął ledwo dosłyszalnie.

– Dobra. – Pocałowała go mocno i krótko. – Spadaj!

Ostrożnie zaczął się przemieszczać w przyszłość. Kiedy światło za

oknem zrobiło się szare, zatrzymał się, ułożył z powrotem łańcuch i

czekał. Nigdy w życiu nie spędził dłuższej godziny.

Zwykły strażnik przyniósł mu tacę z jedzeniem i kawą.

– Czolem – mruknął Havig głupkowato.

– Jedz szybko. Zaraz będą z tobą rozmawiać – ostrzegł go strażnik,

czujnie rozglądając się po pokoju.

Przez moment Havig myślał, że strażnik zostanie i będzie go

pilnował w czasie jedzenia. Na szczęście nic takiego się nie stało. Kiedy

zamknęły się drzwi, dalej siedział, bo nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Napił się odrobinę kawy i przypomniał sobie, że Leoncja na niego czeka.

Podniósł się z trudem i wrócił do przeszłości.

Błysk latarki pozwolił mu ustalić czas powrotu. Kiedy znalazł się w

normalnej przestrzeni, usłyszał szepty: „Dasz radę to zrobić? Inaczej

jesteś trupem”. „Postaram się”. „Dobra”. Przerwa. „Spadaj!”.

Usłyszał cichy świst powietrza wypełniającego próżnię powstałą po

jego zniknięciu i wiedział, że już wyruszył w drogę.

– Tu jestem! – szepnął.

**– Aha. – Musiała lepiej widzieć w ciemnościach, bo bez wahania**

**podeszła do niego. – Wszystko w porządku?**

**– Tak. Chyba.**

**– Teraz nie gadaj. Mogą sprawdzać tę noc mimo naszego fortelu.**

**Weź mnie za rękę i ruszajmy w przeszłość. Nie śpiesz się. Wiem, że nam się uda. Nie chcę tylko, żeby się zorientowali, w jaki sposób to zrobiliśmy.**

**Częścią treningu w Orlim Gnieździe było jednoczesne podróżowanie w czasie. Każda z osób w tym uczestniczących wyczuwała tempo pozostałych i mogła dostosować swoją prędkość.**

**Kilka dni wcześniej pokój był pusty, a drzwi otwarte na oścież.**

**Zeszli na dół i wydostali się na zewnątrz niezatrzymywani przez nikogo.**

**Normalnie wszystkie bramy fortecy były otwarte. Co jakiś czas**

**zatrzymywali się, żeby zaczerpnąć powietrza. Robili to zawsze pod**

**zwodzonym mostem, żeby uniknąć przypadkowych spojrzeń. Havig z**

**początku się dziwił, dlaczego Leoncja nie prowadzi ich po prostu do**

**czasu, kiedy jeszcze nie było tu fortecy, ale zaraz uświadomił sobie, że**

**sporo osób kręciło się wtedy po tej okolicy. Wielu myśliwych w rosnącym**

**tu lesie miało swoje tereny łowieckie.**

**Wciąż był oszołomiony i zmęczony, więc uznał, że najlepiej będzie**

**realizować jej plan. W końcu go uwolniła. Długo trwało, zanim ten fakt**

**naprawdę do niego dotarł.**

**\***

**Siedzieli w lesie w epoce poprzedzającej o rok nadejście Kolumba.**

**Potężne dęby, wiązy i brzozy tworzyły gęstwinę, roztaczając wokół**



specyficzny zapach. Gdzieś w oddali stukał dzięcioł i słyhać było świergot sójek. Leoncja rozpałiła niewielkie ognisko. Na zaimprovizowanym roźnie piekł się cietrzew, którego zapobiegliwie zabrała z fortecy. Ogień wypłoszył tysiące ptaków spomiędzy gałęzi drzew.

– Nie mogę się wszystkiemu nadziwić – powiedziała. – Co to był za wspaniały świat, zanim wynaleziono maszyny i człowiek spieprzył sobie życie. Już nie zachwycam się Wielkimi Latami. Za często tam bywałam. Havig siedział oparty o pień. Przez chwilę miał wrażenie déjà vu.

Wreszcie przypomniał sobie, jak prawie tysiąc lat wcześniej on i ona...

Przyjrzał się jej uważniej. Czarne włosy obcięła na pazia. Nie była już tak mocno opalona. Teraz nie nosiła na szyi czaszki łasicy oznajmiającej wszystkim jej status czarodzieja. Nabrała nieco chłopięcego wyglądu. Mogła z powodzeniem uchodzić za kobietę z jego epoki. Nawet jej angielski nabrał normalnego akcentu. Oczywiście wciąż nosiła broń, nie zmieniła swoich kocich ruchów i wyniosłego sposobu bycia.

– Ile czasu upłynęło dla ciebie? – spytał.

– Od dnia, kiedy mnie zostawiłeś w Paryżu? Jakies trzy lata.

– Przekręciła nieco rozen z piekącym się ptakiem.

– Przykro mi. Potraktowałem cię podle. Dlaczego postanowiłaś mi pomóc?

– Może byś mi wreszcie powiedział, co robisz? – warknęła.

– Naprawdę nie wiesz? – zdziwił się. – Na Boga! Skoro nie wiedziałaś, dlaczego mnie aresztowano, to skąd mogłaś być pewna, czy

**nie zasługuję...**

**– Na rozmowę ze mną?**

**Opowiedział jej całą historię. W ogólnych zarysach. Od czasu do czasu przyglądała mu się spod przymrużonych powiek, ale jej twarz niczego nie zdradzała.**

**– Cóż – odezwała się wreszcie. – Wygląda na to, że przeczucia mnie zawiodły. Nie straciłam nic ważnego. Ta zabawa coraz mniej mi się podobała, w miarę jak poznawałam szczegóły.**

**Pomyślał, że mogłaby dodać dobre słowo o Xeni, ale postanowił odpowiedzieć jej równie bezosobowo.**

**– Nie sądziłem, że będziesz przeciwna walce i rabunkowi.**

**– Nie mam nic przeciwko uczciwej walce. Siła przeciw sile, pięść przeciwko pięści. Ale te szakale... oni się wyzywają na bezbronnych. I bardziej dla sportu niż dla zysku.**

**– Gwałtownie wbiła nóż w cietrzewia, sprawdzając, czy już się upiekł. Tłuszcz spadł w ognisko, wzbijając iskry i żółte płomienie. – Poza tym, jaki to ma sens? Dlaczego mamy starać się przywrócić maszyny do władzy? Żeby Cal Wallis mógł zyskać przydomek Boga Młodszeo?**

**– To znaczy, że wiadomość o moim uwięzieniu uwolniła drzemiący w tobie bunt?**

**Nie odpowiedziała wprost na jego pytanie.**

**– Cofnęłam się w czasie, jak się domyślasz, i sprawdziłam, kiedy opustoszał nasz pokój. Potem wróciłam w przyszłość do ciebie. Spędziłam tam trochę czasu, żeby mnie nie podejrzewali o pomoc. To dopiero było!**

Wszyscy latali wkoło jak kurczaki bez głowy! Wmówiłam im, że musiał ci pomagać inny podróżnik w czasie. – Westchnęła ciężko. – W końcu wszystko się uspokoiło. Oczywiście nic nie powiedziano wcześniejszemu Wallisowi, kiedy pojawił się na inspekcji. Jego następna wizyta była planowana za parę lat. W międzyczasie nic strasznego się nie działo. Ty się nie liczyłeś. Ja pewnie też się nie liczę. Po prostu nie wrócę z kolejnego urlopu. Uznają, że zginęłam w wypadku. – Uśmiechnęła się. – Lubię sportowe auta i prowadzę jak szalona.

– Chociaż jesteś przeciwna maszynom? – zdziwił się Havig.

– Skoro już są, to możemy się nimi bawić. Nieważne, czy będą w przyszłości lub czy powinny tam być. – Spojrzała na niego przeciągle i spoważniała. – To właściwie wszystko, co wspólnie możemy zrobić.

Musimy znaleźć jakąś kryjówkę tu lub gdziekolwiek w historii. Bo nie mamy zamiaru uprzykrzać się Orlemu Gniazdu.

– Wcale nie jestem przekonany, czy ich zwycięstwo jest rzeczywiście przesądzone – stwierdził Havig. – Może to moje pobożne życzenie – dodał – ale z tego, co widziałem...

Szczerść pomogła mu ukryć pustkę jaką czuł w duszy po utracie Xeni.

– Leoncjo, nie masz racji, potępiając naukę i technikę. Mogą zostać źle użyte, jak każdy wynalazek. Natura nigdy nie pozostawała w doskonałej równowadze. Więcej gatunków wymarło, niż żyje. A człowiek prymitywny był takim samym niszczycielem jak współcześni nam ludzie. Wielkie ssaki z plejstocenu zostały prawdopodobnie wybite przez ludzi z

epoki kamienia łupanego. Farmerzy ze swoimi motykami i pługami wyjałowili tereny, które kiedyś zachwycaly żywnością. Niemal zawsze w historii ludzie umierali przedwcześnie z powodów nie mających nic wspólnego z naturą... przyczyny ich śmierci można łatwo zneutralizować, jeżeli wie się jak... Mauraiowie dokonają czegoś więcej niż tylko odbudowy podstaw życia na Ziemi. Po raz pierwszy w całej historii będą próbowali stworzyć zrównoważone środowisko. A będzie to możliwe tylko dlatego, że zdobędą niezbędną wiedzę naukową i odpowiednie środki.

– Nie wydaje mi się, żeby im się powiodło.

– Nie umiem tego powiedzieć. Ta tajemnicza daleka przyszłość...

trzeba ją zbadać. – Havig przetarł zmęczone oczy. – Ale później. Teraz padam ze zmęczenia. Pożyczysz mi jutro swój nóż? Chcę naścinać gałęzi, żebyśmy mieli na czym spać przez dwa, trzy tygodnie.

Kucnęła przy nim. Jedną ręką objęła go za szyję, a drugą głaskała po włosach.

– Biedny Jack – wyszeptała. – Byłam trochę za brutalna, prawda?

Wybacz mi. Dla mnie to też było przeżycie. Ta nasza ucieczka... Śpij sobie teraz. Dzisiaj mamy spokój.

– Nawet nie podziękowałam ci za to, co dla mnie zrobiłaś –

wymamrotał sennie. – Nigdy nie będę potrafił ci się odwdziżyć.

– Ty palancie! – Zarzuciła mu ręce na szyję. – A jak sądzisz, dlaczego wyciągnęłam cię z tamtej nory?

– Leoncjo... ale... widziałem, jak umiera moja żona...

– Jasne. – Zalkała. – Chciałabym cofnąć się w czasie... i poznać tę dziewczynę. Skoro uczyniła cię szczęśliwym... Wiem, że to niemożliwe.

Cóż, Jack, poczekam. Ile będzie trzeba. Poczekam.

\*

Nie mieli odpowiedniego wyposażenia na dłuższy pobyt w dawnej Ameryce. Mogli przenieść się w przyszłość, kupić, co trzeba, i sprowadzić w przeszłość. Po tym jednak, co obydwójce przeszli, taka idylla nie była możliwa.

Rana Haviga goiła się powoli, ale goiła. Pozostawiła jednak przykrą bliznę na jego duszy. Postanowił rozpocząć wojnę z Orlim Gniazdem.

Nie uważał tego za zwykłą zemstę na mordercach Xeni. Leoncja była o tym przekonana, ale postanowiła mu towarzyszyć, ponieważ kobiety z jej klanu zawsze wspierały swoich mężczyzn. Przyznał jej częściowo rację.

Tak naprawdę to uwierzył, że ten gang musi zostać unieszkodliwiony. To, co do tej pory ci bandyci zrobili czy zrobią, nie podlegało zmianom. Może jednak unieszkodliwienie ich kolejnych działań uratuje odległą przyszłość.

– Najbardziej zagadkowy jest fakt – powiedział Leoncji – że żaden podróżnik w czasie nie został odkryty w epoce Mauraiów ani później.

Mogli wszystko utrzymywać w tajemnicy, podobnie jak większość podróżników we wcześniejszych erach. Może wtedy ludzie stali się bardziej zdolni albo bardziej strachliwi. Ale żeby wszyscy naraz? To mało prawdopodobne...

– Badałeś ten problem? – spytała.

Mieszkali teraz w hotelu w połowie lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Kansas City tętniło życiem. Havig starał się unikać miejsc odwiedzanych wcześniej, dopóki się nie upewni, że ludzie Wallisa ich nie zlokalizowali. Przy lampce nocnej na łóżku siedziała Leoncja ubrana w przezroczysty peniuar. Traktowała go jak kochająca siostra. Myśliwy musi nauczyć się cierpliwości, a szamanka musi umieć czytać ludzkie dusze.

– Tak – powiedział. – Carelo Keajimu ma koneksje na całej kuli ziemskiej. Jeżeli on nie był w stanie zlokalizować podróżnika w czasie, to znaczy, że nikt tego nie dokona. A jemu się nie udało.

– I co to oznacza?

– Nie mam zielonego pojęcia. Dlatego sędzę, że powinniśmy zaryzykować i wyprawić się w przyszłość po upadku cywilizacji Mauraiów.

\*

Tym razem również praktyczne aspekty tej wyprawy zabrały im mnóstwo czasu.

Żadna epoka nie ustępuje miejsca następnej z dnia na dzień. Każda taka zmiana wiąże się z wieloma okresami przejściowymi, upadkami i powrotami do przeszłości. Marcin Luter nie był pierwszym protestantem w pełnym tego słowa znaczeniu – politycznie i doktrynalnie – na świecie. Był po prostu pierwszym, któremu się powiodło. Jego sukces opierał się na kilku wiekach klęsk jego poprzedników. Kolejno byli to husyci, lollardzi<sup>14</sup>, katarzy i tak dalej, aż do pierwszych heretyków w

chrześcijaństwie, których korzenie z kolei sięgały jeszcze bardziej zamierzchłych czasów. Podobnie reaktory termojądrowe i związane z nimi urządzenia zostały wymyślone i rozpropagowane w świecie, w którym azjatycki mistycyzm wmówił milionom wyznawców, że nauka nie potrafi rozwiązać żadnego z ich problemów.

**Jeżeli ktoś chce zbadać jakąś epokę, w którym roku ma zacząć?**

**Można nawet podróżować w czasie, ale po dotarciu na miejsce trzeba się jakoś przemieszczać. Chodzenie piechotą jest silnym ograniczeniem.**

**Trzeba również coś jeść i mieć miejsce do spania.**

**Przygotowanie całego planu wymagało wielu wstępnych podróży w przyszłość.**

**Szczegóły nie są ważne. Na wschodnim wybrzeżu Ameryki**

**Północnej w trzydziestym pierwszym wieku mówiono mieszaniną ingliss-maurai-spanyol, która była na tyle zrozumiała dla Haviga, że udało mu się zgromadzić trochę książek z gramatyką, słowniki i inną potrzebną literaturę. Razem z Leoncją wiele godzin poświęcili na przyswojenie sobie podstaw tego języka. W końcu uznali, że dadzą sobie radę w typowych sytuacjach.**

**Automatyczne statki obsługiwane przez roboty przewoziły przez ocean tysiące turystów. Dwoje więcej nie powinno zwrócić niczyjej uwagi.**

**Tym bardziej że Sansisco było ulubionym miejscem pielgrzymów, bo**

14 Lollardzi - członkowie ruchu plebejsko-religijnego w Anglii i Szkocji w XIV i XV w. , powstałego

pod wpływem nauk Jana Wiklefa. Nazwa ruchu wywodzi się z języka średnioholenderskiego, *lollen* oznaczało

„mamrotać" (przyp. tłum. ).

właśnie w tym miejscu guru Duago Samito doznał objawienia. Nikt nie wierzył już w cuda, ale ludzie wierzyli, że jeżeli staną na szczycie stworzonych przez człowieka wzgórz, spojrzą na dół na zatokę i zespolą się w jedność z ziemią, niebem i wodą, to doznają wizji.

Pielgrzymi nie potrzebowali osobnego konta w tym świecie obsługiwanym przez maszyny. Ta epoka na swój surowy sposób była epoką dobrobytu. Okoliczne posiadłości mogły bez trudu pomieścić dodatkowe osoby, zapewniając im nocleg i wyżywienie. W zamian właściciele zyskiwali szacunek, a ich dzieci nowe opowieści na dobranoc.

\*

– Jeżeli szukacie Władców Gwiazd – stwierdził ciemnoskóry, miły mężczyzna, który udzielił im schronienia na noc – to owszem, mają swój posterunek w tej okolicy. Ale u was z pewnością też.

– Jesteśmy ciekawi, czy tutejsi Władcy Gwiazd wyglądają tak samo jak nasi – odparł Havig. – Słyszałem, że jest wśród nich wiele ras.

– Tak mówią. To prawda.

– Nie musimy przynajmniej nadkładać drogi.

– Nie musicie tam przecież chodzić. Wystarczy zadzwonić.

Ich gospodarz wskazał holograficzny telefon stojący w rogu pokoju.

Pokój zresztą miał gigantyczne rozmiary i zrobił na jego gościach równie wielkie wrażenie, co japońska świątynia na średniowiecznych Europejczykach albo gotycki kościół na Japończykach.

– Chociaż wątpię, żeby ten posterunek był aktualnie obsadzony –



**kontynuował gospodarz. – Nie przylatują tu zbyt często, jak wicie.**

**– Chcielibyśmy chociaż tego dotknąć.**

**– Rozumiem – przytaknął gospodarz. – Pełne wrażenia**

**sensoryczne... Idźcież Bogiem i bądźcie Bogiem, szczęśliwie.**

**Rankiem, po zakończeniu godzinnych śpiewów i wspólnych**

**medytacji, cała rodzina zajęła się swoimi sprawami. Ojciec zabrał się do**

**uprawiania ogródka warzywnego. Raczej dla zdrowia psychicznego niż z**

**konieczności ekonomicznej. Matka wróciła do pracy nad dowodem**

**jakiegoś twierdzenia matematycznego, którego sens Havigowi całkowicie**

**umykał. Dzieci poszły do elektronicznego systemu edukacji (ten system**

**chyba był ogólnoplanetarny, Havig podejrzewał nawet, że częściowo**

**opierał się na sztucznej telepatii). A jednak ich dom był stosunkowo**

**niewielki. Jak inne ozdobiony był muszelkami i miał skośny dach. Stał**

**prawie samotnie na wielkim brunatnym zboczu.**

**Mozolnie schodzili ścieżką, przy każdym kroku wzbijając obłoki**

**pyłu. Nad ich głowami latało mnóstwo automatów różnego**

**przeznaczenia, nadających od czasu do czasu jakieś komunikaty.**

**– Masz rację. – Leoncja westchnęła ciężko. – Nie rozumiem tych**

**ludzi.**

**– Zrozumienie ich może zająć całe życie – odparł Havig. – Do gry**

**włączył się ktoś nowy. Ten ktoś nie musi być zły, ale z pewnością jest**

**nieznany. Coś podobnego miało już miejsce w historii. Czy myśliwy z**

**paleolitu był w stanie zrozumieć rolnika z neolitu? Czy ludzie żyjący pod**

**boskim panowaniem królów potrafiliby zrozumieć ludzi żyjących w**

państwie dobrobytu? Ja nie zawsze potrafię zrozumieć ciebie, Leoncjo.

– Ani ja ciebie. – Wzięła go za rękę. – Ale starajmy się przynajmniej.

– Mam wrażenie... – powiedział po jakimś czasie... – ale to tylko

wrażenie, że ci Władcy Gwiazd mieszkają w ultrazautomatyzowanych

bazach zbudowanych z jakichś pól siłowych. Najprawdopodobniej ich

urządzenia i ogromne statki widziałem poprzednio. Wszystko, co nie

pasuje do zwykłego obrazu Ziemi z tych czasów, zapewne należy do nich.

Przybywają tu nieregularnie i wtedy mieszkają w tych posterunkach,

które cały czas stoją puste. Czy to mogą być podróżnicy w czasie?

– Ale wydają się pokojowo nastawieni, prawda?

– I dlatego nie mogą pochodzić od ludzi z Orlego Gniazda? Dlaczego

nie? Wnuczek jakiegoś pirata mógł wyrosnąć na oświeconego króla. –

Havig starał się uporządkować swoje myśli. – Prawdą jest jednak, że ci

Władcy Gwiazd zachowują się niezbyt zgodnie z naszymi oczekiwaniami.

Problem w tym, że ani ty, ani ja nie znamy w pełni tutejszego języka, w

którym jest milion pojęć przyjmowanych przez wszystkich za oczywiste. O

ile jednak zrozumiałem, oni przybywają tutaj raczej handlować wiedzą i

ideami, a nie dobrami materialnymi. A efekty ich wpływu na Ziemię są

wszechobecne. Moje wcześniejsze podróże w jeszcze dalszą przyszłość

zdają się wskazywać, że ten wpływ będzie narastał. Doprowadzi to do

narodzenia się nowej cywilizacji, a może postcywilizacji, której nie

potrafię sobie nawet wyobrazić.

– Wydaje mi się, że tutejsi ludzie określają ich czasem jako

podobnych do ludzi, ale czasami... nie.

– Też mi się tak wydaje. Może to jakaś przerośnięta językowa?

– Z pewnością to wyjaśnisz – oznajmiła z przekonaniem.

Zerknął na nią. I nie odwracał spojrzenia. Słońce lśniło w jej włosach i migotało w kropelkach potu spływających po twarzy. Poczul przyjemny zapach jej ciała. Pielgrzymia suknia opinała się wokół jej długich nóg. Gdzieś nad polem nieśmiertelnej kukurydzy rozległo się śpiewanie kosa.

– Może razem to wyjaśnimy – rzekł.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Splątane spirale i subtelnie wygięte kopuły były opuszczone, kiedy do nich dotarli. Wejścia do środka broniła niewidzialna bariera. Ruszyli więc w przyszłość. Zatrzymali się, kiedy w świetle cieni dostrzegli ogromny kształt statku na niebie.

Statek akurat wylądował i załoga schodziła na ziemię po niematerialnej rampie. Havig dostrzegał mężczyzn i kobiety w dopasowanych strojach, które migotały jak gwiazdozbiory. Dostrzegł również istotę, jakiej nie zrodziła żadna epoka w dziejach ludzkości ani, jak podejrzewał, nie miała nigdy zrodzić.

Muszlowata postać z kleszczami i bez widocznej głowy rozmawiała z jakimś człowiekiem za pomocą dziwnego rodzaju muzyki. Mężczyzna śmiał się.

Leoncja zaczęła krzyczeć. Havig ledwo ją złapał, zanim uciekła w przeszłość.

\*

**– Naprawdę tego nie pojmujesz? – powtarzał jej w kółko. – Nie**

**zdajesz sobie sprawy, jakie to cudowne?**

**Osiągnął tyle, że się w niego wtuliła. Stali na szczycie wzniesienia.**

**Na nocnym horyzoncie błyszczały tysiące gwiazd. Czasami meteor przemykał między nimi z ognistym błyskiem.**

**Było chłodno. Ona dalej się w niego wtulała, ich oddechy parowały w powietrzu. Wokół panowała kojąca cisza, wieczne milczenie nieskończoności.**

**– Spójrz w niebo – powiedział. – Każda z tych gwiazd jest słońcem.**

**Sądziłaś, że żyjemy na jedynej zamieszkannej planecie w całym wszechświecie?**

**– Co to było?**

**Poczuł, jak drży.**

**– To, co widzieliśmy, było inne. Cudownie odmienne. – Starał się znaleźć właściwe słowa. Przez całą młodość marzył o takim spotkaniu, które dla niej nie było nawet legendą. Świadomość, że jego marzenie nie było mrzonką, rozgrzewała mu krew w żyłach. – Skąd miałyby się pojawić nowa jakość, przygoda, odrodzenie ducha ludzkości? Sama powiedz!**

**Skąd, jeśli nie z takiej krańcowej różności? Epoka następująca po cywilizacji Mauraiów wcale nie stworzyła kultury zapatrzonej w siebie.**

**Wprost przeciwnie! Wydała cywilizację skierowaną ku gwiazdom. Po raz pierwszy w dziejach ludzkości.**

**– Wytłumacz mi to! – błagała, łkając. – Pomóż mi!**

**Pocałował ją. Potem opadli na ziemię i stali się jednością.**

\*

**W życiu nie ma jednak happy endów. Nic tak naprawdę się nie kończy. Są tylko szczęśliwe momenty.**

**Nad ranem Havig obudził się obok Leoncji. Dziewczyna jeszcze spała, ciepła i jedwabista, z ręką spoczywającą na piersiach.**

**Tym razem jego ciało nie zawiodło. Zawiódł go umysł.**

**– Doktorze – mówił Havig chrapliwym głosem pełnym desperacji. –**

**Nie mogłem tam zostać. To był Eden. Nigdzie nie potrafiłem znaleźć miejsca dla siebie i czekać na spełnienie przeznaczenia.**

**Wierzę, że ta przyszłość jest naszym spełnieniem. Ale jak mogę być tego pewien? Wiem. Mam na imię Jack, a nie Jezus. Moja rola musi się gdzieś skończyć, ale gdzie dokładnie?**

**Jaką drogą ludzkość doszła do tej wspaniałej epoki? Może przypominasz sobie, że kiedyś już wspominałem na ten temat. Napoleon powinien zjednoczyć Europę. Nie znaczy to wcale, że Hitlerowi powinno się powieść. Dymiące kominy obozów zagłady przyznają mi rację. A co z Orlim Gniazdem?**

**Obudził Leoncję. Była gotowa iść za swoim mężczyzną. Mogli odwiedzić Carela Keajimu. Tylko że on był w pewnym sensie zbyt niewinny. Mimo że żył w czasach rozpadu federacji, to przecież rządy Mauraiów nigdy nie były srogie i nigdy nie doprowadziły do zorganizowanego okrucieństwa. Poza tym był zbyt znany w swoim świecie i przez to stanowił idealny cel do obserwacji przez Orle Gniazdo.**

**No i dlatego Jack Havig i szamanka Leoncja postanowili**

porozmawiać z moją nic nieznaczącą osobą.

## Rozdział 14

Był dwunasty kwietnia 1970 roku. Tam gdzie wtedy mieszkałem, po nocnym deszczu pojawiły się pierwsze przebliski wiosennej zieleni.

Wiatr gonił białe chmury, marszczył wodę w kałużach na podjeździe do mojego domu. Zimna i lepka ziemia kleiła mi się do palców, kiedy na klęczkach sadziłem cebulki irysów.

Żwir zaskrzypiał pod ciężarem kół i na podjazd koło starego kasztana ocieniającego trawnik podjechał samochód. Nie rozpoznałem właściciela. Cicho zakląłem, podniosłem się z kolan i ruszyłem w jego stronę. Nigdy nie jest łatwo splawić upartego sprzedawcę. Wtedy otworzyły się drzwiczki i rozpoznałem go oraz domyśliłem się, kim może być ona.

– Doktorze! – Havig podbiegł i mnie uściskał. – Jak się cieszę, że znowu cię widzę!

Ich przybycie nie zdziwiło mnie zbyt. Od kilku miesięcy spodziewałem się go w każdej chwili, jeżeli tylko żył. Ale dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, jak bardzo się o niego martwiłem.

– Jak się miewa żona? – spytałem.

Radość zamarła na jego twarzy.

– Nie przeżyła. Opowiem ci wszystko... później.

– Tak mi przykro...

– Cóż, dla mnie to było półtora roku temu.

Odwrócił się w stronę smukłego rudzielca zbliżającego się do nas i

**dopiero wtedy znowu się uśmiechnął.**

**– Doktorze, Leoncjo, słyszeliście o sobie mnóstwo razy. Teraz wreszcie się poznacie.**

**Podobnie jak on nie zwracała uwagi na moją brudną rękę. Z początku czulem się nieswojo. Nigdy wcześniej nie spotkałem kogoś z innej epoki. Haviga nie liczyłem. Mimo że wiele mi o niej nie mówił, od razu wyczuwało się jej inność. Ona przecież nie myślała ani nie zachowywała się jak kobieta zrodzona w moich czasach.**

**Była myśliwym, plemiennym doradcą, szamanką, kochanką i bezwzględną zabójczynią, sam nawet nie wiem ilu ludzi. Teraz nosiła zwyczajną sukienkę, nylonowe pończochy i buty na wysokim obcasie oraz torebkę. Uśmiechała się uszminkowanymi ustami i odezwała się do mnie po angielsku z prawie niezauważalnym obcym akcentem.**

**– Miło mi, doktorze Anderson. Nie mogłam się doczekać tej chwili.**

**– Wejdźcie do środka, proszę – bąknąłem trochę za cicho. –**

**Odświeżcie się, a ja w tym czasie zaparzę herbatę.**

**\***

**Leoncja dzielnie próbowała siedzieć spokojnie, ale jej się to nie udało. Kiedy Havig opowiadał, ona wstawiała co jakiś czas i podchodziła do okna, wyglądając na spokojną ulicę.**

**– Uspokój się – powiedział jej wreszcie. – Sprawdzaliśmy przyszłość. Nie było żadnych agentów Orlego Gniazda.**

**– Nie sposób sprawdzić każdej minuty – odparła.**

**– Nie, ale... No dobra. Doktorze, za jakiś tydzień zadzwonię do**

**ciebie i spytam, czy miałeś przeze mnie jakieś kłopoty. Odpowiesz, że nie.**

**– Ale mogą być w trakcie przygotowań – upierała się Leoncja.**

**– Nie sędzę – stwierdził Havig lekko zrezygnowanym tonem.**

**Najwyraźniej wcześniej już to omawiali. – Spisali nas na straty. Jestem tego pewien.**

**– Musiałam nabrać złych nawyków w dzieciństwie.**

**– Gdyby agenci naprawdę nas ścigali, tropiąc doktora, to przecież najpierw uderzyliby w niego. A tego nie zrobili. Ciężko mi to przyznać, doktorze, ale musiałem cię wystawić na wielkie niebezpieczeństwo.**

**Właśnie dlatego unikam mojej matki.**

**– Nie ma sprawy, Jack. – Usiłowałem się uśmiechnąć. –**

**Przynajmniej się nie nudzę na emeryturze.**

**– Nic ci się nie stało – stwierdził z naciskiem. – Sprawdzalem.**

**Przez moment zapadła cisza. Leoncja wstrzymała oddech. Za oknem chmury przepędzał wiatr.**

**– Chcesz powiedzieć, że się upewniłeś, czy będę żył aż do śmierci?**

**Przytaknął skinieniem głowy.**

**– I znasz datę mojego zgonu?**

**Siedział nieporuszony, jakby mnie nie słyszał.**

**– Cóż, lepiej mi nie mów. Nie żebym się bał, ale chyba wolę cieszyć się pozostałym mi życiem w staroświecki sposób. Nie zazdroszczę ci.**

**Tracisz przyjaciół dwukrotnie.**

**Zagwizdał czajnik.**



**– Czyli nie chcecie biernie czekać? – stwierdziłem kilka godzin**

**później. – I postanowiliście zrobić coś z Orlim Gniazdem?**

**– Jeżeli damy radę – przyznał Havig cicho.**

**– Co za pomysł! – Leoncja złapała go za ramię. – Byłam w przyszłości Orlego Gniazda i widziałam. Ich nowa forteca jest większa niż kiedyś i w pełni zrobotyzowana. Widziałam nawet Cala Wallisa wysiadającego z samolotu. Był już stary, ale nikt nie zabił tego drania przez ten czas.**

**Zacząłem nabijać fajkę. Zjedliśmy i teraz siedzieliśmy wśród moich książek i obrazów. Uznałem, że słońce zaszło już wystarczająco, byśmy mogli sobie nalać wieczornej whiskey.**

**Z moich gości ulotniła się radość z odwiedzin u dawno niewidzianego przyjaciela. Czy świeżo poznanego przyjaciela w przypadku Leoncji. Obydwoje siedzieli zatroskani i gniewni.**

**– Nie macie kompletnych informacji na temat rozwoju Orlego Gniazda, zgadza się? – zapytałem.**

**– Cóż, czytaliśmy tę książkę Wallisa i słuchaliśmy jego opowieści – powiedział Havig. – Raczej nie kłamał. Jego ego by mu na to nie pozwoliło. Przynajmniej nie na ten temat.**

**– Nie rozumiecie mnie. – Wydmuchnąłem dym. – Chodziło mi o to, czy osobiście sprawdziliście historię rok po roku.**

**– Nie – odpowiedziała Leoncja. – Z początku nie było takiej potrzeby, a później stało się to zbyt niebezpieczne. – Spojrzała na mnie czujnie. Była bystrą kobietą. – Do czego zmierzasz, doktorze?**

**– Nie jestem pewien. – Ciężar fajki w dłoni mnie uspokajał. – Wiesz, Jack, dużo myślałem po twojej ostatniej wizycie. To normalne. Mam mnóstwo czasu na myślenie... a wy przyszliście w nadziei, że może będę miał jakiś pomysł, prawda?**

**Pokiwał głową. Zauważyłem, że zaczął drzeć.**

**– Nie wpadłem na żadne genialne rozwiązanie waszych problemów – stwierdziłem – a wasze ostatnie opowieści utwierdzają mnie w mojej niewiedzy. Ale wiem jedno. Wallis wierzy, że jego organizacja, zmodyfikowana nieco, ale wciąż opierająca się na podstawach, które on wymyślił, będzie czymś istotnym w świecie po upadku Mauraiów. To, co wy odkryliście w czasie waszej ostatniej wizyty w przyszłości, niezbyt pasuje do obrazu, jaki przedstawia Wallis. Tak więc jest jakaś sprzeczność. A co do tego, co się wydarzyło w międzyczasie... Macie jedynie słowa Wallisa, który przecież jest butny i na dodatek urodził się ponad sto lat temu.**

**– Co ma do tego data jego urodzin? – zdziwił się Havig.**

**– Sporo. My żyjemy w trudnych czasach. Dostaliśmy od historii twarde lekcje, których nie doświadczyła generacja Wallisa. On mógł co najwyżej słyszeć o analizie operacyjnej, ale jej nie stosował, bo to go przerasta.**

**Havig zaczął słuchać uważniej.**

**– Przykładem dwudziestowiecznego myślenia jest chociażby twój chronolog – tłumaczyłem dalej. – Co się z nim stało?**

**– Stary egzemplarz został w Konstantynopolu, kiedy mnie złapali.**

Zakładam, że znalazł go nowy właściciel domu i albo rozbił na kawałki, albo przestraszył się, że to są czary, i wyrzucił do morza. Teraz mam nowe modele.

Przebiegł mnie dreszcz. Zacząłem trochę lepiej rozumieć Leoncję.

– Człowiek, który cię złapał, a to był Krasicki, czyli jeden z bardziej wykształconych ludzi w tamtej ekipie, nie pomyślał, żeby to zabrać ze sobą do badania – powiedziałem. – Co nieźle chyba puentuje mój punkt widzenia. Przecież każdy podróżnik w czasie ma kłopoty z trafieniem w odpowiednią datę i godzinę. Dla ciebie był to problem do rozwiązania. I znalazłeś rozwiązanie w postaci odpowiedniego urządzenia. Wystarczało tylko znaleźć firmę, która ci je zbuduje. Wallisowi nic takiego nigdy nie przyszło do głowy – oznajmiałem z dumą, wydmuchując dym z fajki. – Ani nikomu z tej jego bandy. Takie podejście do problemów jest im obce.

Znowu zapadła cisza. Goście rozważali moje słowa.

– Sam nie wiem – przyznał Havig. – Jestem najmłodszym podróżnikiem w czasie. W sensie epoki, w której się urodziłem. Czyli przed wojną ostateczną.

– No właśnie, wykorzystaj to. Zrobiłeś już pierwszy krok, badając

okres

po

upadku

Federacji

Mauraiów.

Tobie

wydaje

się

nieprawdopodobne, że ludzie Wallisa nie zrobili tak samo dokładnych badań. Musisz jednak pamiętać, że on pochodzi z czasów, w których nie zajmowano się przyszłością. Wtedy wszyscy wierzyli, że karczowanie lasów i eksploatacja kopalń będą trwały wiecznie. To były czasy Clerka Maxwella (myślę tu przede wszystkim o jego pracach, które później doprowadziły do powstania cybernetyki), Babbage'a, Peirce'a, Ricarda, Clausewita i wielu innych myślicieli, którzy stworzyli podwaliny dwudziestego wieku. W tamtych czasach zasiane przez nich ziarna jeszcze się nie rozwinęły. Jak prawdopodobnie wielu innych podróżników w czasie Wallis długo nie zabawił w swojej erze i nie zdążył niczego się nauczyć. Chciał przecież zostać supermenem... A ty, Jack, możesz skorzystać z całej tej wiedzy.

Leoncja patrzyła na mnie w zadumie. Moje stwierdzenie musiało ją zaskoczyć. Havig zaczynał rozumieć mój punkt widzenia.

– Co proponujesz? – spytał.

– Nic konkretnego. I ogólnie bardzo dużo. Skoncentruj się bardziej na strategii niż na taktyce. Nie próbujcie sami walczyć z całą organizacją.

Stwórzcie lepszą.

– A skąd weźmiemy jej członków?

– Zewsząd. Wallis wysilił trochę wyobraźnię przy rekrutowaniu, ale jego metody były gruboskórne, a wyniki minimalne. Na przykład jestem pewien, że w Jerozolimie tamtego dnia musi być więcej podróżników.

Jego agenci zlokalizowali jedynie tych najbardziej oczywistych i wrócili do swoich czasów. Musi być jakiś sposób przyciągnięcia innych.

– Hmm... sam się nad tym zastanawiałem. – Havig podparł podbródek dłońmi. – Choćby chodzić po ulicach i nucić pieśni z mszy po grecku...

– I po łacinie. Nie możesz pozwolić na jakieś zatargi. – Mocniej ścisnąłem fajkę. – Poza tym czy naprawdę musicie trzymać wszystko w tajemnicy? Wiem, że twój „wujek” miał rację, ale wtedy byłeś dzieckiem. Teraz jesteś już dorosły.

Wallis uważa zwykłych ludzi za motłoch. Nawet tak ich nazywa, prawda? I zawsze przydziela ich do drugorzędnych prac. I jedyne, co przez to osiągnął, to oddzielenie ich od siebie murem psychicznym.

Zrobiłem delikatne rozeznanie w Holberg College i w Berkeley. Mogę cię skontaktować z naukowcami, którzy są w stanie zaakceptować twoje istnienie i dochować tajemnicy. No i pomogą ci podobnie jak ja.

– Dlaczego? – zdziwiła się Leoncja.

Havig poderwał się z krzesła. Nerwowo chodził po pokoju i sam zaczął jej odpowiadać.

– Żeby otworzyć świat, kochanie. Tacy jak my nie mogą przecież rodzić się tylko pośród białych. To nie miałoby najmniejszego sensu. Są jeszcze

Chiny,

Japonia,

Indie,

**Afryka,**

**Ameryka**

**z**

**czasów**

**prekolumbijskich. Możemy rekrutować z całej ludzkości. Możemy**

**wybierać najlepszych. Możemy szukać młodych i ich szkolić. Mój Boże!**

**Kto by się przejmował bandą zacofanych maniaków z przyszłości. To my**

**możemy stworzyć przyszłość!**

**\***

**Oczywiście nie było to takie proste. Poświęcili dziesięć lat swojego**

**osobistego życia na przygotowania. Nie zaniedbali też swych prywatnych**

**spraw. Kiedy spotkałem ich następnym razem (po tym jego telefonie) w**

**marcu, zachowywali się jak wszystkie szczęśliwe małżeństwa z**

**długoletnim stażem. Mimo że dla nich była to szczególnie wyczerpująca i**

**niebezpieczna dekada.**

**Co więcej, był to czas, który zmuszał ich oboje do dokładnego**

**przemyślenia każdego kroku i do subtelnego realizmu. Zadanie stojące**

**przed Havigiem zajęłoby mu całe życie i wciąż jeszcze byłoby nie**

**skończone, gdyby nie posłuchał mojej rady. Za moim pośrednictwem**

**spotkał się ze wskazanymi przeze mnie przedstawicielami uczelni i think**

**tanków<sup>15</sup>. Kiedy udało mu się ich przekonać do swojego pomysłu, oni**

**kontaktowali go z następnymi ekspertami. Stworzył w ten sposób**

**wyjątkowo potężny zespół doradców (wielu z nich zrezygnowało później**

**ze swoich dotychczasowych zajęć i zmieniło pracę lub przeszło w stan**

spoczynku – ku zdumieniu swoich współpracowników). Czasami docierały do mnie informacje o postępach ich prac. Wymyślili metody nawiązywania kontaktów z podróżnikami w czasie ze wszystkich krajów. Szczegóły zajęłyby osobną książkę, więc je pominię. Większość z tych metod okazała się nieskuteczna. Niektóre jednak zadziałały.

Na przykład wysyłano ludzi do zbadania w sposób dyskretny plotek na temat osób, których inność mogła nosić typowe znamiona dla podróżników mieszkających w danej okolicy. Szukano szamanów, wioskowych czarownic, lokalnych mnichów, którzy mieli opinię szczególnie skutecznych cudotwórców.

Chłopów, którym zawsze udawało się siać i zbierać plony w czasie dobrej pogody. Kupców, którzy mieli niesamowite szczęście w czasach, kiedy sztormy i piraci doprowadzały innych do ruiny. Żołnierzy, którzy mieli opinię nadzwyczaj biegłych szpiegów lub zwiadowców. Niekiedy okazywało się, że taka osoba jest prawdziwym podróżnikiem w czasie...

Opracowano również sposoby badania wędrownych wróżbitów...

Pierwszych rekrutów starano się od razu kształcić w sposobach wyszukiwania następnych rekrutów. Dzięki temu nie marnowali swojej energii na próbach zostania władcami czasu. Zaowocowało to efektem kuli śnieżnej. W procesie dalszego szkolenia również stosowano metody wybiegające poza percepcję dziewiętnastowiecznego Amerykanina, dla którego dwudziesty wiek był dekadencją, a wszystkie wcześniejsze kultury godne pogardy. Istnieją nowoczesne metody nauczania języków obcych. Istnieją stare jak świat sposoby rozwijania ciała i zmysłów, które

**Zachód zwykle lekceważył. W wyniku wojen, rewolucji, inwazji i okupacji**

**nauczyliśmy się również, w jaki sposób formować, dyscyplinować,**

**ochraniać i skłaniać do współpracy zespoły ludzi.**

**15 Think tank - Grupa osób lub instytucji mających wspólne cele, ale niekoniecznie posiadające status**

**organizacji pozarządowych. Do celów działalności think tanków należy zazwyczaj poszukiwanie sposobów**

**Nade wszystko wpajano nowo przyjętym koncepcję pracy**

**zespołowej. Nie w wersji totalitarnej, której Havig nienawidził, czy**

**korporacyjnej, którą pogardzał. Starał się stworzyć oświecony**

**pragmatyzm, który automatycznie odrzucał samokreujących się**

**arystokratów grupowych, zmuszał do słuchania głosów innych i do brania**

**tych opinii pod uwagę. Przede wszystkim zaś do utrzymywania**

**nieskrępowanego i pełnego obiegu informacji między kierownictwem a**

**grupą.**

**Nasza epoka skończy się zgliszczami, ale pozostawi po sobie dar, za**

**który później ci, co przeżyją, będą nam wdzięczni.**

**Samo znalezienie podróżników w czasie było zaledwie początkiem.**

**Trzeba było tych ludzi jakoś zorganizować. W jaki sposób? Dlaczego**

**mieliby opuszczać swoje domy, godzić się na ograniczenia i ryzykować**

**życie? Co mogłoby ich zatrzymać w takiej grupie w chwilach zwątpienia,**

**zmęczenia, strachu czy zwykłej tęsknoty za ukochanymi?**

**Nadzieja na znalezienie wspólnoty w grupie podobnych do siebie**

**przyciągała część z nich. Havig mógł to wykorzystać podobnie jak Wallis.**

**Ale to było trochę mało. Wallis ofiarował wiele dodatkowych atrakcji.**



**Jego ludzie mieli cały świat u swoich stóp i praktycznie żadnych ograniczeń w spełnianiu zachcianek. Bardziej inteligentnym oferował władzę, wielkość i szansę na stanie się częścią przeznaczenia (lub obowiązku, jeżeli udało się to komuś tak przedstawić).**

**Poza tym byli tacy, którzy szukali wiedzy lub po prostu chcieli być obecni w chwili największego triumfu ludzkości albo najzwyczajniej w świecie lubili przygody. Takim ludziom Havig mógł zaproponować coś lepszego.**

**To wszystko jednak nie wystarczało do zmotywowania ludzi do wojny z Orlim Gniazdem. Dla przeciętnego podróżnika w czasie taka organizacja była czymś monstrualnym. Ale przecież większość rządów i instytucji też jest na swój sposób monstrualna. Dlaczego Wódz miałby być kimś gorszym?**

**– Wymyślanie sposobów indoktrynacji... – Havig westchnął ciężko.**

rozwiązywania problemów społecznych i udział w debatach publicznych. Na przykład Klub Rzymski na

przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

**– Wredna robota, prawda? Sugeruje nieustanną propagandę i zastraszanie. Szczerze mówiąc, staramy się po prostu wyjaśniać.**

**Próbujemy przedstawiać same fakty, by nasi rekruci sami zrozumieli, że Orle Gniazdo nie jest zdolne ze swej istoty do pozostawienia ich w spokoju. To wcale niełatwe. Znasz może sposób na przekonanie samuraja z okresu Kamakury, że chęć rządzenia światem stanowi dla niego bezpośrednie zagrożenie? Wpadłem tu tylko po to, żeby przyjrzeć się**

najnowszym pomysłem naszych antropologów i specjalistów od semantyki. A musimy też stawić czoło innym wyzwaniom: prymitywnej lojalności do przywódców i kolegów, zamiłowaniu do bójek... albo chęci zostania bogaczem w legalny sposób. Niektórzy mają jeszcze bardziej wymyślne marzenia...

Zazdrościłem mu wyzwania, z którym się mierzył. Wyobraźcie sobie, że trzeba najpierw odnaleźć, a potem zamienić w jeden zespół: nauczyciela konfucjanizmu, łowcę kangurów świetnie rzucającego bumerangiem, afrykańskiego kowala, meksykańskiego pastucha, Eskimoskę i ucznia z Polski... Największym osiągnięciem był sam fakt, że udało się ich wszystkich zgromadzić. Tacy ludzie nie potrzebowali szczególnej indoktrynacji na temat Orlego Gniazda. Z reguły sami dochodzili do wniosku, że Havig jest ich jedyną szansą.

Wstępne szkolenie przechodzili w różnych epokach i w rozwiniętych miejscach. Potem na najróżniejsze i zwykle szalone sposoby sprawdzano, czy można im zaufać. Przypadki wątpliwe – nie było ich tak wiele – odprowadzano do ich rodzinnych epok i tam zostawiano z pewną sumą pieniędzy. Na tym etapie nie przekazywano zbyt wielu informacji o Wallisie, żeby nie ułatwiać kontaktu. Zresztą z reguły ludzie ci żyli tysiące kilometrów od Ameryki.

Pozostali – większość – trafiali do głównej bazy, gdzie pracowali przy jej tworzeniu i umacnianiu, a także przechodzili dalsze szkolenie. Geograficznie było to niedaleko siedziby Orlego Gniazda, ale czasowo mieściło się w połowie plejstocenu. Stanowiło to problem sam w sobie.

**Podróż tak daleko w przeszłość była wyjątkowo długa, wymagała specjalnego wyposażenia i stacji pośrednich dla odpoczynku. Stacje musiały zostać wyznaczone na trasie, a wyposażenie musiało tam zostać dostarczone w częściach, przez co ich budowa trwała bardzo długo. Ze względów bezpieczeństwa było to warte zachodu. Sama baza wznosiła się na szczycie porośniętego lasem wzgórza, u którego stóp płynęła potężna rzeka. Leoncja twierdziła, że jej wody lśniły w słońcu jak brąz.**

**Obie płci były reprezentowane mniej więcej po połowie. Tak więc społeczność się rozwijała. Nie było dzieci z wyjątkiem najmłodszych rekrutów znalezionych w trakcie poszukiwań, ale udało się stworzyć społeczność mającą tożsamość, prawa, zwyczaje i ceremonie, opowieści i tajemnice. I to wszystko w ciągu niewielu lat. To był prawdziwy triumf Haviga. Wódz stworzył armię. Człowiek, który przysiągł go obalić, stworzył plemię.**

**\***

**Dowiedziałem się tego wszystkiego, kiedy Havig i Leoncja odwiedzili mnie w marcu. Byli wtedy w ferworze pracy. Dopiero w Halloween poznałem drugą część tej historii.**

## **Rozdział 15**

**Cienie – czyli czas – umykały do tyłu. Kiedy ktoś się zatrzymał, żeby zaczerpnąć powietrza lub coś zjeść, zamieniały się w prawdziwe kształty i kolory, a także nabierały wagi i wymiarów. Pory roku zmieniały się jak w kalejdoskopie, lodowce zakrywały całe wzgórza i odsłaniały je podobne do zamieci śnieżnych. Ich miejsce zajmowały jeziora, będące wodopojem**

dla mastodontów, i zaraz zmniejszały się w kałuże, żeby ustąpić miejsca sawannom, których trawa stanowiła pożywienie dla stad koni i trójgarbnych wielbłądów. Potem znowu pojawiał się lodowiec i ponownie klimat umiarkowany. Dawne zwierzęta ginęły, pojawiały się stada bizonów, których masy zaciemniały prerię, a tętent kopyt przypominał trzęsienie ziemi. Pierwsi miedzianoskórzy osadnicy biegali uzbrojeni we włócznie. I następowała Wielka Zima i Wielka Wiosna. Tym razem osadnicy mieli już łuki, a na morenach zaczęły rosnać lasy. Najpierw brzozy i modrzewie oraz dęby, a potem niekończąca się różnorodność innych gatunków. Nagle drzewa zniknęły w mgnieniu oka, bo ludzie je wycinali milionami. Potem zaczęli orać, siać i zbierać plony. Wreszcie pojawiły się żelazne drogi, po których przemieszczały się ziejące ogniem cienie.

Grupa Haviga na ostatni postój zatrzymała się na farmie należącej do młodego rolnika, który nie był podróżnikiem w czasie, ale mu ufali. Używali jego domu również jako magazynu. Podróż do tego miejsca w czasoprzestrzeni była niemożliwa bez miniaturowych aparatów tlenowych. Inaczej musieliby się zatrzymywać po drodze, ryzykując trafienie na lodowiec lub jezioro. To właśnie stanowiło najlepsze zabezpieczenie bazy.

Wyposażenie było największym problemem, a tutaj mogli wreszcie zaopatrzyć się w broń.

Naftowa lampa oświetlała stół kuchenny przykryty ceratą. Na piecu opalonym drewnem grzał się czajnik. Najbliżsi sąsiedzi znajdowali się o

**pół godziny jazdy konno przez pola, chronione od wiatru przez okoliczne lasy. Olaf Torstad zawsze przyjmował gości po zmroku, przez co sąsiedzi, których dziwiło palące się do późnej nocy światło w oknach, uznawali go za nieszkodliwego dziwaka. Mówiono też, że stateczny farmer cierpi na bezsenność, więc nocami czyta książki.**

**– Już się szykujecie do dalszej drogi? – spytał.**

**– Tak – odparł Havig. – Do świtu musimy przebyć jeszcze spory kawałek drogi.**

**– Nie powinno się brać kobiet na wojnę – stwierdził Torstad, patrząc na Leoncję.**

**– A gdzie powinny być, jak nie u boku swoich mężczyzn? – odparła ze śmiechem. – Jack też nie potrafił mi tego wybić z głowy, więc nie trać czasu.**

**– Cóż, inne czasy, inne obyczaje. Ale ja się cieszę, że urodziłem się w 1850 roku. Co nie znaczy, że nie doceniam tego, co dla mnie zrobiliście – dodał szybko.**

**– Ty zrobiłeś dla nas więcej – rzekł Havig. – Przywiązaliśmy cię do tego miejsca, ponieważ potrzebowaliśmy kryjówki w pobliżu lokalizacji Orlego Gniazda. To ty ponosiłeś całe ryzyko i musiałeś się martwić, żeby utrzymać wszystko w tajemnicy... Nieważne. Dzisiaj to się skończy. – Wysilił się na uśmiech. – Możesz wywalić wszystko, co tu zostawimy, wreszcie ożenić się z narzeczoną i żyć dalej w spokoju.**

**– W spokoju? – W oczach Torstada pojawiła się panika. – Ale przecież wróćcie? Powieście mi, jak to się skończyło.**

– Jeżeli wygramy. – Havig zastanawiał się, ile podobnych przyrzeczeń już złożył i ilu ludzi musiał porzucić w trakcie swojej podróży. – No, bierzemy wyposażenie. Gdybyś zechciał nas podrzucić, to przydałby nam się jeszcze zaprzęg, który by nas podwiózł do celu.

**Ruszajmy!**

\*

Pozostali też byli już w drodze. Są w drodze. Mają być w drodze.

Nie był to wielki tłum. Niecałe trzy tysiące ludzi. Dwie trzecie stanowiły kobiety, resztę najmłodszy i najstarszy oraz chorzy. Wszyscy, którzy nie byli konieczni do walki. I tak było ich zbyt wielu na zgromadzenie w jednej stacji przesiadkowej. Powstałe w wyniku tego

plotki

mogły

przecież

jakoś

dotrzeć

do

wrogów.

Samo

przetransportowanie ich w tajemnicy do Ameryki stanowiło nie lada

wyzwanie.

Część z nich rozpoczęła podróż w czasach prekolumbijskich.

Prowadził ich Indianin z plemienia Dakota, który w swoim klanie był uzdrowicielem. Na plecach nosił, podobnie jak przewodnicy pozostałych

**grup, nowy chronolog. Mógł dzięki niemu precyzyjnie ustalić swoje położenie i czas.**

**Gdzieś w osiemnastym wieku pojawiła się nagle grupa traperów, która zniknęła bez śladu.**

**Niecałe sto lat później kapitan wyprawy wojskowej napotkał grupę białych, którym wyjaśniał, że rząd w Waszyngtonie chce najpierw szczegółowego rozpoznania, zanim przekaze te tereny osadnikom.**

**W późniejszych czasach przyzwyczajono się w okolicy do rzadkich spotkań z Murzynami zatrudnionymi przy budowie metra.**

**W 1920 roku nikt nie chciał wiedzieć, kto i gdzie się przemieszcza tym szlakiem. Było powszechnie wiadomo, że jest to ulubiony szlak przemytników whiskey z Kanady.**

**Jeszcze później jeździły tędy czasami autobusy z napisem „Wynajęte”, które zostawiały pasażerów w nocy pośrodku pola i wracały puste ze zmienionym napisem „Zjazd do bazy”.**

**Pod koniec dwudziestego wieku na pobliskim lotnisku lądowało mnóstwo jumbo jetów. Podróżujące nimi tłumy nie wzbudzały niczyjego zainteresowania. Wycieczki organizowane przez biura podróży stanowiły codzienność.**

**Długo później przez ten rejon przejechała wielka grupa jeźdźców ubranych i zachowujących się jak Mongowie. Nigdy jednak nie osiedlili się w tej okolicy, więc ich wczesny zwiad pozostał niezauważony.**

**\***

**Havig wraz szóstką swoich ludzi pojawił się w normalnej**

przestrzeni. Jego chronolog zamigotał na czerwono krótko przed wschodem słońca. Był Nowy Rok, już sto siedemdziesiąt siedem lat istniało Orle Gniazdo. Niebo na zachodzie wciąż jeszcze było ciemne i świeciły na nim gwiazdy. Na wschodzie powoli szarzało. Z mroku wylaniała się forteca z murami obronnymi i wieżami. Świt zaśnił w oknach, które były spowite lodowymi kwiatami, i na bruku podjazdów. Wokół panowała niesamowita cisza, jakby wszystkie dźwięki zamarły w tym mrozie ścinającym płuca i tworzącym parę z oddechów. Odłożył na bok chronolog. Jego ludzie ćwiczyli wszystko wielokrotnie. Ubrani byli jednakowo. Wojskowe kurtki, watowane spodnie wpuszczane w skórzane buty, hełmy i broń oraz pasy z wyposażeniem. Havig znał dobrze ich twarze, nawyki i możliwości. Spędzili przecież razem szmat życia. Leoncja z rudym kosmykiem włosów na czole. Chao, Indhlovu, Gutierrez, Bielawski i Maatuk ibn Nahal. Złączyli na moment dłonie i rozpoczęli zaplanowaną akcję. Odbezpieczyli broń i wycelowali ją w miejsce, skąd powinien dobiec głos strażnika pilnującego wejścia. Mieli szczęście. Zaplecze Orlego Gniazda było pilnie strzeżone przez wszystkie lata w przeszłości i miało tak być również w przyszłości. Sam Wódz sprawdzał to osobiście, odwiedzając swoje „ja” w przyszłości. Było tu teraz więcej ludzi, którzy służyli jego sprawie, i wszyscy potrzebowali poczucia bezpieczeństwa w czasie wypoczynku. Wielu agentów wybierało zimę na czas swoich urlopów, żeby uciec od tej ponurej fortecy i surowego klimatu. Wódz jednak zawsze był obecny w sylwestra, żeby



przewodząceremoniom i wygłaszać przemówienie. Na zakończenie urządzano hulaszczeprzyjęcie. Kto mógł mieć za złe strażnikowi, że w najgorszej godzinie szarówkiprzymknął na chwilę powieki?

– OK – powiedział Havig. – Kocham cię, Leoncjo – dodał szeptem.

Ich usta dotknęły się na moment.

Oddział ruszył do wieży będącej siedzibą Caleba Wallisa. Drzwi były zamknięte na klucz.

– A niech to szlag! – zakląła Leoncja. Rozwalila zamek w drzwiach strzałem z pistoletu. Huk był przeraźliwie głośny w mroźnej ciszy.

Żadna operacja wojskowa nie odbywa się według ustalonego planu, przypomniał sobie Havig. Zawsze należy mieć plany awaryjne.

Obsuwa ich planu w tym miejscu mogła jednak oznaczać koniec całej operacji.

Poprowadził oddział do środka. Gdzieś z tyłu rozległy się krzyki. Czy naprawdę brzmiały bardziej jak zaskoczenie niż ogłoszenie alarmu? Może się tylko ludził? Nieważne. Najpierw przez hol, potem schodami w górę.

Rozległ się stukot butów o posadzkę. Ich odgłos poraził Haviga.

Czworo ludzi osłaniało tyły i spiralną klatkę schodową. Gutierrez i Bielawski pilnowali parteru i głównego wejścia wraz z windą. Indhlovu i

Chao zajęli pozycje na drugim i trzecim piętrze. Mieli zająć się pokojami sekretarza – Havig nie miał pojęcia, kto nim był w tym momencie – i

Austina Caldwell. Teraz miał przed sobą ostatnią przeszkodę. Drzwi apartamentów Wallisa.

Nie były strzeżone. Nikt nie ośmielał się tam wejść bez zaproszenia.

**Chyba że przyszedł ktoś, kto zamierza rozwalić to wszystko w pył.**

**W środku niewiele się zmieniło. Boazerie, skóry zwierząt na podłodze, ciężkie biurko i krzesła, fotografie matki i sławnych ludzi.**

**Zamarznięte szyby i ciężkie kotary powiększały jedynie panujący tu półmrok. Havig z Leoncją wskoczyli do środka.**

**Wallis leżał na wielkim podwójnym łóżku. Lata zrobiły swoje – był całkiem siwy. Twarz miał naznaczoną mnóstwem odbarwień i zmarszczek. Śmiesznie wyglądał w nocnej koszuli. Sięgnął po pistolet leżący na stoliku przy łóżku.**

**Leoncja skoczyła na niego przez cały pokój.**

**Wallis zniknął, a z nim Leoncja, której jednak udało się go dotknąć.**

**Po chwili pojawili się na podłodze, przetaczając się po niej w walce wręcz.**

**Żadne nie mogło uciec w czasie, dopóki trwali w zwarciu. Ich oddechy zaczęły przypominać ciężkie sapanie. Havig krążył dookoła. Siły zapaśników były wyrównane i nie mógł pomóc Leoncji bez narażania jej na niebezpieczeństwo.**

**Usłyszał huk wystrzału w przedpokoju.**

**Schował się za drzwiami i ostrożnie wyjrzał. Maatuk leżał nieruchomo na podłodze, a nad nim stał Austin Caldwell z bronią w ręku, szukający nowego celu. Kiwał się z osłabienia i oddychał ciężko, ze świstem. Miał przestrelone płuco. Musiał dopaść Chao, zanim doszedł tutaj, ale sam również został postrzelony.**

**– Poddaj się! Mam cię na muszce! – krzyknął Havig.**

**– Idź... do diabła... zdrajco... – wychrypiał Caldwell i wypalił.**

W ciągu tych wszystkich lat Havig napatrzył się na wiele dobrego i na wiele okropności popełnianych w służbie Wodza. Teraz przypominał sobie własnych ludzi i Xenię. Przesunął się w przyszłość o jedną minutę, przeszedł do przedpokoju i strzelił. Kula rozbiła fotografię Karola Wielkiego stojącą na biurku, wcześniej powalając Caldwell'a na podłogę.

Z dziedzińca, z sąsiednich budynków i z innych pięter zaczęły dochodzić odgłosy wybuchów. Havig pośpiesznie wrócił do sypialni.

Leoncja złapała Wallisa za obie nogi i trzymała go kurczowo. Wódz okładał ją pięściami po plecach i po głowie, ale dziewczyna nie zwalniała uchwytu. Jego ciosy zaczęły słabnąć i w końcu przestał się bronić.

– Złap go teraz – sapnęła. – Szybko.

Havig wyciągnął z kieszeni kajdanki z długim łańcuchem, ukląkł i skuł nimi Wodza, przypinając drugi koniec do nogi od łóżka.

– Już nigdzie nie pójdzie – oznajmił. – Chyba że ktoś go uwolni.

Pilnuj go.

– I mam stracić całą zabawę? – oburzyła się.

– To rozkaz! – warknął. Spojrzała na niego strasznym wzrokiem, ale posłuchała. Ich cały plan opierał się na złapaniu tego więźnia. – Jak tylko będzie to możliwe, przyślę kogoś, żeby cię zmienił – dodał. Jak tylko skończy się walka, dopowiedział w myślach.

Znowu przeniósł się w czasie. Jego dziewczyna zniknęła i nie wiedział, czy się obraziła, czy ktoś ją zmienił.

Wyszedł na balkon, z którego Wallis wygłaszał przemówienia, i spojrzał na dziedzińce. Panował chaos, wszędzie toczyły się walki. Ranni

**czołgali się i jęczeli. Martwi leżeli, tam gdzie padli. Wrzaski i huk broni wypełniały powietrze.**

**Popatrzył w dół przez lornetkę. Czasami udawało mu się rozpoznać walczącego... lub jego ciało. Widział Juana Mendozę... i młodego Jerry'ego Jenningsa, którego miał nadzieję przekonać do swoich racji... Kolejne oddziały jego ludzi pojawiały się w normalnej przestrzeni i od razu włączali do walki. Wreszcie na niebie pojawiły się spadochrony z ludźmi, którzy skakali z dwudziestowiecznych samolotów wyposażeni w indywidualne chronologi, żeby trafić w cel dokładnie o czasie.**

**W rzeczywistości sytuacja nie była aż tak zagmatwana, jak mogło się wydawać patrzącemu z balkonu. Od samego początku garnizon Wallisa, składający się głównie ze zwykłych ludzi, był zrównoważony podobną ilością podróżników w czasie, którzy poprzedniej nocy starali się nie pić za dużo. Piąta kolumna została wynaleziona na długo przed narodzeniem Haviga, ale jego doradcom udało się doprowadzić ten pomysł na szczyty wyrafinowania.**

**To dzięki temu i informacjom uzyskanym przez agentów (no i dzięki precyzji chronologów) jego sztab (składający się z zawodowych żołnierzy) opracował i sprawdził w symulacjach i na prawdziwym modelu fortecy właściwy plan akcji... Jego zwycięstwo było właściwie nieuniknione.**

**Liczyło się jedynie zminimalizowanie liczby agentów, którzy uciekną w czasie, zanim zostaną unieszkodliwieni. Drugorzędną sprawą, choć dla Haviga równie ważną, było zminimalizowanie strat. Po obu stronach.**

**Zawiesił lornetkę na szyi i sięgnął po radio przyczepione do ramienia. Zaczął wywoływać dowódców poszczególnych oddziałów.**

**\***

**– Dzięki zaskoczeniu i dobremu przygotowaniu – opowiadał mi – nie straciliśmy wielu agentów podróżujących w czasie. Mieliśmy ich akta osobowe, więc stosunkowo łatwo było ustalić epokę, w której mogli się schronić. Nikt przecież nie ucieka na oślep, tylko w znajomy czas i teren. To znacznie ogranicza dostępne opcje.**

**– Czyli nie złapaliście wszystkich? – zmartwiłem się.**

**– Nie. Zresztą to było niemożliwe.**

**– Myślę, że ucieczka choćby jednego jest już ryzykiem. Może przecież pojawić się przed waszym atakiem i ostrzec wszystkich...**

**– O to nigdy się nie martwiłem, doktorze. Wiedziałem, że nikt tego nie zrobił, a co za tym idzie, nie zrobi tego w przyszłości. I można to wytłumaczyć w bardzo ludzki sposób, bez uciekania się do fizyki czy metafizyki.**

**Żaden z nich nie był supermenem. W rzeczywistości byli to słabeusze, którym przydzielono do prac pomocniczych. W najlepszym wypadku mogli to być żołnierze. Bardzo brutalni, ale niewykształceni i przesądni. Wallis ograniczał ich szkolenie do elementów potrzebnych w konkretnych zadaniach. Nigdy nie zamierzał zapewnić im normalnej edukacji. To mogło zagrozić jego pozycji i opinii nieomylnego.**

**Dlatego ci, którym udało się uciec, mieli zniszczone morale. Myśleli głównie o schowaniu się przed nami. Nawet jeżeli zastanawiali się nad**

**powrotem, to musieli dojść do wniosku, że mieliśmy wśród nich szpiegów, którzy mogli w każdej chwili udaremnić ich zamiar. – Havig zachichotał. – Sam się zdziwiłem, kiedy zorientowaliśmy się, kim niektórzy byli. Reuel Orrick, stary hochsztapler z jarmarków... Borys, ten mnich z Jerozolimy... Przerwał, żeby się napić scotcha.**

**– Nie – dodał zdecydowanie. – Po prostu nie chcieliśmy, żeby jacyś bandyci uniknęli odpowiedzialności. I mam nadzieję, śmiem mieć nadzieję, że tak się nie stało. No bo niby w jaki sposób jakiś kondotier, bez pieniędzy i wykształcenia, całkiem sam, miałby dać sobie radę w epoce białych Amerykanów czy przedostać się do Europy. Najlepszym rozwiązaniem była ucieczka w czasy Indian. A w tamtych czasach lepiej im było zostać szamanami niż złodziejami. Może nawet niektórzy dożyli swoich dni jako wybitni członkowie swoich plemion. To prosty przykład, ale chciałem ci tylko pokazać, o co mi chodzi.**

**– Jeżeli chodzi o przyszłość – wtrąciła się Leoncja tonem łagodnej tygrysicy – to się trzymamy. Przejęliśmy Orle Gniazdo z czasów fazy drugiej, i na razie je rozbudujemy. Nikt nas stamtąd nie wygoni.**

**– Przejęliśmy w sensie wojskowym – szybko dodał jej mąż. –**

**Zamierzamy się zająć normalnymi mieszkańcami Orlego Gniazda. Muszą stać się wolni. Nasi ludzie zachowują się poprawnie. Podróżują teraz w przeszłość jedynie w celach rekrutacji. Kiedy zachodzi potrzeba zdobycia pieniędzy, zajmują się handlem.**

**– Jack pochodzi z romantycznej epoki. – Leoncja nie próbowała ukryć chichotu.**

**Zmarszczyłem brwi, próbując wszystko zrozumieć.**

**– Poczekajcie – odezwałem się wreszcie. – Mielście przecież jeden wielki problem, o którym nie mówicie ani słowa. Co z więźniami?!**

**– Tutaj nie było dobrych rozwiązań. – Havig lekko pobladł i zaczął mówić bezosobowym tonem: – Nie mogliśmy ich przecież wypuścić, a jeszcze długo wracali agenci z urlopów, tych też trzeba było aresztować.**

**Nie mogliśmy ich przecież tak po prostu rozstrzelać. I zrozum to dosłownie. Po prostu nie potrafiliśmy. Nasi ludzie nie są do tego zdolni.**

**Nie chcieliśmy ich również trzymać do końca życia w więzieniu.**

**– To nawet gorsze niż rozstrzelanie – mruknęła Leoncja.**

**– No właśnie – westchnął Havig. – Nie wiem, czy pamiętasz. Chyba wspominałem ci o tym kiedyś. Mówię o narkotykach, które opracowali Mauraiowie pod koniec swojej ery. Mój przyjaciel Carelo Keajimu będzie się tym strasznie martwił. Te środki są tak silne, że potrafią całkowicie i na zawsze zmienić czyjeś przekonania. Nie robią z człowieka zwykłego fanatyka, ale zmieniają go o wiele głębiej. Sam zaczyna wymyślać racjonalne wytłumaczenie i tworzyć sztuczne wspomnienia likwidujące sprzeczności logiczne. To ostateczna forma prania mózgu. A tak skuteczna, że ofiara nawet nie zdaje sobie sprawy, co ją spotkało.**

**Aż gwizdnąłem z przejęcia.**

**– O Boże! Chcesz powiedzieć, że masowo zamieniłeś tych wszystkich bandziorów w swoich popleczników?**

**– No nie, nigdy bym się nie pogodził z istnieniem takiej masy zombi we własnych szeregach. Wymagałoby to całkowitego wymazania ich**

pamięci, a potem... To było mało praktyczne. Keajimu załatwił szkolenie z psychotechnologii moim najlepszym ludziom. Ich zadanie było i tak nie do pozazdroszczenia.

Westchnął głęboko, jakby zastanawiając się, co powiedzieć.

– Wszyscy jeńcy zostali pozbawieni wiary w umiejętność podróżowania w czasie. Każdy został sprowadzony do swojej rodzinnej epoki, co samo w sobie było sporym wyzwaniem, i dopiero tam poddany leczeniu. Wmówiono im, że mieli gorączkę, zostali opanowali przez diabły czy coś w tym stylu. Szczegółowy plan był opracowywany indywidualnie. Musieli uwierzyć, że mieli koszmary i wyobrażali sobie rzeczy, które nie istnieją lub są niemożliwe. Dlatego nie powinni nikomu o tym wspominać. Teraz zaś są już wyleczeni i mogą wrócić do normalnego życia. Potem nasi ludzie zostawiali ich samych i wracali po następnych.

– Cóż... – Przez chwilę rozważałem jego słowa. – Muszę przyznać, że metoda ta jest nieco odrażająca. Ale nie bardzo. Sam bywałem zmuszony kłamać lub opowiadać niestworzone fantazje niektórym pacjentom...

– Były dwa wyjątki – wtrąciła Leoncja.

\*

– Chodź ze mną – powiedział łagodnie agent.

Caleb Wallis posłusznie ruszył z opuszczonymi bezwładnie rękami.

Jak automat.

Havig został i wszystkiego doglądał. To była ciężka harówka. Nieraz musiał się cofać o godzinę, by coś zrobić dokładniej. Razem ze swoimi



ludźmi zajmował się przywracaniem Orlego Gniazda do stanu pierwotnego. Wreszcie skończyły mu się wszystkie wymówki i musiał sam wejść do strzeżonej wieży.

Ogromnie się zdziwił na widok Wodza. Wallis radosny siedział za swoim biurkiem w pokoju, z którego usunięto wszystkie ślady niedawnych wydarzeń.

– Proszę, proszę! – powitał go wesolo. – Witaj, chłopcze! Siadaj!

Albo nie. Najpierw nam polej. Wiesz przecież, co lubię.

Havig spełnił prośbę, czując, jak Wódz go obserwuje.

– Wygląda na to, że miałeś wyjątkowo długą i trudną misję, prawda?

– powiedział Wallis. – Postarzałeś się. Ale się cieszę, że ci się udało.

Jeszcze nie miałem czasu przeczytać twojego raportu, cóż, to nie ucieknie. Na razie porozmawiajmy. – Podniósł szklanke w toaście. – Za nasze zdrowie.

Havig upił łyk i usiadł na krześle.

– Pewnie już słyszałeś, że chorowałem – oznajmił mu Wallis. –

Odleciałem na dłuższy czas. Zapalenie mózgu. Jakiś cholerny wirus z przeszłości lub z przyszłości. Łapiduchy twierdzą, że wirusy ewoluują jak zwierzęta. Prawie się zdecydowałem, żebyśmy przerwali na razie nasze działania. Trochę z tego powodu, a trochę dlatego, że chcę się skoncentrować na budowaniu naszej potęgi w tej epoce. Jak ci się ten pomysł podoba?

– Myślę, że to mądra decyzja, sir – odparł Havig.

– Jest jeszcze jeden powód. Kiedy cię nie było, straciliśmy mnóstwo

**naszych najlepszych ludzi. Wyjątkowy pech. Austin Caldwell, słyszałeś**

**już? I Waclaw Krasicki... Hej, chłopcze! Jesteś blady jak ściana. Co ci jest?**

**Dobrze się czujesz?**

**– Tak, sir... tylko wciąż jestem zmęczony. Spędziłem sporo lat w przeszłości...**

**(Leoncja znalazła uwięzionego Krasickiego. Dobrze pamiętała, co się stało z Xenią. Strzeliła mu między oczy. Havig długo nie mógł się zmusić, żeby udawać żal. Dopiero kiedy przyśniła mu się Xenia, która płakała z tego powodu, zaczął szczerze żałować).**

**– ...ale dam sobie radę, sir – powiedział.**

**– Doskonale. Doskonale. Potrzebujemy takich ludzi jak ty. – Wallis zaczął się głaskać po brodzie. Jego głos stał się nagle nerwowy i niepewny.**

**– Tu jest tylu ludzi. Sami nowi. Wszyscy starzy zniknęli. Czasami się zastanawiam, czy oni w ogóle istnieli. Wychodzę na balkon i widzę obcych. Wydaje mi się, że powinienem zobaczyć kogoś o imieniu Juan... lub Hans... nie mogę sobie przypomnieć. Czyżbym majaczył, kiedy leżałem chory? – Zatrząsł się, jakby wiatr powiał mu po plecach. –**

**Ostatnimi czasy czuję się taki samotny. Tak w czasie, jak w przestrzeni...**

**– Jeżeli wolno mi coś sugerować, sir, potrzebuje pan dłuższych wakacji. Mogę zarekomendować kilka miejsc.**

**– Taaak... Chyba masz rację. – Wallis dopił swoją szklankę i sięgnął po cygaro.**

**– A po powrocie, sir – dodał Havig – powinien pan trochę mniej pracować. Podstawy są już zbudowane. Wszystko działa sprawnie.**

– Wiem, wiem. – Wallisowi wypadła zapalka z ręki.

– Potrzebujemy teraz pańskiej wizji, sir. Szerszego spojrzenia na całość. Pańskiego geniuszu. Codzienne zarządzanie można pozostawić innym. Jest tu mnóstwo kompetentnych ludzi.

Wallis uśmiechnął się z zadowoleniem. Wreszcie udało mu się zapalić cygaro.

– Rozmawiałem z wieloma oficerami po powrocie – ciągnął Havig. –

Twierdzą, że dyskutowali z panem na ten temat. Jeżeli można, sir, to chciałbym również przedstawić swoje zdanie. Sądzymy, że ideałem byłoby stworzenie dokładnego harmonogramu pańskich wizyt w przyszłości. Z uwzględnieniem oczywiście chwil, kiedy pana dawne „ja” odwiedzało Orle Gniazdo, żeby się przekonać, jak dobrze nam wszystko idzie. Poza tym... sądzymy, że nie powinien pan zbyt długo przebywać w jednym odcinku czasu. Jest pan zbyt cenny dla całego projektu...

– Słusznie. Właściwie miałem taki zamiar. – Wallis pokiwał głową.

– Ale najpierw wakacje. Muszę się wzmocnić i zacząć wreszcie myśleć jasno. Potem... ciągły rozwój... obserwacja, kilka rozkazów tu i tam, i znowu w drogę... aż wreszcie dojdziemy do celu... Tak, to jest dobry pomysł.

\*

– Mój Boże! – Po raz pierwszy w ciągu swoich pięćdziesięciu lat życia miałem ochotę się za kogoś pomodlić. – To dopiero zemsta...

– To nie jest zemsta. – Havig zacisnął usta ze złością.

– Niech ci będzie. Ale co czuleś, kiedy się pojawiał?

**– Najczęściej starałem się go unikać. A kiedy już musiałem być, zwykle były to jakieś przyjęcia dla uczczenia jakiejś rocznicy. Wtedy nikt się nie przejmował faktem, że się upilem. Ludzie, którzy musieli się z nim kontaktować regularnie, mówili mi – mówią mi – że można się do tego przyzwyczaić. To takie budowanie temporalnych potiomkinowskich wiosek. Za każdym razem trzeba wszystko montować od początku. Przyzwyczaili się do organizowania mu pobytów w przeszłości w najbardziej sybaryckich miejscach i do przyjęć rocznicowych. Za każdym razem tracił trochę swojego osobistego czasu. Wszyscy bardzo się starali, żeby każde spotkanie było jak najbardziej naturalne. Chyba w ten sposób zagłuszali wyrzuty sumienia.**

**– Czemu? Czy nie miał gdzieś zniknąć pod koniec życia?**

**Havig walnął pięścią w poręcz krzesła.**

**– Zniknął. Zniknie. Usłyszymy jego wrzask i znajdziemy tylko pusty pokój. Musiał ruszyć w daleką przyszłość, ponieważ nasze poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Nigdy się już nigdzie nie pojawi.**

**Wypił duszkiem swoją szklankę. Miałem wrażenie, że potrzebuje jeszcze, więc mu dolałem bez pytania. Leoncja pogładziła go po głowie.**

**– Przestań się tym zamartwiać, kochany – mruknęła. – Nie jest tego wart.**

**– Zwykle tego nie robię – powiedział tonem wypranym z emocji. –**

**Przestańmy o tym mówić.**

**– Nie rozumiem, dlaczego...**

**Leoncja uśmiechnęła się do mnie, ubolewając nad delikatnością**

męża. Powiedziała mi coś, co dla niej nie miało żadnego znaczenia.

– Podobno przed śmiercią mózg uwalnia się spod działania tego narkotyku i człowiekowi wraca pamięć.

## Rozdział 16

Trzydziesty pierwszy października 1971 roku wypadł w niedzielę.

Następnego dnia dzieciaki szły do szkoły. A to znaczyło, że te urwisy będą musiały rano wstać, więc zaczęły mnie nachodzić wcześniej niż zwykle w taki dzień. Zgromadziłem spore zapasy na tę okoliczność. Kiedy ja byłem chłopcem, w Halloween nawet wariackie żarty uchodziły na sucho.

Osobiście cieszyłem się, że obyczaje nieco złagodniały. Gdy patrzyłem na te szkraby w przebraniach, przypominały mi się własne dzieci oraz Kate.

Po ostatniej wizycie zwykle rozpaląłem kominek, siadałem przy nim ze swoją ulubioną fajką i kieliszkiem cydru. Czasami puszczałem ulubione melodie żony i wspominałem, gapiąc się w płomień. Na swój sposób czułem się wtedy szczęśliwy.

Tego dnia wszystko działało mi na nerwy. Było zimno i wietrznie.

Słońce przetoczyło się błyskawicznie po bezchmurnym niebie. Drzewa mieniły się czerwienią, żółcią i brązem. Gdzieś wysoko leciał samolot, zostawiając za sobą smugi kondensacyjne. Postanowiłem się przejść.

Na uliczkach Senlac przewalały się liście. Wydawały przy tym szelest przypominający dyskretny śmiech z właścicieli ogródków starających się je zagrabić na ładnie ułożone kupki.

Pola za miastem były gołe, ciemne, czekały na śnieg. Stada kruków obsiadały je masowo i od czasu do czasu podrywały się wielkimi stadami

w powietrze z głośnym furkotem. Zszedłem z brukowanej drogi na polną ścieżkę, którą samochody jeździły wyjątkowo rzadko. Należało podziękować jakiemuś szczególnie dobrze usposobionemu bóstwu za to, że zachowało jeszcze coś takiego w tej epoce gorączkowego postępu. Zanim się spostrzegłem, wszedłem do Lasu Morgana.

Dotarłem do polanki otoczonej drzewami mieniącymi się delirycznymi barwami. Przez chwilę stałem na mostku, gapiąc się na przepływający między kamieniami strumyk. Na starym dębie usadowiła się wiewiórka. Drzewo musiało mieć ze sto lat, bo było gęste, choć pozbawione liści. Wsluchiwałem się w szum lasu. Wąchałem powietrze, które smakowało jak chłodny napój, i napawałem się wonią jesieni.

Nawet nie myślałem o niczym szczególnym. Po prostu byłem.

W końcu ciało i kości przypomniały mi, że istnieją powody do ruszenia w drogę, i wróciłem do domu. Ciepła herbata z ciepłą bułeczką wydawały mi się świetnym pomysłem. Później zamierzałem napisać list do Billa i Judy o moim zamiarze przyjazdu do Kalifornii z wizytą do nich w zimie...

Nie zauważyłem zaparkowanego jak zwykle pod kasztanem samochodu, dopóki omal na niego nie wpadłem. Ucałowałem ich na przywitanie.

– Witajcie. Witajcie. Czemu nie zadzwoniliście wcześniej? Nie musielibyście czekać.

– Nic się nie stało, doktorze – odparł Havig. – Siedzieliśmy w samochodzie, podziwiając widok. – Po chwili dodał: – Staramy się

**zapamiętać Ziemię.**

**Spojrzałem na niego uważnie. Trochę zeszczupłał. Miał głębsze bruzdy przy ustach. Był opalony, ale skórę miał suchą.**

**Włosy zaczynały mu lekko siwieć. Po czterdziestce. Dla niego minęło jakieś dziesięć lat. Dla mnie kilka tygodni od czasu ich ostatniej wizyty... Jego żona była wyprostowana jak zawsze, może nieco bardziej kobieca, jeżeli chodzi o figurę, ale ogólnie mniej się poddała upływowi lat. W końcu była młodsza. Jednak dostrzegłem lekkie zmarszczki wokół oczu i kilka jasnych nitek w jej rudych włosach.**

**– Skończyliście? – spytałem i zadrzałem, chociaż nie było zimno. –**

**Pobiliście Orle Gniazdo?**

**– Tak, tak! – odparta Leoncja z radością.**

**Havig tylko kiwnął głową w milczeniu. Był dziwnie poważny.**

**– Chodźcie do środka! Zapraszam.**

**– Na herbatkę? – Zaśmiała się.**

**– Broń Boże! O tym też myślałem, ale... moja droga, taka okazja wymaga czegoś mocniejszego. Chyba zadzwonię do Swansona i poproszę o dostawę odpowiednich trunków, a potem ustalimy właściwe menu na kolację... jak długo możecie zostać?**

**– Obawiam się, że niezbyt długo – rzekł Havig. – Dzień, najwyżej dwa. Mamy mnóstwo roboty przez resztę naszego życia.**

**\***

**Ich**

**opowieść**

**trwała**

**wiele**

**godzin.**

**Słońce**

**złotymi**

**i**

**pomarańczowymi blaskami rozświetliło niebo na zachodzie, kiedy wreszcie zorientowałem się w ogólnych zarysach ich historii. Wiatr osłabł i chociaż w domu było dość ciepło, pomyślałem, że dobrze by było rozpaść w kominku. Leoncja zaofiarowała się, że sama to zrobi. Nie straciła widać swoich umiejętności. Havig wciąż wodził za nią wzrokiem jak dawniej.**

**– Naprawdę szkoda, że nie możecie zapobiec powstaniu Orlego**

**Gniazda – stwierdziłem.**

**– Nikt tego nie może dokonać – odparł. Po chwili zamyślenia dodał:**

**– I nie jestem pewien, czy to tak całkiem źle. Czy inaczej poczułbym wystarczającą determinację do działania? Na początku chciałem jedynie poznać takich jak ja. Czemu miałbym pragnąć tworzyć z nich jakąkolwiek organizację?...**

**– Głos mu się nagle załamał.**

**– Xenia. Chyba rozumiem – mruknąłem.**

**Leoncja patrzyła na nas uważnie.**

**– Nawet Xenia nie bilansuje tego wszystkiego – stwierdziła**

**łagodnym tonem. – Krzyżowcy i tak by jej nie oszczędzili. A tak została**



uratowana i przeżyła dodatkowo dziewięć lat.

– Uśmiechnęła się. – Z czego pięć z Jackiem. Cóż, miała mniej szczęścia niż ja, ale przynajmniej ten czas należał tylko do niej.

Dopiero teraz zauważyłem, że Leoncja zmieniała się zewnętrznie wolniej niż jej mąż, ale wewnętrznie dojrzewiała o wiele szybciej, niż mi się dotąd zdawało.

Havig milczał. Wiedziałem, że jego rana już się zagoiła. Pozostała blizna, to oczywiste, ale niezaogniona. Tak się dzieje z wszystkimi ranami w zdrowych ciałach i umysłach.

– Cóż... – Postanowiłem zmienić ten ponury nastrój. – Zjednoczyłeś podobnych sobie ludzi, zwyciężyłeś zło, zaprowadziłeś dobro. Nigdy nie sądziłem, że w moim domu będę gościł króla i królową.

– Co? – Havig zamrugał ze zdziwienia. – Nie jesteśmy parą królewską.

– Jak to? Przecież rządzą całą przyszłością, prawda?

– Nie. Robiliśmy to przez chwilę, bo ktoś musiał. Ale współpracowaliśmy z najmądrzejszymi ludźmi, jakich mogliśmy znaleźć – i nie tylko z podróżującymi w czasie. Chcieliśmy, żeby to trwało jak najkrócej... I jak tylko było to możliwe, zmieniliśmy strukturę wojskową w system republikański... a teraz w coś na kształt zwykłej gildii.

Leoncja poprawiała palenisko pogrzebaczem. Ogień wesoło iskrzył i odbijał się w jej oczach.

– Czyli spełniliśmy nasze marzenie – powiedziała.

– Nie rozumiem – stwierdziłem po raz kolejny dzisiejszego dnia.

**Havig zastanawiał się długo nad tym, co powiedzieć.**

**– Doktorze, kiedy teraz się z tobą pożegnamy, już nigdy nas nie zobaczysz.**

**Usiadłem z wrażenia. Drobiniki kurzu wiszące w powietrzu odbijały się w promieniach zachodzącego słońca.**

**Leoncja zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała mnie w policzek. Jej włosy pachniały dymem palonego w kominku drewna.**

**– Ależ nie, doktorze! – powiedziała. – Nie dlatego, że zaraz umrzesz.**

**– Nie dlatego...**

**– Aha! – Havig wreszcie zrozumiał. – Mówiłeś, że nie chcesz znać daty wyrytej na twoim grobie. I z pewnością ci tego nie ujawnimy.**

**Wystarczy, byś wiedział, że masz jeszcze sporo czasu przed sobą.**

**Mówiłem o tym, że Leoncja i ja opuścimy Ziemię. I wątpię, byśmy kiedyś wrócili.**

**\***

**– Po co istnieją podróżnicy w czasie? – spytał, kiedy przeszliśmy do konkretów.**

**– No... właśnie – zająknąłem się.**

**– Żeby kontrolować historię? Garstka ludzi nie jest w stanie tego dokonać. Wallis w to wierzył, ale ty już nie. Jestem pewien. A ja nawet nie sądzę, żeby powinni to robić.**

**– Cóż... jest jeszcze archeologia, historia, nauka...**

**– Zgoda. Wiedzy nigdy nie za dużo. Tylko nikt nie powinien znać swojego przeznaczenia, bo to zabija nadzieję. Uczenie się jest przeżyciem**

estetycznym i może ekstatycznym, ale to wszystko. Inaczej staniemy się samolubni. Nie sądzisz, doktorze, że wiedzę powinno się wykorzystywać?

– Zależy w jakim celu, Jack. Zależy od efektu końcowego.

Leoncja siedziała obok niego w świetle migającego ognia z kominka i żółtawego światła lampki stołowej.

– Dla nas – powiedziała – efekt końcowy oznacza podróż do gwiazd.

Dopiero tam podróże w czasie do czegoś się naprawdę przydają.

Havig się uśmiechnął. Zachowywał się powściągliwie, ale czułem jego entuzjazm.

– Jak sądzisz, dlaczego zdecydowaliśmy się na fazę drugą i budowę całego kompleksu, który nazywamy Polaris? Mówiłem ci już, że nie mamy zamiaru rządzić światem. Stworzyliśmy Polaris w celu prowadzenia badań i rozwoju. Jego rola się skończy wraz z zakończeniem budowy pierwszych statków kosmicznych.

– One powstaną – dodała Leoncja. – Widzieliśmy to.

W Havigu pojawiła się pasja. Pochylił się do przodu, ściskając szklankę, o której chyba zapomniał.

– Jeszcze nie rozumiem szczegółów naukowych ani inżynierskich.

Między innymi dlatego musimy powrócić do przyszłości. Fizycy mówią o matematycznych tożsamościach między podróżami w czasie a podróżami z szybkością większą od prędkości światła. Uważają, że można stworzyć teorię, która to wszystko wyjaśni. I może kiedyś naprawdę im się to uda.

Wiem, że w Polaris tego nie dokonają. Może jednak w odległej przyszłości Ziemi lub gdzieś na innej planecie... W ostateczności to nie ma znaczenia.

**Jeżeli my będziemy stanowić załogę, statki mogą się poruszać wolniej niż światło. Rozumiesz. Ich podróż może trwać całe wieki. Dla nas, przenoszących się w przyszłość w trakcie lotu, będą to minuty czy godziny. Nasze dzieci nie będą tego potrafiły, ale przynajmniej już tam się urodzą. Otworzymy przed ludzkością drogę do nieskończoności.**

**Gapilem się w okno, ale widok gwiazd zasłaniały odbijające się płomienie z kominka.**

**– Rozumiem – odezwałem się wreszcie. – Wielka, szczytna wizja. To pewne.**

**– Ale konieczna – odparł Havig. – A bez nas, i koniec końców bez naszych wrogów, byłoby to niemożliwe. W swoim szczytowym okresie Federacja Mauraiów mogłaby zebrać odpowiednie środki do wznowienia lotów kosmicznych, ale tego nie uczyniła. Ich zakaz używania pewnych źródeł energii był bardzo potrzebny na początku i stał się podstawą odbudowy planety. Potem jednak to zamieniło się w fetysz, jak wiele dobrych pomysłów w historii... i tak kultura nie miała szans na ruszenie w kosmos.**

**– Myśmy to zrobili pierwsi – wtrąciła Leoncja. – Władcy Gwiazd są naszymi ludźmi.**

**– A także tymi, którzy ożywili Ziemię – dodał Havig. – Jak szybko gnuśniej i popada w stagnację cywilizacja zapatrzona tylko w siebie? Jak szybko zacznie się usztywniać, zmieniać w system kastowy, biednieć i dziczeć? Nie można skupiać się tylko na myśleniu, jeżeli nie ma się o czym myśleć. A taki bodziec musi przyjść z zewnątrz, prawda? Wszechświat jest**

**nieskończenie większy niż dowolny umysł.**

**– O ile rozumiem – powiedziałem, starając się ukryć zazdrość – to przyszła cywilizacja ucieszy się z przybycia gwiazdnych podróżników.**

**– Oczywiście! Bardziej z ich idei i myśli niż z towarów, które mogliby ofiarować. Idee, sztuka, doświadczenia i wizje zrodzone na tysiącach światów pomiędzy tysiącami różnych gatunków istot. Ziemia wnosi swój wkład w tę społeczność. Ma własnych mistyków i filozofów.**

**Oni myślą – i czują, szukają sensu, zadają niepokojące pytania. – Havig zaczął mówić podniesionym głosem. – Nie wiesz, dokąd nas zaprowadzi ta komunia z nimi. Może do jakiegoś wyższego stanu dusz? Ale wierzę, że to będzie coś dobrego, i w tym właśnie celu myśmy się urodzili jako podróżnicy w czasie.**

**Leoncja postanowiła nas sprowadzić nieco na ziemię.**

**– Głównie chodzi nam o więcej frajdy z życia. Jack, zejdz nieco ze swoich proroczych wizji i zajmij się drinkiem.**

**– Oboje chcecie więc znaleźć się wśród pionierów – stwierdziłem niechętnie.**

**– Zasłużyliśmy na to prawo – powiedziała.**

**– Mhm. Wybaczcie pytanie. W końcu to nie mój interes, ale skoro dzieci nie odziedziczą po was tych zdolności...**

**– Może znajdziemy jakąś Nową Ziemię, żeby tam je wychować. Nie jesteśmy jeszcze za starzy... – Zerknęła na męża. – A może będziemy podróżować w kosmosie aż do śmierci. To też jest dobry cel w życiu.**

**Zapadła cisza. Zegar na gzymsie kominka zatykał głośniejszy, bo wiatr**

za oknem nagle przycichł.

Zabrzączał dzwonek u drzwi. Wstałem, żeby otworzyć. Trzy małe postacie stały na progu. Kłown, astronauta i niedźwiadek wyciągali papierowe torebki, wołając zwyczajowe: „Cukierek albo psikus!”.

\*

Minął rok od czasu, kiedy pożegnałem się z Jackiem Havigiem i Leoncją. Często o nich myślę. Oczywiście z reguły zajęty jestem zwykłymi codziennymi sprawami, jednak wykrajam sobie godzinkę, żeby ich powspominać.

Przez cały czas są gdzieś na naszej planecie, triumfując lub zdesperowani szarpiąc się w historii, którą już poznałem. Ale i tak już się nie spotkamy. Koniec ich życia umyka mojej wyobraźni.

Podobnie jak trwanie ludzkości, Ziemi czy kosmosu.

Chciałbym... mam wiele pragnień. Żeby spędzili to lato u mnie.

Moglibyśmy pożeglować łódką. Ale oczywiście woleli zobaczyć się z Eleonorą, jego matką, kiedy już to było bezpieczne. Co jej powiedzieli? Nie powtórzyła mi ani słowa.

Żałuję, że nie zadałem im pytania, które mnie ostatnio nurtuje.

Skąd się wzięła rasa podróżników w czasie?

Sądźmy, wszyscy troje, że wiemy dlaczego. Nie zapytaliśmy jednak, kto lub co odczuło potrzebę jej stworzenia.

Może powodem była zwykła mutacja genetyczna? Dlaczego więc podróżnicy w czasie przestali się rodzić po powstaniu Orlego Gniazda i potem Polaris? Prawdę mówiąc, nie byłoby to dobre dla ludzkości.

Niepotrzebna nam ich zdolność poznawania przeszłości, bo cel został osiągnięty i ludzkość wyrwała się w kosmos, gdzie może rozwijać się bez końca. Kto jednak o tym zdecydował? Kto wykreował tę rzeczywistość?

Czytałem o ostatnich doświadczeniach w dziedzinie genetyki.

Wydaje się, że można skonstruować wirusa, który będzie przenosił geny z jednego nosiciela na drugiego. I nosiciele niekoniecznie muszą należeć do tego samego gatunku. Może natura sama to zrobiła? Może zawsze to robiła?

Najprawdopodobniej

przekazujemy

naszemu

potomstwu

dziedzictwo zwierząt, które nigdy nie były naszymi bezpośrednimi przodkami. Czy to prawda? Byłoby to cudowne. Cieszyłbym się, gdybyśmy się okazali naprawdę bliscy wszystkim stworzeniom żyjącym na świecie.

Czy jednak można skonstruować wirusa, który powoduje tak niesamowite zmiany? I czy jest możliwe, że rozsiali go podróżnicy w czasie z jakiejś niesamowicie odległej przyszłości, którzy zostali sztucznie wyhodowani?

Ostatnio często spaceruję wieczorami za miasto. Patrzę w jesienne niebo i myślę o tym.